

Marta Kisiel

oczy  
uroczne



Marta Kisiel

# OCZY UROCZNE



Copyright © by Marta Kisiel, MMXIX  
Wydanie I  
Warszawa, MMXIX

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Kobietom mego życia*

# Rozdział 1

Przeciągająca się jesień nie szczędziła światu czułości. Za dnia ludzie sycili się ciepłymi promieniami słońca, nocą ziemia chłoneła rześisty, życiodajny deszcz. W rezultacie, choć był już początek grudnia, trawniki wciąż cieszyły oczy zielenią, tu i tam urozmaiconą pstrokatą żółcią mniszka, zamiast już dawno przeistoczyć się w smętne klepiska. Niektóre drzewa, zmylone nietypową aurą, drugi raz w ciągu tego roku wypuszczały pąki, krzewy w przydomowych ogrodach kwitły na wyścigi, ptaki wydzierały dzioby, a krety ryły kopce jeszcze bardziej na oślep niż zazwyczaj. Równie zdezorientowani jak okoliczna fauna i flora byli drogowcy, którzy deliberowali, czy rzucać się do koszenia zarastających poboczy i przydrożnych rowów, czy raczej gromadzić worki z solą na wypadek niespodziewanego ataku zimy. W podobnym kłopotcie znaleźli się amerykańscy i rosyjscy meteorolodzy, którzy prześcigali się w prognozach wieszczących na przemian to rekordowe upały, to znów rekordowe ochłodzenie, zimę stulecia, tysiąclecia albo przynajmniej dekady oraz ogólny armagedon. Tymczasem zwyczajni dorośli nie posiadali się z zachwyty nad niskimi rachunkami za ogrzewanie, a dzieciaki dzień w dzień wracały ze szkoły bez czapek, ciągnąc po ziemi rękawami całkowicie zbędnych kurtek.

Teoretycznie Roch Kusy też nie miał powodu do narzekań. Pogodowe anomalie zapewniały mu nieustanne zajęcie na świeżym powietrzu i równie świeżą opaleniznę, jak gdyby nadeszła już wiosna. Tak samo jak wiosną pod dachem spędzał jedynie noce, od świtu do zmierzchu jeżdżąc po ogrodach i sadach, gdzie pielił i kopał, karczował i wycinał to, co niepotrzebnie sterczało z ziemi, bielił zaś to, co sterczało celowo. Zbierał również zeschnięte resztki owoców, by nie służyły grzybom za pożywkę, tropił gąsienice niestrzępa głogowca – i z rosnącym zaniepokojeniem spoglądał w bezchmurne niebo.

Podczas gdy ludzka część jego natury napawała się słońcem i zielenią, ruchem i zmęczeniem uczciwie spracowanych mięśni, mózg

gadzi, który skrywał atawistyczne reakcje wraz z nadprzyrodzonymi mocami planetnika, szeptał mu coraz głośniej, że już wkrótce nadejdzie kres tej złotej jesieni. Nadciągały chmury brzemienne ciężkim, mokrym śniegiem. Nadciągał mróz, malujący szyby w oknach kwieciami najpiękniejszym – i najokrutniejszym.

Nadciągał czas nieprzejednanej nocy.

Czas śmierci.

\*\*\*

– Pani doktor, kolejny do zdjęcia szwów – oznajmiła pielęgniarka, gdy weszła do gabinetu z plikiem nowych kart. Bardzo grubym naręczem.

Oda Kręciszewska, której z zaledwie dwugodzinnym poślizgiem udało się wyrwać pięć minut przerwy na szybką przekąskę, zastygła z kanapką w jednej dłoni i kubkiem zimnej kawy w drugiej. Szybko policzyła coś w myślach.

– Który to już? – zapytała w końcu, przełknąwszy kęs. – Czwarty?

– W tym tygodniu? Piąty.

– A mamy...

– Środę.

– Co ci ludzie...? Przecież do świąt jeszcze szmat czasu, a oni już się masowo krzywdzą? – Większość życia zawodowego spędziwszy z dala od ojczyzny, Oda przekonała się, że w tej akurat kwestii ludzkość wykazuje się wyjątkową jednomyślnością. Bez względu na położenie geograficzne obchody najważniejszych świąt zawsze oznaczają jedzenie. Jedzenie wypada najpierw przygotować, co nieodmiennie skutkuje wzmożoną częstotliwością występowania obrażeń, ze szczególną nadreprezentacją oparzeń, ran ciętych, tłuczonych oraz, o dziwo, postrzałowych. Dopiero gdy odpowiednie rytuały są już odprawione, bóstwa obłaskawione, a krewcy krewni znów poza zasięgiem broni palnej, przychodzi pora na prozaiczną niestrawność.

Tyle że do Bożego Narodzenia zostało jeszcze ponad pół miesiąca, tymczasem ostatnio w zasadzie nie było dnia, żeby do przychodni nie zgłaszali się nadprogramowi pacjenci na zmianę opatrunku lub



zdjęcie szwów.

Oda rzuciła okiem na zegar, a potem na karty, które przyniosła pielęgniarka. Miała złe przeczucie.

– Ilu?

– Dwunastu umówionych.

Na te słowa lekarka uśmiechnęła się półgębkiem. Znała te numery.

– Czyli ilu?

– Siedemnastu.

No tak. Pierwszy w tym sezonie grypopodobny wirus od tygodnia grasował po żłobkach i przedszkolach, co oznaczało dziesiątki dzieci z lekkim gilem i kaszlem oraz dwa razy tyle dorosłych czołgających się ostatkiem sił do lekarza i błagających o szybką śmierć. Ewentualnie przyjęcie po godzinach.

– A doktor Lewczyński?

– Środa – przypomniała pielęgniarka z lekkim zaśpiewem zdradzającym hamowane rozbawienie. – Doktor Lewczyński dziś szczepi. A pani doktor wie, jak mu się po szczepieniach ręce trzęsą.

Fakt. Pięćdziesięcioletni Krzysztof Lewczyński – kierownik przychodni i lekarz medycyny rodzinnej w jednej osobie – bał się dzieci bardziej niż dzieci jego. Rzecz jasna, nie wszystkich i nie zawsze, w przeciwnym razie nie działałby wiele w swoim zawodzie. Konkretnie to bał się dzieci nakłuwanych i płaczących. Z tego lęku opanował cały repertuar pieśni i przyśpiewek przedszkolnych, wszelkie znane ludzkości dowcipy z cyklu puk, puk oraz szczone triki na odwrócenie uwagi, które podpatrywał u kolegów po fachu na YouTube. Dzieciom, owszem, zwykle to pomagało, samemu doktorowi – już niekoniecznie. Stresował się do tego stopnia, że to mali pacjenci często wręczali mu naklejki, a nawet lizaczki, jeśli był wyjątkowo dzielny. Ostatnio, posiłkując się teoriami o wpływie barw na samopoczucie człowieka, w każdą środę, kiedy to przypadał dzień szczepień w poradni dzieci zdrowych, doktor Lewczyński przywdziewał kitel w kojącym odcieniu młodego szczypiorku, przez co trochę się gubił na tle zielonych ścian przychodni. Dla wzmocnienia pozytywnego efektu rejestratorka przynosiła wtedy pół kilo michałków i chałwę, które podsuwała doktorowi w regularnych,

homeopatycznych dawkach. Była to jedyna forma homeopatii nie tylko tolerowana za progiem NZOZ Lew-Med, ale też chętnie sponsorowana przez pracowników. Niestety, na próżno. Po ostatnim szczepieniu doktor Lewczyński wychodził z gabinetu na miękkich nogach.

Oda westchnęła ponownie. W środy zdejmowanie szwów przez szefa mogło się skończyć wyłącznie dalszymi obrażeniami. I to niekoniecznie u pacjenta.

– A doktor Sroka?... – spróbowała ostatniej szansy.

– Ma teraz wizyty domowe.

Przez chwilę patrzyły na siebie ponad naręczem kart. Pielęgniarka czekała cierpliwie, aż Oda upora się z wewnętrznymi rozterkami. A było z czym, bo jej myśli kłębiły się bardziej niż loki na głowie. Ktoś musiał przyjąć ludzi czekających za drzwiami, oznaczało to jednak gwarantowane nadgodziny. Po nadgodzinach. Znowu. A zanim dokolebie się rowerem z przychodni do domu...

No właśnie. Dom.

Świadomość, że u progu czterdziestych trzecich urodzin miała wreszcie dom – co prawda z Allegro, ale własny! – i że na dodatek ktoś codziennie czekał na nią za progiem, jednocześnie Odę cieszyła i przytłaczała. Przyczyny radości były dla niej oczywiste i nie wymagały roztrząsania, co do przytłoczenia zaś... Cóż. Przez tyle lat żyła bez zobowiązań, sama sobie sterem, żeglarzem, okrętem, a gdy było trzeba, także i liną okrętową, że teraz nie zawsze trafiała z reakcją. Trochę ją gryzło sumienie, że Bazyl i Kuleczka dzień w dzień siedzieli sami w domu, podczas gdy ona spełniała się zawodowo. I co z tego, że czort był mały wyłącznie wedle standardów piekielnych – gdyż jeśli liczyć w ludzkich latach, Oda powinna mu się kłaniać pierwsza i mówić per pan – i bardzo się obruszał, ilekroć traktowała go jak dziecko płaczące z tęsknoty za mamą.

Z kolei doktor Lewczyński – dla niepoznaki zwany szefem, chociaż bardziej pasował do niego pieszczotliwy Krzyś – był gotów całować ją po piętach za to, że w ogóle była, że żyła, że metabolizowała i taka rozmetabolizowana codziennie stawiała się w pracy. W tych stronach znalezienie lekarza graniczyło z cudem, a co dopiero takiego bez

zobowiązań rodzinnych i innych nałogów, za to z powołaniem, ciągotami do pracoholizmu i życzliwym stosunkiem do nadgodzin! Chociaż Oda, ma się rozumieć, nie pracowała po to, żeby ją całowano po czymkolwiek, skądże. Szczerze mówiąc, całowanie wolałaby uprawiać na gruncie bardziej prywatnym i raczej nie z Krzysiem – tylko kiedy i gdzie, skoro w domu już czekał Bazyl, którego tak karygodnie zaniedbywała...?

Tym sposobem rozterki zatoczyły pełne koło i wpijały się użębieniem we własny ogon. Odę zapewne mniej by gryzło sumienie, gdyby mogła zadzwonić albo wysłać Bazylowi sms-a, że znowu wróci późnym wieczorem i żeby na nią nie czekali. Ale nie, przecież tam nie było zasięgu, no kto normalny buduje dom w miejscu, gdzie nie ma zasięgu?...

Ach, no tak.

Ona.

Beznadziejny przypadek.

– No dobrze. W takim razie nie traćmy czasu. – Pogodzona z losem i własnym obłędem, Oda jednym haustem dopiła kawę i wstała. – Szwy do zabiegowego, karty na biurko, a ja do łazienki – zakomenderowała, po czym z werwą wymaszerowała z gabinetu.

Właśnie myła ręce, licząc w myślach, ile mniej więcej czasu potrzebowała na tych siedemnastu pacjentów, którzy odprowadzali ją do łazienki tęsknymi spojrzeniami, kiedy w kieszeni fartucha zawibrowała jej komórka.

– Słucham? – Przyciskając telefon ramieniem do ucha, zerwała papierowy ręcznik i starannie wytarła dłonie. Odruchowo zerknęła przy tym w lustro i zmarszczyła brwi. Przeciągnęła palcami od czoła, przez skroń i policzek, aż do żuchwy. Skutki przemęczenia? Początki anemii? Nie, raczej nic z tych rzeczy. Owszem, jej cera nabrała osobliwego, jakby porcelanowego odcienia, oczy jednak nie straciły blasku. Nie były też podkrążone. Poza tym choć miała teraz sporo pracy, jak to w sezonie, to spała i czuła się naprawdę świetnie. Pewnie coś było nie tak z oświetleniem w łazience. Za słaba żarówka. Na pewno. Musi to zgłosić konserwatorowi.

– Halo? Słucham? – powtórzyła. Zgarnęła niesforny pukiel z twarzy

za ucho. Po tylu godzinach jej włosy miały za nic i klamrę, i wsuwki, i godność zawodu lekarza – swobodny kok samoistnie transformował w klasyczną kopę siana.

– Eee... – usłyszała w końcu po drugiej stronie. Facet, chyba młody i zdecydowanie zestresowany.

– Tak? – odparła zachęcająco. Po krótkim namyśle zaczęła wydłubywać wsuwki ze splątanych włosów.

– Yyy...

– Taaak?

– Eee...

– Kupuję spółgłoskę i zgaduję hasło.

Facet sapnął, zbity z tropu.

– No... bo ja... ja mam tu kozę.

– Moje gratulacje – odparła grzecznie Oda.

– Ale ta koza... no... Rany boskie... – jęknął głos w słuchawce, po czym najwyraźniej zebrał się w sobie, bo wyrzucił z siebie na jednym wydechu: – No bo ta koza mówi, żebym do pani zadzwonił!!!

Oda na moment przestała oddychać. Aż wreszcie nabrała powietrza w płuca, powoli policzyła do pięciu, po czym wypuściła.

– Pan mi ją da do telefonu. Tę kozę.

\*\*\*

Na co dzień Michałko Rudnicki był wyznawcą nihilizmu egzystencjalnego, wzniesionego na solidnym deterministycznym fundamencie. Ujmując rzecz nieco prościej, kierował się przysłowiem, które zawsze powtarzał mu dziadunio, że czy to z góry, czy pod górę, furman patrzy w końską dziurę – dodając, już pod nosem, coby babunia nie słyszała, że czasem ta dziura odpowiada człowiekowi wymownym spojrzeniem. Szedł więc Michałko przez życie zbrojny w dziaduniową mądrość, szcędząc sobie po równo tak wysiłku, jak i rozczarowań. O ile, ma się rozumieć, nie wypadał akurat dzień meczowy, gdyż w dni meczowe Michałko zatracił się całkowicie w nadziei, że może tym razem nasi tego nie spieprzą... aż tak bardzo. Nadzieja, jako matka czuła i wyrozumiała, nie odstępowała go na

krok przez dziewięćdziesiąt minut regulaminowego czasu gry, a nawet i dogrywkę, głaszcząc po głowie, w której coraz mocniej szumiało, nie tylko od emocji. Rankiem Michałko budził się z solidnym kacem i na powrót ustabilizowanym światopoglądem, że marność nad marnościami i wszystko marność, siadał w samych gaciach przed konsolą i odpalał najnowszego *Assassin's Creeda*, żeby zniwelować stres. Nihilizm nihilizmem, ale nie chciał się dorobić nadciśnienia.

Tyle na co dzień. Natomiast od święta zawieszał filozofię na kołku i przechodził na czyściuteńki pragmatyzm, a to za sprawą magicznego zaklęcia:

– Michałko, weź no rusz dupę.

W imię zastrzyku żywej gotówki był gotów ruszyć nawet głową.

Tym razem zaklęcie rzuciło go w sam środek pobliskiego lasu z dwoma foliowymi workami na śmieci i poleceniem, by wypełnić je szyszkami. Z szyszek miały powstać hendmejd stroiki w stylu wintydź. Wintydź był teraz top trendi, jak zostało mu wytłumaczone, teraz każda pani domu chciała urządzać święta jak z czasopisma: „Kumasz, Michałko, meri kristmas jak w *Kevinie samym w domu*, tylko bardziej, no i raczej bez porzucania nieletnich na pastwę drobnych przestępców, choć kto ich tam wie. Tak czy siak, ma być nastrojowo, stylowo i na bogato, kumasz, Michałko? Na-bo-ga-to! Więc jak panie domu życzą sobie wintydź, to my im damy cholerny wintydź, bo w biznesie, Michałko, w biznesie to trza mieć ten zmysł, trza odpowiadać na zew społecznego zapotrzebowania!”.

Odpowiadał zatem, pełnym zdaniem odpowiadał, łąząc od bladego świtu po lesie, a wciąż puste worki woniały na kilometr chemiczną truskawką.

Skupiony na wypatrywaniu w poszyciu szyszek w miarę suchych i zgrabnych, Michałko nie tracił czasu na podziwianie jakichś tam widoczków. Las jak las, bez szału, zresztą nie takie lasy już widywał. O, na przykład w takim *Tomb Raiderze*. Rozdzielczość 4K Ultra HD i ani piksela mniej, człowieku! Obraz żyłeta, że liście na drzewie można policzyć, dźwięk w Dolby Surround, pełne pięć kropka jeden... To był las! I nie lepił się tak do podeszew prawie oryginalnych,

bieluśkich airmaksów, nie mówiąc już o kapaniu zimną rosą za kołnierz. W ogóle ta cała przyroda za bardzo się narzuca, uznał Michałko, gdy schyliwszy się po kolejną szyszkę, przy okazji strzepnął wilgotne, zbrązowiałe igliwie, które przykleiło mu się do czubka buta.

I wtedy coś trzasnęło, szurnęło i mignęło pośród pobliskich zarośli.

Michałko znieruchomiał z szyszką w garści i tyłkiem wypiętym ku niebu, aż mu zimnym powiewem po nerkach ciągnęło, a jego wyobraźnia ruszyła z kopyta, podążając znajomym tropem. Jest las, jest odludzie, gdzie nikt nie usłyszy, jak upada drzewo, jest bezwolna, samotna ofiara, brakuje tylko bestii. Zatem proszę bardzo, oto wilk. Jak nic. Albo... albo dzik! Albo agresywne wiewiórki, ale nie rude, tylko te szare. Tak. Wymordowały swe europejskie kuzynki i teraz krążą po okolicy w poszukiwaniu świeżego mięsa...!!! Cokolwiek to było, wyraźnie przedzierało się w stronę Michałki, który stał jak zdjęte trwogą ciele z wytrzeszczonymi oczami i szeleścił coraz mocniej truskawkowym workiem, wyczekując najgorszego, najstraszniejszego, najkoszmarniejszego z koszmarnych!

Aczkolwiek kozy to akurat nie.

– Eee?... – wyrwało się zdumionemu Michałce, lecz wzrok nie kłamał, wzrok nie łudził – przed nim, wyłoniwszy się spomiędzy chaszczy, stanęła koza jak w pysk strzelił.

Koza na dwóch nogach, w kolorowym pasiastym szaliku, z torebeczką przewieszoną przez ramię.

Wyobraźnia Michałki w trybie przyspieszonym zmieniała kierunek i, porzuciwszy wściekłe dziki i inne wiewiórki, puściła się galopem ku kolejnemu skojarzeniu, jakie mu zaświtało, mianowicie skojarzeniu kulturalnemu, co jedynie wzmogło grozę sytuacji. Otóż Michałko, jak uświadomił sobie nagle z zaskoczeniem, widział już kiedyś taki zadek i taki ogonek. Tyle że był on wykonany ze sznurka i dyndał w zdecydowanie niższej rozdzielczości niż choćby przedpotopowe HD. A mimo to Michałko, w tamtych czasach zaledwie dwunastoletni, przez całe wakacje zrywał się przed ósmą, żeby zasiąść przed telewizorem w piżamie, ze snem niewywietrzałym wciąż z głowy i śpiochami w oczach – wszystko to dla fantastycznych przygód i dla magicznej szafy, i dla krainy pełnej śniegu, i dla tego ogonka właśnie.

„W sumie... no to by się nawet zgadzało”, pomyślał w przypiływie olśnienia, „jest zima, jest las... No, tyle że bez śniegu, a zamiast torebeczki powinny być paczki, ale... ale może jednak...?”. Tak na wszelki wypadek przeleciał wzrokiem po lesie, wypatrując samotnej latarni i zgrai dzieciaków na gigancie, po czym raz jeszcze spojrzął na kozę.

– Pan... pan Tumnus...? – wydusił wreszcie szeptem taktycznym, na wypadek gdyby któraś z sosen szpiegowała dla Białej Czarownicy.

Koza całą sobą udawała, że niczego nie widziała, niczego nie słyszała, wcale a wcale. To strzepnęła paproszek z szaliczka, to zerknęła w górę, na niebo prześwitujące między koronami drzew, to na boki, to znowu w dół, na swe lśniące, rozdwojone kopytka. Wreszcie, wciąż od niechcenia, puściła się truchcikiem przez las, kręcąc przy tym nisko zawieszonym zadkiem. Michałko, niewiele myśląc, ruszył w ślad za nią.

Po kilkunastu metrach koza łypnęła przez ramię, dla pewności, że miły młody człowiek z truskawkowym workiem wciąż za nią podąża, i nieco przyspieszyła kroku, wobec czego przyspieszył i Michałko. Wędrowali tak dobry kwadrans, brnąc przez chaszczę i wądoły, meandrując między drzewami, coraz dalej, głębiej w leśne ostępy. Koza łypała raz po raz, za nią powiewał pasiasty szaliczek, ogonek dyndał z entuzjazmem, a Michałko, niczym urzeczony, już całkiem zapomniał o szyszkach, wintydżu i kristmasowych biznesach.

Aż nagle stanął jak wryty, gdyż oto nieoczekiwanie stanęła i koza. Podrapała się po głowie, zwieńczonej różkami i zgrabnym koczkim, rozejrzała się ze szczerym zdumieniem. Zmrużyła jedno oko. Zmrużyła drugie. Zmrużyła oba. Wreszcie odwróciła się do Michałki, uśmiechnęła się i rzekła:

– Najmocniej pana przepaszam, ale... ale chyba zboczyłem czaszopszeszczenne.

I tym oto sposobem pan Tumnus w pasiastym szaliczku znalazł się ostatecznie na jego wersalce, przygarnięty w charakterze zbłąkanego zwierzątka, i wsuwał teraz czipsy o smaku zielonej cebulki, czekając na przyjazd kobiety z telefonu. Michałko Rudnicki czekał razem z nim, kurczowo uczepony pada, jak gdyby tylko on trzymał go przy

zdrowiu psychicznym.

\*\*\*

Był już wczesny wieczór, kiedy z klatki schodowej dobiegł odgłos zatraskującej się z hukiem bramy. Paczka po czipsach już dawno leżała na podłodze, razem z pustym pudełkiem po pizzy hawajskiej i na wpół opróżnioną butelką lemoniady, a koza w szaliczku grała razem z Michałką w wyścigi samochodowe. I znowu wygrywała.

– ZARAZ! – ryknął Michałko na dźwięk dzwonka. Dopiero pół okrążenia później, kiedy jego klęska była już przesądzona, a nawet przypieczętowana, zwłókł się z wersalki i począpał do drzwi.

Na klatce schodowej stała postawna kobieta z najbardziej nieposkromioną fryzurą, jaką kiedykolwiek widział. Wcale by się nie zdziwił, gdyby te szalone, ciemne loki, które sterczały na wszystkie strony, skusiły jakiegoś ptaka do uwicia sobie w nich gniazda. Prawdę mówiąc, wzrok wespół ze słabym światłem pojedynczej żarówki na dzień dobry spletały mu figla, bo w pierwszej chwili Michałko dałby sobie rękę uciąć, że z włosów kobiety tu i tam naprawdę sterczy jakaś zaplątana gałązka czy listek. I w ogóle cała wydawała mu się dziwnie... drzewiasta? Może to przez tę fryzurę właśnie, może przez ciemnoszarą kurtkę do kolan, a może przez te wielkie, zielone oczy, które przypatrywały mu się ni to życzliwie, ni to przewrotnie. Między nimi, u nasady nosa, czerwieniło się znamię.

– Dzień dobry.

– Eee... dzień dobry – odparł Michałko odruchowo, wciąż zapatrzony w nieznajomą, dopóki go nie olśniło, skąd znał ten ciepły głos. – A, no tak! Pani przyszła... znaczy, pani może po?... – Zawiesił konspiracyjnie głos.

Kobieta uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Po – przytaknęła, z miejsca łapiąc, skąd ta oszczędność w słowach.

– Jasne. Eee, proszę, pani... wejdzie – dokończył chłopak, choć raczej należałoby powiedzieć, że „wciśnie”.

Mieszkanie na piętrze – tuż nad zakładem kamieniarskim,



z widokiem wprost na szeroki wybór nagrobków – było niewielkie, zapuszczone i wyposażone we własny, niepowtarzalny mikroklimat. Składało się z wąskiego, acz długiego korytarza, maciupkiej łazienki, kuchni oraz pokoju, w którym znalazłoby się chyba wszystko, może z wyjątkiem świeżego powietrza. Jediną oazą porządku we wszechobecnym chaosie była tu szafka na wprost zapadniętej wersalki – centrum dowodzenia prywatnym wszechświatem Michałki. Miejsce przynależne wizerunkowi bóstwa najwyższego zajmował wielki telewizor w towarzystwie konsoli i zestawu głośników, z których właśnie dobiegał przeraźliwy pisk opon.

– No bo wie pani, to było tak – sam z siebie zaczął tłumaczyć Michałko, oglądając się na nieznajomą, która podążała za nim korytarzem. – Ja ją spotkałem w lesie, tę pani...

– Kozę – dokończyła gładko. Nawet jej powieka nie drgnęła.

– Kozę. I ona tak szła, wie pani, ta... ta...

– Koza.

– Koza. Tak. Więc ona szła, ale tak... tak dziwnie. No jakby chciała, żebym szedł za nią, serio! Więc szedłem w ten las. I ona też szła. I tak żeśmy szli chyba z kwadrans, ja i ten... to... ta... – Tu Michałko znowu się zaciął. Wszystko w nim krzyczało, że jaka koza, człowieku, kozy nie żrą chipsów jak mała kit, znaczy, może i żrą, ale na pewno nie grają w *Colina McRae'a*, paląc gumy i biorąc wiraże, jakby się urodziły z padem w kopycie!!! Mimo to kobieta dokończyła niezmiennie:

– Koza.

Michałko stanął w drzwiach pokoju. Rzucił okiem na kozę – właśnie przeżuwała ostatni kawałek pizzy, driftując profesjonalnie – a potem zebrał się na odwagę i spojrzał prosto w twarz nieznajomej.

– Ona... ona sporo umie – wydusił. – Jak na kozę.

– Bo to bardzo mądra koza.

– I tak... no... dużo mówi, nie?

– Owszem, ma dość bogate słownictwo. Jak na kozę – dodała niewzruszenie kobieta.

Michałko zaczął się pocić. W tym pojedynku nerwów to ona prowadziła – i miała tego pełną świadomość. Przechyliła głowę

i uśmiechnęła się trochę tajemniczo, trochę niepokojąco, a przy tym serdecznie. I Michałko sam już nie wiedział, kto tu jest dziwniejszy: czy koza w szaliczku, która wyjadła mu cały zapas czipsów, czy jednak kobieta, którą po nią przyszła.

– Ta... koza... domagała się, żebym ją zapiął w foteliku – wymamrotał pod wpływem jej uśmiechu. – Takim dla dzieci, samochodowym. Jak siostra idzie na nockę, to odbieram jej młodego z przedszkola, więc mam taki fotelik, nie? W bagażniku wożę. Taki wypasiony, z homo... czymś tam. No to ją zapiąłem...

– Słusznie. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

– Chciała jechać tyłem!!!

Wzruszyła ramionami.

– Przy tym wzroście i masie to najbezpieczniejsza opcja.

– Jezu... – Michałko starł pot z czoła rękawem i wziął głęboki wdech. – Okej. Dobra. Dobra. Koza. Okej. Jasne. Więc... więc ją zapiąłem. I przywiozłem tutaj. I zadzwoniłem do pani, nie? A potem ta pani koza mówiła, że jest głodna, to dałem jej jeść.

– Mówił.

– Co?...

– Mówił – powtórzyła. – To jest w zasadzie samiec. Ma na imię Bazyl.

– Serio? – zdziwił się Michałko i odruchowo zerknął w rejony, w których koza standardowo różni się od kozła.

– Wypraszam szobje! – fuknął Bazyl i naciągnął szaliczek aż do kolan. – Tak blisko jeszcze ne jeszteszmy!

– Bazylku, dobrze wiesz, że nie powinieneś jeść czipsów – zwróciła się kobieta do kozy surowym tonem, chociaż jej roziskrzony oczy zdradzały, że z trudem powstrzymywała śmiech. – Nie służą ci na żołądek.

– Ej, myślałem, że koza zeżre wszystko – wtrącił Michałko.

– Zeżreć zeżre – odparła kobieta i westchnęła. – Sęk w tym, że nie wszystko strawi.

– Aaa... Przesraniutko.

– Och, żebyś ty wiedział... Bazylku, kończ zabawę. Przed nami kawał drogi.

Westchnąwszy ciężko, Bazyl odłożył pada i zeskoczył z wersalki.

– Masz może kask? – zwrócił się do Michałki, przewieszając sobie torebkę przez ramię.

– Czo... znaczy, co takiego?

– Kask – przetłumaczyła nieznajoma. – Będziemy wracać na rowerze, a kask Bazyla został w domu. Jutro ci zwrócę.

Koza na rowerze to już było stanowczo za wiele jak na gust Michałki.

Kwadrans później wyglądał przez uchylone okno i ponad granitowymi nagrobkami obserwował, jak nieznajoma pomagała kozie w szaliczku i kasku umościć się w koszyku rowerowym.

– Odżinko, kupimy szobje konszole? – dobiegło go jeszcze, gdy wreszcie ruszyli.

– Bazylku, przecież my nawet nie mamy telewizora.

– To może chociaż pada?

– A na co ci pad bez konsoli?

– No fjesz. Do szymulaczi.

– Symulacji czego?

– No... no pszczesz, że konszoli!

## Rozdział 2

Odżinko?...

Jechali krętą szosą, o tej porze opustoszałą niczym uczniowski umysł na hasło „a teraz wyciągnijcie karteczki”. Przez nieprzebraną ciemność lasu prowadziła ich przednia lampka roweru, na którym pedałowiała Oda, oraz niewielka latarka w łapkach Bazyla. Mały czort, dla ochrony przed nocnym chłodem staranniej niż zwykle opatuliwszy się szaliczkiem, bawił się w latarnika i pstrykał przełącznikiem w tę i we w tę, na wypadek gdyby z naprzeciwka miało się nagle coś wyłonić – samochód albo spłoszona sarenka.

– Odżinko? – spróbował raz jeszcze, jako że odpowiedziało mu tylko miarowe szuranie opon o nawierzchnię. – Odżinko, czy ty sze gnefasz?

– Nie gniewam się. Myślę.

A było o czym.

Ciałem w drodze do domu, myślami Oda znów była w przychodni. Nim się obejrzała, z siedemnastu pacjentów zapowiedzianych zrobiło się dwudziestu. Z większością uporała się szybko i sprawnie. Ośluchała, opukała i obejrzała co trzeba, obsztorcowała łagodnie paru delikwentów, wypisała stos skierowań i recept na leki, które jak co kwartał znów się zniecka skończyły. Królowały wirusówki, uciążliwe, acz niegroźne, do tego tajemnicza wysypka, ból korzonków i półpasiec – ot, długie, pracowite popołudnie w przychodni. I byłoby też całkiem zwyczajne, gdyby nie...

Aż nią wzdrygnęło na samo wspomnienie.

Karta informacyjna ze szpitalnego oddziału ratunkowego zawierała wyłącznie suche fakty. Imię, nazwisko, adres zamieszkania, numer PESEL – żywy człowiek w streszczeniu. Do tego międzynarodowa klasyfikacja chorób ICD-10, kod tym razem S11.7. Liczne otwarte rany szyi. Nie obejmuje dekapitacji, bo kod na dekapitację, czy raczej urazową amputację na poziomie szyi, to S18, co natychmiast podsunęła Odzie pamięć, równie usłużnie, co idiotycznie, jak gdyby

ktokolwiek po dekapitacji był w stanie zgłosić się do lekarza rodzinnego na kontrolę i zdjęcie szwów.

Chwilę później, z kartą w dłoni, zamyślona Oda Kręciszewska weszła do zabiegowego i zobaczyła człowieka, który krył się za bezosobowymi cyferkami i literkami. W okamgnieniu zapomniała i o niedawnej rozmowie telefonicznej, i o swojej zbłąkanej kozie, czekającej na odbiór u przypadkowego przechodnia.

Facet wyglądał, jak gdyby w ostatniej chwili wyciągnął głowę z paszczy lwa. Cztery szerokie szramy sięgały od żuchwy aż po prawy obojczyk. Goiły się naprawdę ładnie, bez obrzęku czy wysięków, które wymagałyby interwencji, mimo to wciąż robiły upiorne wrażenie. Miał sporo szczęścia, stwierdziła Oda. Cokolwiek zadało mu te rany, mogło go bez trudu zabić, wystarczyło, żeby dosięgło krtani albo tętnicy...

– Panie Tomczak, a pan co znowu nawywijał? – zagaiła pielęgniarka, szykując niezbędny sprzęt, podczas gdy Oda skończyła oględziny i szybko policzyła szwy. Tylko na najkrótszej z ran było ich aż dwanaście...

– Pani Gieniu złociutka... – westchnął na to, zgarbiony na skraju kozetki pod ciężarem niewdzięcznego losu oraz homeopatycznej dawki znieczulenia w płynie. – Pani sobie wyobrazi. Wracam se z roboty, bo widzi pani, pani Gieniu złociutka, ja teraz w Wierzbince za stróża robię, nocnego, bo ja taki z natury mało śpiący – uściślił, wciąż na jednym wydechu. W tym czasie pielęgniarka zdążyła ustawić lampę, Oda zaś umyć ręce, wciągnąć nitrylowe rękawiczki i zabrać się do dzieła. – Więc wracam z roboty, ranny skowronek taki, bo to tuż po ósmej było, aż tu mię nagle potrzeba przyzywa. Więc ja za tą potrzebą przystaję, rower sobie grzecznie o drzewko, co to sobie przy drodze rośnie, no, jak to w lesie, jest las, są drzewa, więc ja ten rower o to drzewko opieram i hyc, w krzaczki, żeby nie świecić przykładem. Więc oddaję się ja, pani Gieniu złociutka, tej potrzebie...

– Głowa bardziej w lewo – poinstruowała Oda. W mocnym świetle lampy jednorazowy skalpel do usuwania szwów puszczał zajączki na suficie i ścianach.

– ...i jak nagle kurrrr...!!! pani doktor wybaczy... więc jak nagle nie

wyskoczy ta cholerna gadzina! Jak mię w pysk nie chlaśnie, że kurrr...!!! Pani doktor wybaczy, ale pani rozumie, to z tych nerw.

– Rozumiem. Jeszcze trochę w lewo... o, tak. I teraz proszę się nie ruszać.

– Więc jak ja się wziąłem zwałem w te chaszczę, w te rowy, pani Gieniu złociutka, to mię mało przykładu nie urwało! I ta gadzina w nogi, a ja leżę i się krwią zalewam, jak świniak się zalewam i myślę sobie, że to koniec, Zdzichu, koniec z tobą, takiego cię znajdą, w tych chaszczach, w tych rowach, z przykładem na wierzchu, panie, świeć nad...

– No i co to była za gadzina, panie Tomczak? – przerwała mu pielęgniarka dziwnie wysokim głosem.

– A bo ja wiem, pani Gieniu? Ja tam się nie znam...

– Pies?

– No gdzie pies, jaki pies, co ja psa bym nie poznał? Z palcem w du... pani doktor wybaczy... bym poznał.

– To ryś może?

– A jaki tam znowu ryś! Duże to było, o, takie – wyciągnął rękę mniej więcej na wysokość pasa – tyle że na dwóch nogach. No i ten... rogate takie.

Cudownie ocalały Zdzichu Tomczak snuł dalej swoją opowieść, lecz Oda przestała słuchać, zapatrzona w lśniące ostrze skalpela, który na moment zastygł w powietrzu, ledwie centymetr od następnego szwu.

Rogate...?

– Ten to ma fantazję... – mruknęła pod nosem pani Gienia, gdy już zostały w zabiegowym tylko we dwie.

– Jak pani myśli, co to mogło być? – zapytała Oda. Zdjęła rękawiczki i odkręciła kran nad umywalką w kącie pomieszczenia, żeby zmyć z dłoni własny pot i cudze zarazki, gdyby okazały się na tyle sprytne, by wedrzeć się pod rękawiczkę. – To coś, co go tak poturbowało?

– No jak to co? Pani doktor... – Pielęgniarka aż pokręciła głową nad jej naiwnością. – Pewnie znowu wracał z nocki wcięty, zwał się w jakieś krzaki i w końcu doigrał. Ja go znam od lat. Mieszka dwa piętra nade mną, nie takie fikołki zdarzało mu się fikać. – Podczas

opowiadania krzątała się po zabiegowym, sprzątając odpady i odstawiając sprzęt na miejsce. Wreszcie przystanąła przed lekarką. – No, pani doktor. Przecież to nasz doktor Lewczyński go znalazł i zawiózł na SOR, nie pamięta pani? Spóźnił się wtedy do pracy. A dzień wcześniej szczepił te hiperaktywne trojaczki i w rejestracji już chodziły zakłady, czy mu będzie trzeba podawać czekoladę dożylnie, żeby się z tego podniósł, czy wystarczy doustnie, ewentualnie z haloperidolem.

– Ach, tak. Już pamiętam – przyznała Oda. Rzeczywiście, tak było. Z tamtego spóźnienia wywiązała się potem długa dyskusja na temat najdziwniejszych rzeczy, jakie zrobili sobie pacjenci pod wpływem. Wygrał, i to w cuglach, młody facet, którego kolega z drugiego końca pomieszczenia trafił rzutką prosto w ucho i przebił mu błonę bębenkową. Odetchnęła, gdy poczuła, jak schodzi z niej część napięcia. Najstarsza pielęgniarka Lew-Medu, czasem obcesowa, zawsze jednak rzeczowa i racjonalna, miała kojący wpływ na swoich lekarzy. W sytuacjach podbramkowych umiała złapać rzeczywistość za jaja i ścisnąć, co było szczególnie przydatne podczas wszelkiej maści kontroli. Oda uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością, po czym wróciła czym prędzej do swojego gabinetu i skupiła się na pozostałych pacjentach, którzy na nią czekali.

Tyle że trzy wirusówki, pięć skierowań i jednego półpaśca później ponownie spotkały się z panią Gienią w zabiegowym. I nie był to wcale ostatni raz.

S41.0, otwarta rana barku, w komplecie z S40.7, licznymi powierzchownymi urazami barku i ramienia. „Najlepsza kurtka do śmieci, a skórzana była, po bracie, teraz to takich nie robią, pani doktor, wie pani, wszędzie to GMO”.

S01.4, otwarta rana policzka i okolicy skroniowo-żuchwowej. „W pysk dostałem, nawet nie zdążyłem się przyjrzeć, co to w ogóle było, ale skrzeczało jak durne i sypało pierzem”.

S00.7, liczne powierzchowne urazy głowy, wraz z S30.0, stłuczeniem dolnej części grzbietu i miednicy. „Pani doktor, jak mną szarpnęło, jak gruchnęłam na ten asfalt, pani doktor, to ja w pierwszej chwili nawet nie wiedziałam, co mi pękło, czy głowa, czy tyłek...”.

S01.1, otwarta rana powieki i okolicy oczodołowej z uszkodzeniem dróg łzowych, („Pani doktor, ja się w wojsku tyle cebuli nie nakroiłem, co teraz, trzy kilo na zupę pokroiłem za jednym zamachem i nic, ani łzy nie uroniłem! A zwykle płaczę jak dziecko!”), do tego S01.2, otwarta rana nosa, oraz S01.9, otwarta rana głowy, część nieokreślona.

Licząc ze Zdzichem Tomczakiem, najbardziej efektywnym z całej piątki, łącznie prawie sto szwów. Jednego dnia.

Kody, nazwiska, urazy i głosy mieszały się teraz w głowie Ody Kręciszewskiej, gdy tak jechała szosą przez wieczorny, grudniowy chłód. Różni ludzie, różne miejsca, różne rany. Każdy z tych przypadków łączyło tylko jedno.

Las.

Zmarszczyła brwi, a jej wzrok spłynął na czortowską głowę w rowerowym kasku, której zarys widziała tuż przed sobą na tle bladej plamy światła. Rogi i wzrost nawet by się zgadzały, ale reszta już nie. Bazyl nie miał pazurów, miał za to nad wyraz czułe serduszko. Ilekroć jechała z Kuleczką do weterynarza na obcięcie pazurów, pół dnia zanosił się płaczem, chociaż i Oda, i Roch, i sama psina, na swój sposób, zapewniali go na wyścigi, że to przecież nic a nic nie boli. Nigdy w życiu nie zaatakowałyby człowieka – prędzej na samą myśl zemdlałyby z wrażenia.

Ale był dzisiaj w lesie. W lesie, w którym najwyraźniej ostatnio działo się coś złego.

– Bazylku... – Oda ostrożnie, by go nie spłoszyć, przerwała milczenie. – A tak właściwie to co ty dziś robiłeś w tym lesie?

Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że mały czort wyprostował się nieznacznie w koszyku, jak gdyby coś go uwierało w ogonek.

– Czosz – odrzekł wymijająco po chwili namysłu.

– Czyli co?

– Czosz... fasznego.

– Czyli?...

– Ne pofjem. To szom pryfatne szprafy. – Rowerem znów lekko zakołysało pod ciężarem wzburzonej czortowskiej godności. – Mam prafo do pryfatnoszczy!



– Oczywiście... oczywiście, że masz. Masz też szczęście, bo ta dzisiejsza przechadzka mogła się skończyć o wiele gorzej. Czy na przyszłość mógłbyś uprawiać prywatność z dala od siedlisk ludzkich?

– Jeden Michałko szedłiszka ne czynji – wytknął jej Bazyl, poprawiając kask. – Czo najfyszej pszyczółek.

– Od dawna uprawiasz tę swoją prywatność w lesie?

– Och, ne, dopjero od paru dni.

– I jak ci się podoba? Ten las?

– Ładnje. Ne to czo u nasz, tylko szkały i szkały, i... i jeszcze fjenczej szkał. Duszo, duszo szkał. – Zacmokał. – Tak... I lafa. Fjesz, Odżinko, od lafy fszyszko robi sze chrupkje. Ne to czo w lesze.

– Dusze pokutujących grzeszników też?

Mały czort odwrócił głowę i spojrzał na wiłę ze sceptycyzmem, podkreślonym przez blask latarki, który oświetlał jego pysk od bródki strony.

– Fjesz czo? Pofinenem sze obrażycz. Mamy dfudżeszty pjerfszy fjek, a ty fjeszysz f te bźdury? I czo jeszcze, koczołki z frzonczym magicznym fyfarem?

– Wybacz. Nie chciałam powielać stereotypów.

– Fybaczam – odparł wspaniałomyślnie i szybko uściślił: – Fybaczam, bo idom szfjenta. A szfjenta to czasz fybaczenja.

– I pierniczków.

– Oczywiście!

– Rozumiem twoją potrzebę prywatności, Bazylku – podjęła Oda, pokonawszy ostatni ostry zakręt. – Wolałabym jednak, żebyś nie oddalał się za bardzo od domu.

– Ne jesztem dżeczkiem! F czortofszkich latach liczonc...

– Wiem, Bazylku. Wiem. Ale uważaj na siebie, dobrze? I miej oczy dookoła głowy.

– Dopsze, dopsze. Aaa... czemu?

Wiła przecięła szosę i zatrzymała rower na poboczu, u wylotu wąskiej, piaszczystej ścieżki. Na drugim jej końcu stał drewniany dom, wciąż bez prądu, oświetlany blaskiem ledowych lamp na baterie, za to ciepły i przyjazny – dom, w którym czekała stęskniona Kuleczka i zawsze ciepła kaflowa kuchnia, na niej zaś garnuszek

wczorajszej zupy i czajnik z wodą na herbatę.

Tyle że aby tam dotrzeć, trzeba było przejechać najpierw przez gęsty, ciemny las, który nagle wydał się Odzie jeszcze gęstszy, jeszcze ciemniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

– Bo tu się chyba dzieje coś złego, Bazylku – odparła szeptem, błędząc wzrokiem po nieprzejranej ścianie drzew i mroku. – A ja jeszcze nie wiem co.

\*\*\*

Sobotnim rankiem Odę obudziło ciche, za to uporczywe stukanie. Przez moment sądziła, wciąż otumaniona snami, że ktoś próbuje wbić jej coś do głowy, ewentualnie wybić, i poderwała się gorączkowo. Lecz gdy otrzeźwiała nieco bardziej, połapała się, że dźwięk dobiegał z zewnątrz, zza ściany, do której przysunięte było jej łóżko. Wygrzebawszy się spod kołdry, Oda zgarnęła włosy z twarzy, dźwignęła się na łokciu i wyrzwała przez okno.

Po drugiej stronie, na drabinie, stał Roch. A przynajmniej tak założyła, choć sama nie umiała powiedzieć, jakim sposobem rozpoznała go po tym kawałku człowieka w dzinsach, mniej więcej od kolan po pas. Cóż, istniał bardzo prosty sposób, żeby to sprawdzić. Usiadła na łóżku i zanim dotarło do niej, jaki widok musiała prezentować – wymięta, rozczochrana, sino-błada – z werwą zastukała w szybę.

Człowiek w dzinsach zstąpił szczebel niżej, pochylił się i zajrzał przez okno.

Istotnie, był to Roch. Cóż. Chociaż tyle dobrego, że nie takie maskary widywał. „I przeżył”, pomyślała Oda z rozbawieniem.

– Ka-wa? – przesyłabizowała głośno i wyraźnie, żeby ją usłyszał. Przytaknął krótko i wrócił do wbijania gwoździ.

Kiedy Oda wyłoniła się z sypialni, wykończony prywatnością Bazyl wciąż spał jak zabity – już nie w plastikowym koszu, jak na początku, lecz w porządnym, wiklinowym, i nie na stercie prania, a na poduszce, pod kocykiem z miękkiego akrylu, z Kuleczką wciśniętą pod pachę. Czekając, aż woda w czajniku zacznie wrzeć, Oda

przysłuchiwała się ich pochrapywaniu i posapywaniu, chłonęła na zapas tę błogość i beztroskę.

– Nie miałaś dziś jechać do arboretum? Na komisyjne przycinanie... czegoś bardzo rzadkiego, czego nazwy zapewne nigdy sobie nie przypomnę? – zapytała kwadrans potem, gdy Roch schował woreczek z gwoździami do kieszeni bluzy, młotek odłożył na balustradę i usiedli razem na werandzie, każde ze swoim kubkiem.

– Miałem.

Cały Roch, krótko i na temat. Ktoś inny zapewne poczułby się urażony tak zdawkową odpowiedzią albo, co gorsza, uznałby ją za dobry wstęp do rozwinięcia tematu, Odzie jednak nic podobnego nie przyszłoby do głowy. Widać Roch miał powody, by zamiast do arboretum przyjechać tutaj i wbijać gwoździe.

Milczeli zatem, swobodnie i niewymuszenie, bez wyrzutów sumienia, że wypadałoby coś powiedzieć, zanim zrobi się naprawdę niezręcznie, i sącząc gorącą kawę, patrzyli na zielony las. Jak dwoje całkiem zwyczajnych ludzi. Nikt, kto by ich teraz zobaczył, nie podejrzewałby pewnie, że ta kobieta z wietrzykiem igrającym we włosach, które chłonęły wilgoć poranka i skręcały się coraz niesforniej, w rzeczywistości była wiłą, a ten małomówny mężczyzna u jej boku, o młodej twarzy i siwiejących włosach – płanetnikiem. I że nie tak dawno temu, na tej właśnie ziemi, wspólnie przeciwstawili się istocie z piekła rodem, która wynurzyła z mroku rogaty łeb i zapragnęła się tu rozgościć.

Oda poczuła to już wtedy, tamtego sierpniowego ranka, gdy Roch nie zawahał się stanąć u jej boku, a potem z każdym kolejnym tygodniem jedynie utwierdzała się w tym przekonaniu. Łączyło ich coś więcej niż skrywana przed światem nadprzyrodzona natura czy przywiązanie do tej polany pośrodku lasu, z dala od ludzkich spojrzeń i pytań. Pomału, niepostrzeżenie stawał się dla niej tym rodzajem przyjaciela, który nic nie powie, za to podczas huraganu stulecia przejedzie sto kilometrów do najbliższej cukierni i z powrotem, bo chociaż sam unika cukru, to wie, że w każdy drugi czwartek miesiąca lubisz zjeść pączka z różą do popołudniowej kawy.

I że pączek hiszpański to nie pączek.

– Wygląda na świeże – rzuciła Oda, niby to w przestrzeń.

Roch od razu zrozumiał, do czego piła. Rzucił okiem na swoje palce. Opuszki były wyraźnie zaczerwienione, a w paru miejscach utworzyły się pęcherzyki z surowicznym płynem.

– Smarujesz to czymś?

– Tak, pani doktor.

– Hej, ty mi wbijasz gwóźdki – zauważyła, co skwitował prychnięciem.

– Więc ty będziesz mi smarować paluszki?

Odstawił kubek z niedopitą kawą i sięgnął po rękawice. Obserwując, jak naciągał je na poranione palce, Oda zmarszczyła brwi.

– Wbijasz wszędzie te gwoździe z jakiegoś konkretnego powodu?

– Dom pracuje. Osiada. Robią się dziury i szpary. – Złapał młotek i zakołysał nim, by na nowo przyzwyczaić dłoń do ciężaru. – Trzeba się ich w końcu pozbyć, żeby ci myszy nie wlażyły.

– Już wlażyły – odparła beztrąsko. – Bazyl nawet uwił im gniazdko w puszcze po maślanych ciasteczkach.

Przechyliła głowę i patrzyła na niego, czekając, co powie. Roch popatrzył w niebo. Dobrze znała to, nomen omen, chmurne spojrzenie.

– Idzie śnieg.

To zmieniało postać rzeczy. Nie zadając więcej pytań, Oda odniosła kubki, chwyciła za siekiere i poszła rąbać drwa na zapas.

Bazyl w końcu się obudził i skupił na sprawie najistotniejszej, to jest śniadaniu. Wdział fartuch, przysunął sobie do kuchni drewniany stołeczek ze stopniem i wziął się za smażenie naleśników. Sobotni poranek bez naleśników z dżemem w jego oczach uchodził za profanację weekendu i wstęp do moralnego upadku ludzkości. Nieludzkości też.

Po słodkim śniadaniu Roch i Oda rzucili się z powrotem do pracy, żeby spalić chociaż część tych kalorii, które właśnie wchłonęli. Słońce wspinało się coraz wyżej po błękitnym nieboskłonie. W jego blasku Oda, choć jak zawsze z wichrem we włosach, do tego zziajana i zgrzana, wydawała się promienieć.

W pewnym momencie uświadomiła sobie, że od dłuższej chwili nie słyszała już za sobą stukotu wbijanych gwoździ. Rzuciła rozrąbany klocek na stertę, odwróciła się w kierunku domu i spostrzegła, że Roch stał nieruchomo i się jej przyglądał.

– Wszystko gra? – zawołała.

Nie odpowiedział. Zamiast tego zebrał narzędzia i wrzucił na tył nieśmiertelnej białej półciężarówki, którą jeździł.

Zanim zaskoczona Oda podeszła do niego, zdążył już wsiąść za kierownicę.

– Hej! O co chodzi?

Omiótł przelotnie jej postać, postawną, w różowych glanach i popielatym swetrze o fasonie worka na ziemniaki, po czym zatrzymał wzrok na siekierze, którą wciąż ścisnęła w dłoni.

– To nie to, co myślisz. Przysięgam! – zaśmiała się Oda. Widziała po płanetniku, że walczył z myślami, które kłębiły się w jego głowie, tylko nijak nie chciały dotrzeć do ust.

Wreszcie rzekł, nie patrząc przy tym w jej stronę:

– Przejeżdżałem wczoraj koło przychodni. Wieczorem. Chyba późno kończyłaś.

– Ach, tak. Krzyś prosił, żebym została dłużej. Przy tej pogodzie ludzie smarczą na potęgę. Wiesz, rano ubierają się jak na wielkie zlodowacenie, a w południe ociekają potem, ale szaliczka nie zdejmą, no bo przecież grudzień. – Uśmiechnęła się, chyba trochę nerwowo. Ale dlaczego? I dlaczego nagle zaczęła tak trajkotać jak ostatnia idiotka?...

– Krzyś?

– Szef.

– Aha. No tak.

Roch zapiął pas i odpalił silnik.

– No? Co?

– Ja nie mówię o swoim szefie per Krzyś.

– Może dlatego, że nie masz szefa! – odparowała, lecz tych słów już Roch nie usłyszał, bo jego samochód właśnie zniknął między drzewami.

## Rozdział 3

Że co? – Oda znieruchomiła w pół kroku, próbując przetworzyć to, co właśnie usłyszała.

Całe przedpołudnie spędziła na układaniu porąbanego drewna w zgrabny stos w półotwartej drewnutni, którą późną jesienią wzniosła z pomocą Rocha, i zabezpieczeniu go plandeką przed deszczem. Skończywszy, ogarnęła się pobieżnie, wsiadła na rower i popedałowała do miasteczka. Wszystko przez to, że Bazyłowi zamarzyły się na obiad placki ziemniaczane z cukrem i śmietaną. Cukier, owszem, posiadali w zapasie zdolnym doprowadzić cały pułk do cukrzycy, ale krótka wizyta w piwnicy ujawniła wstrząsającą prawdę, której żadne z nich się nie spodziewało. Ziemniaki wyszły co do ostatniej, krąglutkiej bulwy.

Godzinę później, z dwoma piętnastokilogramowymi workami kartofli w sakwach rowerowych oraz, tak dla zachowania względnej równowagi, dziesięcioma kilogramami cebuli, litrem śmietany, paczką pistacji i zapasem baterii w koszyku, Oda wracała do domu. Zgodnie z przewidywaniami synoptyków z porannych pięciu stopni zrobiło się szesnaście, rozpięła więc kurtkę, ściągnęła czapkę i jechała, napawając się ciszą i samotnością.

A przynajmniej do czasu, kiedy rzut oka na biel chmur skłębionych nad głową przypomniał jej o Rochu. Mięśnie pracowały uczciwie, szara wstęga asfaltu kluczyła pośród leśnej zieleni, słońce przyjemnie grzało w plecy i nim się obejrzała, wiła zaczęła myśleć. Lecz im dłużej myślała, tym bardziej nie wiedziała, co w zasadzie myśleć powinna, gubiąc się doszczętnie w gąszczu pytań.

Skupiła się więc na faktach. Roch miał pojechać do arboretum. Co prawda nie przychodziło jej do głowy nic, co można by robić w takim miejscu w grudniu, nawet przy obecnej pogodzie, no ale w końcu to on był fachowcem od badylków, nie ona. Miał pojechać. Ale nie pojechał. Zamiast tego zjawił się u niej. Po co? Ano po to, żeby wbić kilka gwoździ tu i tam, że niby szpary, że myszy, olaboga! Jak gdyby

Oda w życiu nie mieszkała z myszami pod jednym dachem! A przecież mieszkała – i z myszami, i jaszczurkami, i węzami, i nawet skorpionem, i żadne z tych stworzeń nie mogło się równać z jej matką, o czym Roch wiedział doskonale. Przecież znał Odę. Więc skąd ta zmiana planów? Te gwoździe? I przede wszystkim skąd ten nieoczekiwany foch w finale poranka?

Oda zdjęła stopy z pedałów i pozwoliła, żeby rower sam wytracił prędkość, i po chwili zatrzymała się przed prześwitem. Zasięg kończył się kilka metrów stąd, w leśnej gęstwinie, która skrywała polanę i dom. Nie wiedząc jak i kiedy, wiała już trzymała w dłoni komórkę i wybierała numer kuzynki. Choć młodsza, w tak zwanych życiowych sprawach miała lepsze rozeznanie.

– Klasyczna scena zazdrości – powtórzyła Agnieszka, chwilowo zredukowana do głosu w telefonie. – Nie mów, że nie zauważyłaś.

– Zazdrości? Ale o co?

Z komórki dobiegło ciężkie westchnienie.

– Ty chyba masz coś z głową, wiesz?

– Nie przeczę – przyznała Oda bez oporów – ale to wciąż nie zmienia faktu, że nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Ze wzrokiem chyba też u ciebie nie najlepiej... Może zrób sobie jakiś przegląd generalny czy co? Podobno jesteś lekarzem...

– A ty podobno inżynierem, prawda, Aguś? – odgryzła się Oda. – Takim tycim Bobem Budowniczym w kaloszkach w kwiatuszki. Więc ja bardzo proszę – konkretnie. Cyferki, jednostki, summa summarum, do dwóch miejsc po przecinku.

– Ach, jak do dwóch, to proszę bardzo. Twój Roch razy twój Krzyś równa się wielka zazdrość. Do potęgi entej.

– Ale to wcale nie jest „mój” Roch!!! – Wiała zmarszczyła brwi, z zaskoczeniem wychwytyjąc we własnym głosie nutę dziwnie trącającą histerią. Odchrząknęła. – Ani tym bardziej „mój” Krzyś – dodała już z większym opanowaniem. – Jeden dogłada mojego ogródka, a drugi... No i czego tam rżysz jak młoda kobyła? Lepiej uważaj, bo jak dodam, że regularnie strzyże moje chaszczki, to się na śmierć zatchniesz – dodała zgryźliwie. A potem ni stąd, ni zowąd sama zaczęła się śmiać do słuchawki, aż jej łzy poleciały ciurkiem po

policzkach.

– No ale... no sama powiedz – wydusiła wreszcie Agnieszka. – Jakby tak chwycił swój szpadel w tę silną, spracowaną dłoń i jął spulchniać jak... jak...

– Rany boskie, Aguś, przecież ty świntuszysz gorzej niż wuj Zdzych po trzecim kielichu!

– Czekaj, mam jeszcze wersję z glebogryzarką, wiciokrzewem i bobrem! Gotowa?

Kiedy głupawka już prawie im przeszła, Oda sięgnęła po chusteczkę higieniczną, żeby przetrzeć oczy. Od tego całego śmiechu aż kłuło ją w boku. Zsiadła w końcu z roweru i oparłszy go o drzewo, przeciągnęła się leniwie, żeby rozprostować plecy. Nagle poczuła we włosach chłodny powiew wiatru. Spojrzała w górę – nad rozkołysanymi czubkami drzew pomąłu wzbierała chmura, wielka, gęsta i złakniona nieba. Z każdym kolejnym podmuchem zbliżała się nieuchronnie w stronę słońca. Roch jak zwykle miał rację. Zima była tuż-tuż.

Czy to wiatr, czy może szum jesiennego lasu, dotychczas tak cichego i zastygłego w bezruchu, sprawił, że Ode naraz przeszył dreszcz? Chwyciła szalik i owinęła się nim ciaśniej, kuląc ramiona i rozglądając się z niepokojem. Przed oczami znów stanęli jej wczorajsi pacjenci w zabiegowym. Tyle ran. Tyle szwów...

Naraz zapragnęła wrócić jak najszybciej do domu.

– Słuchaj, Aguś, to nie jest ani mój Roch, ani mój Krzyś. Mówię poważnie. Jeden... – zawahała się i szybko przemyślała sprawę. – Jeden wbija mi gwoździe i pomaga w odstraszaniu tatusiów, drugi chlipie w mankiet, że mu się znowu grafik nie domyka. Płanetnik i pierdoła. Lubię ich, każdego na swój sposób, oni zapewne lubią mnie, ale nic poza tym.

Odpowiedziało jej bardzo wymowne westchnienie.

– Oj, Oduś, Oduś...

– No co znowu? Mów, bo słyszę, że się zapowietrzasz.

– Jako Bob Budowniczy w kaloszkach pozwolę sobie fachowo zauważyć, że nie wzięłaś pod uwagę jednego istotnego czynnika, który koniec końców może przyczynić się do katastrofy i ofiar



w ludziach.

– Czyli czego?

– Czyli zmiennych warunków pogodowych. Ludzie czasem zmieniają zdanie, wiesz? Zaczynają coś czuć, chociaż wcale nie mieli takiego zamiaru. Bo to silniejsze od nich. I tak sobie myślę, że Roch właśnie zaczął. – Na moment w słuchawce zapadło milczenie, po którym nastąpił głęboki wdech. – A czy ty...?

– Czy ja co?

– No wiesz. – Oda dałaby sobie rękę uciąć, że słyszy, jak kuzynka znacząco porusza brwią. – No... nooo... oookej, czyli nie wiesz. Serio, czasem odnoszę wrażenie, że spędziłaś pół życia w dżungli, z dala od...

Uśmiechając się pod nosem, Oda czekała na moment olśnienia, który musiał w końcu nadejść.

– A. Fakt, spędziłaś.

– Słuchaj, muszę już kończyć. Zaraz stracę zasięg, a wiozę Bazyłowi trzydzieści kilo ziemniaków na placki. Bardzo dużo placków.

– Jasne, ucałuj od nas małego czorta. Powiedz mi tylko jeszcze... nie zmieniłaś zdania?

– Nie zmieniłam.

– Na pewno?

– Na pewno na pewno.

– No dobrze. Skoro tak chcesz. Ale wiesz, jakby co...

– ...to macie jedno wolne łóżko w tym domku w górach i Halszka obiecuje, że wcale nie będzie przez pół nocy do mnie gadać. Pamiętam, Aguś. I raz jeszcze dziękuję za zaproszenie, ale nic się pod tym względem nie zmieniło. Wciąż nie obchodzę świąt.

– To może chociaż przyjmujesz prezenty...?

– Nie, żadnych... – Tym razem to ona potrzebowała chwili, żeby załapać. – Już kupiłaś, co?

– Już!?! – powtórzyła Agnieszka, po czym prychnęła z pogardą. – Moja droga, prezenty świąteczne to ja kupuję we wrześniu!

\*\*\*

W ciągu następnych godzin przejmujący wiatr wyraźnie przybrał na sile i całe niebo, aż po horyzont, zaszło chmurami o wydętych, sinoszarych brzuszyskach.

Tymczasem mniejsze, acz równie imponujące brzuszysko, porośnięte brązową szczeciną, wystawało z wiklinowego kosza w kącie kuchni i wydawało odgłosy. Mnóstwo odgłosów. To burczało, to znowu stękało, a w pewnym momencie zajęczało żałośnie:

– Odżinko... Odżinko...

Oda podniosła głowę znad książki.

– Tak, Bazylku?

– Ten szedemnaszty placzek... to chyba był blond...

– Bazylku, zjadłeś dwadzieścia cztery placki.

– Ale to ten szedemnaszty mi tak zaszкодził.

Dopiero kubek miętowej herbaty, ciepła Kuleczka przytulona do pleców i termofor na brzuchu przyniosły małemu czortowi ulgę na tyle, by zdołał zasnąć, skupiając energię pokracznego ciała na wytężonych procesach trawiennych. Okrywszy go dodatkowym kocykiem, Oda dorzuciła drewno do pieca i wróciła do swojej książki. Tyle że jej głowa za nic nie chciała się skupić na czytaniu, a i wzrok, zamiast do liter, co rusz wędrował w stronę okna, za którym zawodził wiatr. Słyszała go. Czuła każdym centymetrem ciała, od głębi trzewi aż po czubki palców. Wibrował w kościach, mrowił pod skórą, przesywał znajomym, jakże przyjemnym dreszczem. Wołał tęsknie – i czekał, aż Oda odpowie na jego wołanie. Jak zawsze.

Bo tak też to dotąd wyglądało. Ilekroć zrywał się wiatr, niosąc ze sobą zmianę, Oda zrywała się razem z nim i pędziła przed siebie, byle gdzie, byle jak najdalej. Wtedy nie zdawała sobie sprawy, że kierowało nią coś więcej niż pragnienie ucieczki przed matką i jej nieustającymi wyrzutami, przed wiecznym potępieniem i niezadowoleniem, których Oda nie rozumiała i z którymi nigdy nie umiała się zmierzyć. Zamiast tego uciekła z domu i tak uciekała przez lata, niesiona wiatrem to tu, to tam, bez ustanku. Tym sposobem zjechała cały świat z kolejnymi misjami medycznymi, docierając do zakątków znanych jej dotąd z książek przygodowych. Tam znalazła wszystko, czego pragnęła: wolność, radość, ciągle nowe wyzwania

i satysfakcję, gdy z powodzeniem stawiała im czoło. A nawet złudzenie spokoju.

Aż zeszłej zimy wszystko się zmieniło.

„Czy to nie dziwne”, pomyślała Oda, zapatrzona w swoje odbicie w szybie, „że trzeba było śmierci, abym mogła zacząć żyć?”. Śmierć ojca wypchnęła ją z miejsca, którego nigdy nie nazwała domem. Śmierć matki sprowadziła z powrotem.

Matka umierała długo. Bynajmniej nie po cichu, o, nie. Miała w sobie jeszcze sporo żalu do wylania, sporo szpil do wbicia. I wbijała je, jedna po drugiej, cierpliwie, resztkami sił, póki jej córka, ta wyrodna szalawiła, nie zaczęła przypominać poduszeczki na igły. Dopiero wtedy odeszła tak, jak żyła – rozgoryczona i rozczarowana. A Oda w końcu odetchnęła pełną piersią i nawet przez moment nie było jej żal, że nie płacze po własnej matce.

Niedługo potem znalazła tę polanę wśród lasu i z pomocą Agnieszki postawiła na niej dom, własny, drewniany, w nim zaś poznała przyjaźń bez żadnych warunków oraz prawdę o przeszłości, której nie mogła pamiętać. Była wiłą, nie człowiekiem, czterdzieści lat temu adoptowaną przez bezdzietne małżeństwo w średnim wieku. Istotą o naturze tak im obcej i niepojętej, tak nieokiełznanej, że to się po prostu nie mogło udać... a przynajmniej tak chciała myśleć. Tak było prościej.

A teraz, pomału, stawiała się sobą. Naprawdę. Odą, lekarką, wiłą z lasu. Zapuszczała korzenie i po raz pierwszy nie chciała nigdzie odchodzić.

– Możesz sobie zawodzić do woli – szepnęła do wiatru za oknem. – Ale nie tym razem.

Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi się spodziewał, bo z furią załomotał do drzwi. Oda aż poderwała się z ławy, zaskoczona tą gwałtownością. Nie zdążyła jednak usiąść z powrotem, gdy łomotanie się powtórzyło.

Za progiem stał Roch. W objęciach trzymał sporych rozmiarów pakunek, owinięty brezentem i przewiązany sznurkiem.

– Cześć.

– Och. Cześć! Obyś był głodny, bo Bazyla trochę poniosło przy

ziemniakach. – Odsunęła się, żeby wpuścić go do środka. – Mam w piwnicy miednicę świeżej masy na placki...

– Placki, powiadasz. Z serem?

– Z serem.

– Coś na to poradzimy.

Podczas gdy wiła grzała patelnię, pakunek spoczął pod ścianą, a Roch wyplątał się z kurtki.

– Nie żartowałeś z tą miednicą – stwierdził płanetnik, zabierając Odzie miskę z rąk, i skinieniem głowy dał jej znać, że potrafi samodzielnie obsłużyć patelnię. Nie zamierzała szczególnie protestować. Odsunęła się kawałek, patrząc, jak Roch z wprawą rzucił na patelnię dużego ziemniaczanego kleksa, a po nim dwa następne. Zaskwierczał rozgrzany tłuszcz i masa szybko zaczęła nabierać rumieńców.

– Wiesz, Bazyl plus tarka... – Urwała. Dotąd widywała Rocha raczej z kosą lub siekierą w dłoni, a nie łopatką do obracania placków, śledzącego w skupieniu brązowiejącą ziemniaczaną breję zamiast chmur. Nie żeby ten widok ją zaskoczył – zawsze była orędowniczką równości płci także w kwestii prac domowych, którą to równość głosiła tak słowem, jak i uczynkiem, a raz nawet za pomocą nad wyraz celnie rzuconej zmiotki. Poza tym znała już Rocha na tyle, by wiedzieć, że bez trudu ogarniał tak zwane życie. Nie, nie o to chodzi. Ani o to, jak podwinął rękawy granatowej bawełnianej koszuli, a światło lampy igrało w jego szpakowatych...

O.

Rany.

Boskie.

Oda przewróciła oczami, za wszelką cenę starając się zdusić jęk. Agnieszka i te jej durne pomysły! Już ona jej da glebogryzarkę!

– Zajmę się nim, jeśli chcesz jechać – odezwał się po chwili Roch, kiedy pierwsza partia dobra zjechała z patelni na talerz, a na jej miejscu rozkwitły następne trzy kleksy.

Nie od razu złapała kontekst.

– A dokąd ni... ach, mówisz o świętach? Dzięki, ale nie musisz się kłopotać. Nigdzie nie jadę, nie obchodzę świąt.

– Myślałem, że jesteś wiłą, nie Grinchem.

– A to się wyklucza? Grinch to styl życia, a wiła to stan umysłu. Oraz fryzury. – Na dowód potrząsnęła lokami i przechyliwszy głowę, uśmiechnęła się po swojemu, aż w zewnętrznych kąciach jej zielonych oczu zaroilo się od drobniuteńkich zmarszczek. – Nie obchodzę świąt. Co więcej, w ogóle świąt nie lubię, matka skutecznie mi je obrzydziła.

– Dawała ci skarpetki pod choinkę?

– To też. Ale do zabicia wszelkiej radości ze świąt wystarczył jej opłatek.

– Smarowała go tranem i musztardą?

– Ej, uwielbiałam tran z musztardą! A już na pewno wolałabym to od karpia, którego przyrządzała babcia. Kto normalny je zimną rybę w galarecie, na dodatek z rodzynkami?! – Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – Nie, moja matka oczekiwała ode mnie życzeń. Nie wystarczyło, że dołączyłam do chóralnego „no to najlepszego i obyśmy zdrowi byli” rzucanego nad stołem. Miało być indywidualnie, z polotem i od serca, żeby cała zebrana rodzina słuchała ze łzami w oczach, jak bardzo Odeńka kocha mamusię. Tyle że ile bym nie myślała nad tymi życzeniami...

– ...zawsze było źle.

– A nawet gorzej. „Mogłaś się bardziej postarać dla matki”, mniej więcej od piątego roku życia. Nawet czysty barszcz stawał mi potem w gardle. – Poderwała się, złapała za pusty czajnik i zakołysała nim wymownie, żeby zmienić temat. – Herbaty? Bazyl naprawdę nie żałował żółtego sera. Ani cebuli.

Z wiklinowego koszyka dobiegła przytłumiona kanonada.

– Właśnie słyszę... – Obejrzawszy się na czorta, Roch zgarnął talerz ze stertą świeżych placków i usiadł przy stole. – Czyli świąteczna trauma.

– Na dodatek wzmocniona światopoglądem – rzekła Oda, podsuwając mu śmietanę i cukier, co skwitował prychnięciem. Postawiła zatem napełniony czajnik na kuchni i zajęła miejsce naprzeciwko planetnika. – Osobiście odrzuca mnie myśl o upersonifikowanej sile wyższej, która wedle własnego widzimisie

rozstawia nas jak pionki na szachownicy, a my nie dość, że nie mamy żadnego wpływu na to, jaki ruch wykonamy w swojej turze, to jeszcze musimy co roku wyprawiać kinderbal jej pierworodnemu, żeby mu nie było przykro.

– To chyba szło trochę inaczej – zauważył Roch.

Oda wzruszyła ramionami.

– Niuanse.

– Trochę szkoda. Liczyłem, że cię zobaczę w piżamie w renifery. – Przełknął kęs i spojrzał na nią z ukosa. – Choinki też nie uznajesz?

– No nie, tylko nie mów, że ty też kupiłeś mi prezent...

– Nie.

– Nie mówisz?

– Nie kupiłem. – Roch dokończył bez pośpiechu ostatni placek, sprzątnął naczynia i dopiero potem sięgnął po pakunek, z którym przyszedł. – Kinderbal dla pierworodnego to też nie moje klimaty – przyznał, rozplątując sznurkowe węzły. – Ale pewnych rytuałów trzeba dopełnić. Nadciąga czas przesilenia.

– Obawiam się, że nie rozumiem. Jestem dość nowa w tej branży – zauważyła, zresztą niebezpiecznie.

– Przesilenie zimowe to najdłuższa noc w roku.

– Owszem – przytaknęła w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Wiedziała, że nastąpi, Roch musiał tylko zebrać się w sobie. Wycisnąć odpowiednie słowa.

– Noc to czas śmierci. Zwłaszcza ta noc. Sprzyja złu. I czarom.

– Przepraszam, czemu...?

– Czarom – powtórzył cierpliwie Roch. – Granica między światami się zaciera, zanika. Z zaświatów wyłaniają się dusze przodków. Demony. I zyskują bardzo konkretną moc. Dlatego w kącie musisz postawić to.

Oda najpierw długo wpatrywała się w gruby pęk zbożowych ździebeł, wciąż zwieńczonych pękatymi kłosami i obwiązanych czerwonym sznurkiem.

– Ten snop zboża? To jakaś rytualna ozdoba czy jak?

– Dyduch. Będzie strzegł twojego domu podczas przesilenia. I przez dwanaście następnych dni. To tak zwana dwunastnica.

– Aha. A będzie go strzegł przed...?

– Demonami.

– Aha. Ten wiecheć.

– Tak, Odo. Ten wiecheć. Potem trzeba go będzie spalić.

– Zapewne też rytualnie.

– Oczywiście. A to – wyjął z pakunku dziwną wiązaną okreconą takim samym sznurkiem co dydych – musi zawisnąć pod sufitem. – I nie czekając na opinię Ody, wszedł na ławę, zrobił pętlę na końcu sznurka i zaczepił go o gwóźdź, który wystawał z belki stropowej.

Wiła przyjrzała się tej wątpliwej ozdobie.

– Rozpoznaję jemiołę i bluszcz, a to trzecie to...?

– Ostrokrzew. W trakcie przesilenia te rośliny sprowadzają prorocze sny. A dwunastnica to również czas wróżb na cały nowy rok. Po jednym dniu za każdy z dwunastu miesięcy – wyjaśnił planetnik i zeskoczył z ławy. – Natomiast to – rozchylił brezent do końca, odsłaniając stertę drewnianych szczap – spalisz w sam wieczór przesilenia. Ogień zanieś też na cmentarz. Wiesz który.

– A po co?

– Żeby dusze przodków się przy nim ogrzały. I nie zawędrowały zbyt daleko. W przeciwnym razie nie odnajdą drogi powrotnej.

– I ty w to wierzysz? – zapytała Oda, unosząc brew z powątpiewaniem. – W te... rytuały? Wiecheć obronny, prorocze sny od ziółek i...

Z każdym jej słowem brwi planetnika ściągały się coraz mocniej.

– Rytuały są bardzo ważne – nie dał jej dokończyć. – Bardzo. Zachowują ład.

– Mop jest chyba bardziej przydatny?

Roch splótł ręce na piersi i spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

– Odo, ty nie jesteś człowiekiem. Jesteś wilą. Zrozum wreszcie, że racjonalizm nie zawsze wystarczy. Nie na wszystko. Wiesz, co się czai w tym miejscu. Choćby tu, pod naszymi stopami. Pamiętasz?

Rogaty łeb z przeciętym blizną pyskiem. Żar gorejących oczu. Smród kosmatego, olbrzymiego cielska. Ostre, bezlitosne pazury, drapiące, szukające zachłannie. Szukały jej – i niewiele brakowało, by

ją znalazły.

Powoli skinęła głową. Pamiętała. Jak mogłaby zapomnieć?

– Przesilenie zimowe to coś więcej niż kinderbal – rzekł cicho Roch.  
– Znacznie więcej. Skoro zostajesz w domu, dopełnij rytuałów. Proszę, Odo. Dla własnego bezpieczeństwa. Albo jedź do rodziny, do Agnieszki.

– Agnieszka wybiera się z rodziną w góry na cały tydzień – odparła.  
– Zapraszała mnie, no bo to przecież moje pierwsze święta w ojczyźnie od lat i tak dalej... ale podziękowałam. Dobrze. Skoro ci tak zależy, będę śnić wróżebnie i hasać po lesie z otwartym ogniem. –  
Chociaż z jej słów aż biła przekora, zauważyła, że Roch wyraźnie się uspokoił. I wtedy o czymś sobie przypomniała. – A ty? Masz kogoś? Znaczy, kogoś, z kim spędzisz święta – odpowiedziała szybko, gdy dziwny błysk w oczach Rocha uświadomił jej, jak to prawdopodobnie zabrzmiało.

– Matkę. – Obciągnął rękawy i sięgnął po kurtkę. – Polubiłabyś ją. Jest taka jak ty.

– Dziwna?

– Twarda. Jak trzcina. Dogniesz ją choćby do samej ziemi, a ona i tak się wyprostuje z powrotem.

– Wiesz, to chyba najdłuższe zdanie, jakie usłyszałam z twoich ust.

I może dlatego Roch nie powiedział nic więcej, tylko obrzucił Ode długim spojrzeniem i wyszedł, chociaż nawet nie zdążyli zaparzyć tej herbaty.

Chwilę później na zewnątrz zaczął padać śnieg.



## Rozdział 4

Rano, jak okiem sięgnąć, całą polanę spowijała biel. Oda długo stała przy oknie, z kubkiem gorącej kawy w dłoniach, i syciła oczy i duszę tym nieskalanym, roziskrzonym widokiem. Dotąd nie uświadamiała sobie nawet, jak bardzo brakowało jej zimy. Takiej prawdziwej, szczypiącej w policzki, skrzypiącej pod podeszwami ciepłych, wysokich butów. I oto przyszła, choć jeszcze wczoraj jesień zdawała się panować tu niepodzielnie. Tymczasem wystarczyła jedna noc i zniknął staw o tafli ściętej mrozem, zniknęła ścieżka wiodąca w świat, jeden po drugim zniknęły krzewy w ogrodzie. Drzewo nad stawem, powykęcane i nadpalone – niemy, acz wymowny świadek pożaru, który pochłonął stojący tu niegdyś dom – również spowiło się białym całunem.

Śnieg wciąż prószył i prószył, jak gdyby zamierzał okryć cały świat.

Zaraz po śniadaniu wybiegli całą trójką na podwórko, wzięli, czort i trójłapy pies, by jak dzieci nacieszyć się śniegiem. Zarówno dla Bazyla, jak i dla Kuleczki było to pierwsze spotkanie z białym puchem. Oda przyglądała się, jak brodzili w śniegu na podobieństwo czapli, wpierw unosząc nogi wysoko, jak najwyżej, by następnie postawić ostrożny, niepewny krok, i wszystko w niej się śmiało. Potem zjeżdżali ze schodów na plastikowej tacy i ulepili bałwana – w emocjonalnej rozsypce, jako że świeży, sypki śnieg nieszczególnie chciał się trzymać z góry narzuconej koncepcji. A na koniec Oda pokazała im, jak się robi aniołki na śniegu, czym rozpętała istne szaleństwo. W rezultacie, gdy wreszcie postanowili wrócić do domu, żeby trochę odpocząć, byli przemoczeni do suchej nitki, zmarznięci i głodni jak wilcza wataha.

A śnieg nie przestawał prószyc.

Po talerzu gorącego krupniku z tak dużą ilością pieprzu, że aż kręcił w nosie, rozsiedli się w ciepłe i rozkoszowali niedzielnym lenistwem. Bazyl, zagrzebany w norze z kocyków, czytał coś w skupieniu, pogryzając rodzinę, a Kuleczka jak zwykle usnęła

u jego boku i od czasu do czasu wzdychała do wyśnionych cudów na miarę psa.

Oda siedziała na ławie, z nogami wyciągniętymi przed siebie, i oddawała się słodkiemu nieróbstwu. Grube, wełniane skarpety przyjemnie grzały ją w stopy, sweter otulał niczym stary przyjaciel, a włosy wciąż upojnie pachniały świeżym, mroźnym powietrzem. Nic dziwnego, że wkrótce powieki zaczęły jej ciążyć. Przez moment kusilo ją, by nie podejmować tej walki, tylko usnąć i jak Kuleczka wzdychać raz po raz, gdy wtem z impetem dotarła do niej przykra prawda. Musiała wstać. Co gorsza, musiała też wyjść. Bo jeśli nie wstanie, nie wyjdzie i nie chwyci za szufłę, to jutro, żeby w ogóle dotrzeć na ósmą do przychodni, będzie musiała wstać świtem jeszcze bledszym niż zwykle, a potem przedzierać się z rowerem przez zasy do połowy uda.

Szybko spojrzała na zegarek – dochodziła trzynasta. Od szosy dzieliło ich dobrych dwieście metrów. Zanim zdąży przekopać choćby wąskie, płytkie przejście, zapadnie zmierzch. Kolejny raz tego dnia, acz z dużo cięższym sercem, narzuciła na sweter watowaną kamizelkę, wciągnęła śniegowce i wcisnąwszy na głowę czapkę z absurdalnym pomponem, wymknęła się z domu na paluszkach, żeby nie obudzić psa. Ani czorta, który gdzieś w połowie rodziny usnął z pyszczkiem w książce.

Śnieg co prawda padał nieprzerwanie, ale na szczęście nie zdążył przymarznąć na dobre. Czas płynął, mierzony przekopanymi metrami, a niezmordowana Oda machała szufłą, stopniowo oddalając się od domu i polany. Coraz głębiej w las. Skupiona na mięśniach wymęczonego grzbietu, na strugach potu, które wsiąkały w podkoszulek, by zaraz wyparować pod wpływem ciepła, jakie było od jej rozgrzanego ciała, nie zauważyła, kiedy zrobiło się szaro.

Kiedy ucichł wiatr.

Kilka metrów później poczuła pod żebrami nieprzyjemne ukłucie. Organizm domagał się odpoczynku i nie przyjmował odmowy. Oda wbiła szufłę w śnieg i ściągnęła czapkę, żeby przywołać włosy do porządku, gdy zza jej pleców dobiegł wyraźny trzask pękającej gałęzi.

Odwróciła się w okamgnieniu.

Ściana lasu, teraz zasnuta bielą, nigdy nie wydawała jej się tak złowieszcza.

– Bazyl?

Cisza.

Nie spuszczać wzroku choćby na ułamek sekundy, Oda wcisnęła czapkę do kieszeni kamizelki i wolno, jak najwolniej, wyciągnęła rękę w kierunku dopiero co porzuconej szufli.

– To ty, Bazylku? – zawołała, tym razem nieco głośniejsze. Jeszcze kilka centymetrów i zacisnęła dłoń na stylisku, potem drugą, trochę niżej. Ponad metr twardego drewna, zakończony solidnym kawałkiem stali, dobrze robił na pewność siebie. Przesunęła stopę tak, by stanąć jak najpewniej, w razie gdyby ktoś próbował zbić ją z nóg. Bo wszystkie zmysły krzyczały do niej, że owszem, spróbuje.

I że niekoniecznie będzie to ktoś.

Kody. Twarze. Nazwiska. Otwarte rany, urazy powierzchowne, stłuczenia i szwy, szwy, dziesiątki szwów, i te szramy – długie, głębokie szramy, od żuchwy aż po obojczyk, pani doktor, a ja leżę i się krwią zalewam, i myślę sobie, że to koniec, to koniec, koniec...

Nie!

Oda potrzęsła energicznie głową, by uwolnić się od natarczywych obrazów. Nie teraz. Nie. Teraz.

Potem.

Skup się.

Serce waliło jej mocno, tak mocno, że aż boleśnie.

I wtedy ją zobaczyła – daleko przed sobą, między drzewami, czarna plama na tle cienia. Jakaś postać, prawie że ludzka, ale tylko prawie. Wysoka, muskularna. Nieruchoma.

Czujna.

To na pewno nie był Bazyl.

Delikatny wiatr zaigrał we włosach wiły, dodając odwagi, jak gdyby pchał ją do działania, bo wiedział, że bierność nie skończy się dla niej dobrze. Oda nabrała powietrza, głęboko, jak najgłębiej, i zrobiła krok do przodu.

– Kim jesteś? – zawołała w kierunku postaci, w nadziei, że ją przepłoszy albo chociaż zniechęci do ataku. – Czego chcesz?

Cios, rzecz jasna, spadł z zupełnie innej strony.

\*\*\*

Kiedy znów rozchyliła powieki, wokół panowała ciemność.

Zamrugła, próbując strzepnąć płatki śniegu, które zebrały się na rzęsach. Kilka wpadło jej do oka i po chwili spłynęło razem z łzami.

Zaczęła zbierać rozsypane myśli. Żyła, a to już coś. Całkiem obiecujący początek. Dobrze. Co jeszcze? Leżała, to pewne. Na prawym boku, z ręką podwiniętą pod ciałem. Na ziemi, w śniegu. Szlag... Jak długo? Kątem oka zdołała dostrzec skrawek nieba. Kiedy ostatnio je widziała, zmierzch dopiero się po nim rozlewał, a teraz tu i tam spomiędzy chmur przebierały pojedyncze gwiazdy. To by oznaczało co najmniej pół godziny. Raczej nie mniej, możliwe też, że więcej. Na pewno była wyziębiona, czy także ranna? Czy krwawiła? Nie umiała powiedzieć, nie czuła bólu. W ogóle niewiele czuła, ani twarzy, ani dłoni, ani pleców, niczego. Jedynie obezwładniającą pomąłu senność.

Przełknęła ślinę.

Niedobrze.

Bardzo niedobrze.

Skupiła się. W zewnętrznej kieszeni kamizelki miała telefon. Włączony. Kieszeń była na suwak, a Oda pamiętała, że ją zapieła. Zawsze zapinała kieszenie, ilekroć chowała do nich coś ważnego, parę razy uratowało jej to skórę. Jeżeli tylko weszła w zasięg, zanim straciła przytomność, jeżeli teraz zdoła dosięgnąć suwaka... Pomąłu zgięła palce lewej dłoni. Pomąłu je wyprostowała. Dziwne wrażenie – miała świadomość, że się poruszają, chociaż wciąż nie czuła, że je w ogóle miała. Ale były tam i działały, spróbowała więc z dłonią. A gdy i ta w końcu poddała się jej woli, acz z pewnymi oporami, Oda postanowiła podźwignąć łokieć.

I wtedy poczuła coś, poczuła z całą mocą.

Ból eksplodował głęboko w jej ciele i jak po sznurku przeszył lewą nogę od pośladka aż po kolano. I choć nawet nie musnął płuc, bo i jak, to Oda przez moment nie była w stanie oddychać.

Wieczność potem ból przygasł na tyle, że zdołała mrugnąć.

– ...ooooooooo! – zawył naraz wiatr.

„Teraz? Teraz mi tu zawodzisz? A wcześniej to nie mogłeś, przeklęty?”, pomyślała, zła na wiatr, który ją opuścił, kiedy potrzebowała go najbardziej, zła na tę istotę, która ją zaatakowała, a nade wszystko zła na własną bezradność. Zawsze taka silna, odważna, taka samowystarczalna, a teraz leżała bezwładnie jak kłoda i bała się znów poruszyć ręką, chociaż groziła jej śmierć.

– ...iiiiinkooooooooo! – załkał wiatr.

Chciała krzyczeć, krzyczeć tak głośno, by zagłuszyć ten płacz – obezwładniający, ogłupiający, tłamszący ostatnie iskierki woli, jakie się w niej tliły. Nie zasnę, nie zasnę, powtarzała sobie, nie zasnę, nie...

– Odziiinkooooooooo!

To nie wiatr!

To Bazyl!

Bazyl, Bazylek, jej koza, kochany, mały czort przybywał na ratunek, idąc przez zasypany wąskim przejściem, które własnoręcznie przekopała! „Czemu nie mam gwizdka”, przeszło Odzie przez myśl, „czemu ja nie mam durnego gwizdka, do jasnej cholery, Kate Winslet miała i gwizdała, a ja nie?!”.

Na szczęście Bazyl miał ze sobą Kuleczkę, Kuleczka zaś miała nosa i potrafiła się nim posłużyć. Ślizgając się na śniegu, z euforycznym piskiem dopadła w końcu swojej pani i zaczęła ją lizać po policzkach.

– Odzinko! Och, Odzinko!!! – wołał czort, pędząc truchtem w ich stronę. Latarka w jego łapkach kołysała się w tę i nazad, szalik trzepotał na wietrze. – Czy ty żyjesz?!

Wiła odruchowo zacisnęła powieki, bo snop światła padł prosto na jej twarz, niewiele różniącą się barwą od śniegu.

– Szłodki jeżu z malinami, Odzinko!!! – wrzasnął Bazyl, w pierwszej chwili biorąc ją za zimnego trupa, po czym wrzasnął ponownie, tym razem jeszcze głośniejszym głosem, i aż upadł na kudłaty zadek, kiedy Oda otworzyła szeroko oczy.

– Roch – zdołała wydusić przez zeszywniałe usta. – Roch. Roch...

\*\*\*

Późnym popołudniem – bądź też wczesnym wieczorem, jak kto woli, w każdym razie jeszcze przed dobranocką – Michałko wracał do domu szosą przez las. Przed nim i za nim droga była puściuteńka, dla lepszej widoczności jechał więc na długich światłach. Obok niego, na podłodze przed siedzeniem pasażera, piętrzyły się torby z wałówką. Bo choć Michałko był już tak dorosły, że miał i prawo jazdy, i prawo wyborcze, i nałogi, i nawet kredyt gotówkowy w wieku przedszkolnym, w oczach babci wciąż pozostawał malcem, o którego należało się troszczyć, w przeciwnym razie umrze albo, nie daj Boże, dostanie kataru. A że pod tym względem babcia Michałki w niczym nie odbiegała od ogólnie przyjętej normy, jej troska przyjmowała kilka podstawowych form – ciepłych skarpet, grubych podkoszulków oraz jedzenia. Zwłaszcza jedzenia. Babcine „zjesz coś?” w swych zgubnych dla zdrowia skutkach przebijało nawet „ze mną się nie napijesz?” na rodzinnym weselu. Co tydzień, po niedzielnym obiedzie u babci, Michałko co prawda był w stanie sięść za kółkiem, a nawet prowadzić, wpierw musiał jednak odrobinę odsunąć fotel.

Tym razem babcia zaproponowała kotlecik. Prawdziwy, schabowy, żaden tam oszukiwany kurczak czy indyk! Babcia wiedziała, czym go skusi. Zawsze wiedziała. I Michałko też powinien był wiedzieć...

Cóż.

Kotlecik, jak się szybko okazało, był gruby na palec i rozmiarów talerza. Pod spodem krył furę tłuczonych ziemniaków z masłem i solidnie dopieprzoną mizerię na najprawdziwszej śmietanie, tak gęstej, że łyżka stawała. Owszem, Michałko sprawdził.

Niestety, to jeszcze nie był koniec. Pochłonięty pochłanianiem, Michałko nie zwrócił uwagi, jak babcia podreptała do kuchni, gdzie wyciągnęła miche wyrosniętego już ciasta i wprawną ręką zaczęła je wyrabiać. Był dopiero w połowie kotlecika, kiedy po mieszkanku zaczęła się rozchodzić woń drożdżowej strucli z powidłami domowej roboty, uświadamiając nieszczęsnemu wnukowi grozę sytuacji...

Tym sposobem tradycyjny niedzielny obiad u babci płynnie przeszedł w obiadokolację, na odchodnym zaś Michałko dostał jeszcze

drugą struclę, trzy zimne kotleciki, podobnych rozmiarów co pierwszy – „będziesz miał na kolację, synuś, do bułeczki jak znalazł!” – bułeczki do tychże kotlecików, słoik mizerii, słoik bigosu i trzydzieści pierogów z kaszą gryczaną i boczkiem. Tyle dobrego, że pamiętał, aby przed wyjściem z domu założyć podkoszulek. Owszem, babcia też sprawdziła.

Przez ten podkoszulek, kotlecik z mizerią, przez tę struclę i jabłuszko na dokładkę – „to dla pobudzenia soków, synuś, żeby cię w boku nie gniołło” – było mu teraz straszliwie gorąco. Skreślił już ogrzewanie i rozważał, czyby nie uchylić okna, skoro przestało sypać, kiedy światło reflektorów wychwyciło na poboczu jakiś nieoczekiwany ruch.

Tysiące okrążeń na wirtualnych torach wyścigowych zrobiły swoje, aczkolwiek nie obyło się bez delikatnego poślizgu na świeżym śniegu i strat w pierogach, przygniecionych przewróconym bigosem. Tak czy siak, samochód stanął.

„Mam omamy”, pomyślał Michałko, uczepiony kierownicy i spocony jak szczur. „Omamy z przeżarcia”. Miał jak nic, jak amen w pacierzu, jak bonie dydy, no bo przecież nie mógł widzieć tego, co wydawało mu się, że widział!

Kawałek przed zakrętem od szosy odbijała gruntowa ścieżka przez las. I tam, tuż przed prześwitem, oparta o słupek drogowy, stała koza w szaliczku i jak gdyby nigdy nic rozmawiała przez komórkę.

„Tak. Schabowy rzucił mi się na mózg”, stwierdził Michałko. „Albo mizeria. Tak, to na pewno ta mizeria. Ja zawsze wiedziałem, że warzywa szkodzą. Szczególnie surowe. Kto to widział jeść surowe warzywa, jak jakieś zwierzę...”.

Ale... ale jeśli to było naprawdę...?

Drżącą ręką wrzucił wsteczny i w ślimaczym tempie zaczął się cofać o tych kilkanaście metrów.

Zanim jednak zatrzymał samochód, zanim dosięgnął korbki i zanim szyba raczyła opaść do samego końca, koza – wcale nie pierwsza lepsza, bo przecież znajoma, zaprzyjaźniona niemalże, co spostrzegł, gdy już znalazł się bliżej – otóż koza ta zdążyła się rozłączyć i pobiegnęła ścieżką w las, nie odwracając się za siebie.

\*\*\*

Roch był uparty.

– Nie podniesiesz mnie – protestowała Oda, kiedy przyjechał jak na sygnale, sprawdził, czy nie miała obrażeń, a potem owinał ją kocem ratunkowym i postanowił samodzielnie zapakować do samochodu, wciąż zlodowaciałą do szpiku kości.

Podniósł.

– Nic mi nie jest, nie musisz mnie wieźć do szpitala – protestowała dalej, gdy już siedziała w samochodzie i pomału odzyskiwała czucie tu i tam, co było efektem pożądanym, acz nie do końca przyjemnym.

Zawiózł.

– Jedź do domu, dam sobie radę – protestowała znowu, kiedy dotarli na oddział ratunkowy najbliższego szpitala.

Został. A ona darowała sobie dalsze protesty, nie tylko z powodu nieziemskiego zmęczenia.

Utrata przytomności i wyziębienie zapewniły Odzie fory w stosunkowo krótkiej kolejce, chociaż nadal uparcie twierdziła, że nic jej nie jest, że może czekać jak człowiek, a w ogóle to najlepiej będzie, jeśli po prostu wróci do domu. Zbadać się przecież zawsze mogła sama, prawda?

– Odzyskałam czucie, nie mam głębszych odmrożeń ani żadnych zewnętrznych urazów – cedziła przez zęby, tym razem wcale nie dlatego, że nie była w stanie szerzej otworzyć ust. Pozostali pacjenci już i tak odsuwali się na bezpieczną odległość od tej rozkochanej, tętniącej tłumioną złością kobiety, nie chciała płoszyć ich jeszcze bardziej. – Wewnętrznych zresztą też nie! Żadnych objawów wstrząśnienia mózgu, żadnego krwotoku, złamań, niczego. Nic mi nie jesst!!! – zakończyła nieplanowanym przeciągłym sykiem.

– Nic? – powtórzył Roch, unosząc nieznacznie brew. – To wstań i idź.

Przełknęła tę zniewagę z godnością.

– Nie znoszę szpitali – wypaliła, gdy wróciła z kolejnych badań do poczekalni na SOR-ze, gdzie nadal tkwił Roch. – Nie cierpię. Jestem chora, kiedy muszę spędzić w szpitalu więcej niż kwadrans.



Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Jesteś lekarzem.

– Właśnie! Lekarz w szpitalu, to nienaturalne!!!

Całe szczęście, że Roch był naprawdę uparty i znosił cierpliwie jej marudzenie, jak zwykle oszczędzając słowa. Czego nie dało się powiedzieć o młodym lekarzu, któremu trafiła się pod opiekę koleżanka po fachu. To była jedna z najbardziej wykańczających psychicznie nocy w jego życiu.

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy opuścili SOR i wsiedli z powrotem do białej półcieżarówki. Padający śnieg tworzył welon tak gęsty i ciężki, że przesłaniał świat. Oda, nafaszerowana dolarganem, odzyskała władzę nad lewą nogą, co wcale nie poprawiło jej humoru.

– Rwa kulszowa. Rwa!!! – złościła się, wymachując kartą informacyjną, którą niemal ze łzami w oczach wręczył jej lekarz, po tym jak wykluczył wszystko, co tylko wykluczyć się dało, a Oda oznajmiła, że w takim razie opuszcza szpital na własną odpowiedzialność, choćby razem z drzwiami. – Jechałeś po nocy jak wariat, bo mi przy upadku żyłka w dupie pękła!

– Straciłaś przytomność – zauważył Roch, uruchamiając silnik. – Na śniegu.

– Ale na krótko, zaraz ją odzyskałam. Sama!

– Wystarczy, żebyś złapała zapalenie płuc. Sama.

Prychnęła.

– Prędej zapalenie pęcherza...

– Owszem. Tego też.

Sztywne od mrozu wycieraczki zaskrzypiały przeraźliwie. Roch puścił nawiew na przednią szybę i odczekał chwilę, aż trochę zmiękły i przycichły. Dopiero wtedy bez pośpiechu wyjechał z parkingu i ruszył opustoszałymi, ciemnymi ulicami, kierując się na południe.

Z każdą minutą śnieżycy nabierała mocy. Białe kłęby przetaczały się to z lewa, to z prawa, wznosiły i opadały niczym morskie bałwany, coraz to gwałtowniej i wścieklej. Płanetnik zwolnił i marszcząc czoło, spojrzał z ukosa na Ode. W jej zielonych oczach wirowały iskry.

– Ależ ty się złościysz.

– Zaskoczony?  
– Owszem. Nie sądziłem, że umiesz. Ale odpuść trochę.  
– Bo?  
– Bo skończymy w rowie. A wtedy wrócisz do szpitala... i ktoś będzie płakał.

Kątem oka dostrzegł delikatny rumieniec, który wypłynął na jej policzki. Dotarło. Zamknęła oczy, nabrała głęboko powietrza w płuca i zaczęła przywoływać emocje do porządku.

Po paru minutach śnieżny welon znowu opadał swobodnie ku ziemi.

– Zuch wiła.  
– Złoszczę się, bo... bo zawsze sobie radziłam. Rozumiesz? Bez względu na okoliczności – wyrzuciła z siebie Oda. – Raz lepiej, raz gorzej, wiadomo, ale zawsze. Sama. Tego mnie nauczyło życie. A dzisiaj? – Pokręciła głową i w końcu otworzyła oczy. Wciąż jednak patrzyła w inną stronę. – Gdyby nie wy...

– Nawet ty czasem potrzebujesz pomocy.  
– Jak dziecko!  
– Jak człowiek. No, prawie.  
Z łokciem opartym o drzwi ukryła twarz w dłoni.  
– Poszłam jak głupia do tego lasu, a potem dałam się podejść temu... temu czemuś, chociaż...

Urwała, gdyż Roch nagle zjechał na pobocze i obrócił się do niej przodem.

– O czym ty mówisz? – zapytał tonem, który wykluczał zbycie go milczeniem, nie mówiąc już o wykrętach.

– Tam coś było – odparła cicho wiła. – Widziałam to. Wyczułam. Coś... nie wiem co dokładnie, ale coś nieludzkiego. Dlatego nie pozwoliłam Bazylowi zadzwonić po pogotowie... po ludzi. Ja się nie poślizgnęłam, nie potknęłam o własne sznurowadła, rozumiesz?

– Tak powiedziałaś lekarzowi...  
Z furją tupnęła nogą w wysokim śniegowcu.  
– A widzisz tu jakieś sznurowadła? Upadłam, bo to coś się na mnie rzuciło. – Zawahała się, ale wreszcie wyrzuciła z siebie to, co dręczyło ją od dłuższego czasu: – I to nie był pierwszy raz, kiedy zaatakowało

w tych okolicach.

Opowiedziała planetnikowi o pacjentach z ostatnich dni, o ranach, o szwach, które im zdjęła, a także o tym, co wtedy mówili. Roch słuchał w całkowitym milczeniu i tylko co jakiś czas przestawiał wycieraczki na coraz to wyższe obroty, bo śnieżycy znowu przybierała na sile.

– Jak to wyglądało? – zapytał, kiedy Oda skończyła.

– Nie widziałam dokładnie, robiło się już ciemno, ale... – Skupiła się na tych strzępach obrazów, które zdążyła zarejestrować jej pamięć. – Sądząc po postawie, mniej więcej człekokształtne. Sporych rozmiarów. I piekielnie szybkie. Z początku obserwowało mnie z daleka, a chwilę potem... – Z rezygnacją pokręciła głową. – Nawet nie zauważyłam, kiedy znalazło się tuż przy mnie. Nie zdążyłam nawet... nic. Nic nie zdążyłam. Gorzej niż dziecko.

Śnieżny tuman uderzył prosto w przednią szybę półciężarówki.

– Oddychaj – napomniął ją łagodnie. – Odo, oddychaj. Bo rów.

Przejechali przez uśpione, zaśnieżone miasteczko i ruszyli dalej. Nawet tu, pod osłoną gęstego lasu, szosa była zasypana i Roch znowu musiał zwolnić. Kolejne kilometry sunęli pomału na dwójce i prawdopodobnie tylko dlatego nie skończyli na drzewie, gdy Oda nagle krzyknęła:

– Zatrzymaj się! Stój!!!

– Co ty...

– Tam ktoś leżał. Ktoś tam leżał!

– Na pewno?

– Tak! Tuż przed linią drzew!

Bez wdawania się w dyskusję Roch wrzucił wsteczny i cofnął kawałek.

– Człowiek?

Oda zamarła z dłonią na szybie. Przełknęła ślinę.

– Nie... nie wiem – szepnęła, patrząc w czujne oczy planetnika. – Nie wiem.

Wypięta pas z klamry.

– Co ty robisz? – warknął Roch, kiedy złapała za klamkę.

– Jak to co?! Jestem lekarzem, do cholery, muszę tam iść!

– Zaraz będziesz bardzo martwym lekarzem. – Zaciągnął ręczny, przełączył światła na długie i rozpiął pas. – Zostań tu!

Już otwierała usta, żeby mu odwarknąć, kiedy sięgnął za nią i spod siedzenia wyciągnął siekiere.

Mogła jedynie patrzeć ze ściśniętym gardłem, jak planetnik pomału stapał przez zaspę, z siekierą w dłoni, i rozglądał się bacznie. Jeszcze trzy kroki, dwa, ostatni – i wyszedł z plamy światła rozlanej przed samochodem.

Pochłonęła go ciemność.

Śnieg.

Las.

Oddychaj. Oddychaj, do cholery, bo go tym wiatrem dobijesz. Oddychaj.

Silnik pracował miarowo, wprawiając samochód w delikatne drżenie, a ona próbowała usiedzieć w miejscu, tak jak kazał jej Roch. Miał rację, nie powinna iść za nim, nie po tym, co niedawno przeszło jej ciało. Tyle że sama nie wiedziała, co gorsze – zamarznąć, tym razem na śmierć, czy siedzieć w ciepłe i myśleć. Myśleć o szramach i szwach.

Prawie jęknęła z ulgi, kiedy Roch, cały i zdrowy, szarpnięciem otworzył drzwi i wsiadł szybko do samochodu.

– Nic. – Rzucił siekiere na podłogę i przytknął dłonie do kratki wentylacji, które tchnęły ciepłym powietrzem. Śnieg z jego ubrania błyskawicznie zaczął wsiąkać w obicie siedzenia, perlić się kroplami na szpakowatych włosach.

– Nic?

– Nic. Zdawało ci się.

– Jesteś pewien?

Rzucił jej ganiące spojrzenie.

– Myślisz, że zostawiłbym tam człowieka? – Roztarł energicznie dłonie i wrzucił bieg. – Potrzebujesz snu. Oboje potrzebujemy.

Dopiero gdy przedarli się na polanę i zatrzymali przed samą werandą, do Ody dotarło, jak bardzo była zmęczona. Ledwo powłóczyła nogami. Bez słowa sprzeciwu pozwoliła, żeby Roch zagrzał jej wodę, a potem zaczekał w kuchni, aż ona się wykąpie. Tak

dla pewności, gdyby dolargan odpuścił i znów straciłaby władzę nad lewą nogą.

Czekając, aż wiła wyjdzie z łazienki, płanetnik dorzucił do ognia i postawił czajnik na płycie. Rozejrzał się. Spod skłębionych kocyków w wiklinowym koszu z jednej strony wystawała racica, z drugiej – psi ogon.

Naraz w kącie dostrzegł szufłę. Bazyl musiał przynieść ją z powrotem do domu.

– Zdążyłaś – rzekł, kiedy Oda, wykąpana, we flanelowej piżamie w kratę, posłusznie przysiadła na ławie, żeby przed snem rozgrzać się od środka gorącą, słodką herbatą, którą jej zaparzył.

– Słucham?

– Zanim straciłaś przytomność. Zdążyłaś się obronić. I cokolwiek to było, zdzieliłaś to konkretnie – rzekł Roch i na dowód uniósł szufłę tak, by Oda mogła się jej przyjrzeć. – Masz parę w rękach, szalawilo.

Z jednej strony stalowa łopata przypominała teraz pomięte sreberko.

## Rozdział 5

O siódmej trzydzieści było już dość jasno, co oznaczało, że to i owo dało się zobaczyć wyraźnie. Zapewne dlatego tłum w przychodni rozstąpił się tak ochoczo przed mężczyzną w ciemnej budrysówce, z posepnym marsem na czole oraz – co chyba najistotniejsze – z siekierą nonszalancko zwisającą z dłoni.

– Ja do kierownika – rzucił głośno, stanąwszy przed samiuśkim okienkiem. Kolejka za jego plecami zaszemrała.

– To teraz tyle się czeka na numerek, że bez siekiery nie podchodź...? – rozległ się zduszony szept.

– Panie, żebyś pan wiedział, co się u specjalistów wyprawia! Siekiera to mało!

– Mam w bagażniku lewarek, może skoczę...?

Rejestratorka w pierwszej chwili powiodła zdumionym spojrzeniem po ludziach, po czym wróciła do pochmurnego mężczyzny po drugiej stronie okienka. I dopiero gdy popatrzyła nieco niżej, dostrzegła w jego dłoni coś dziwnego, jak gdyby drewniany drążek. Uniosła się odrobinę na krześle, żeby lepiej widzieć.

Przełknęła ślinę.

– W spra... w sprawie skarg i wniosków pan kierownik...

– W sprawie doktor Kręciszewskiej – przerwał jej litościwie Roch Kusy. – Jest chora.

– Odeńka? Co z Odeńką?! – dobiegło z głębi pomieszczenia za rejestratorką. Szyba w drzwiach aż zadrżała z cichym brzękiem, kiedy na korytarz wypadł kierownik przychodni we własnej osobie.

A w Rochu coś aż zgrzytnęło.

Krzyś.

Nawet gdyby Krzysztof Lewczyński od pięćdziesięciu lat nosił inne nazwisko, i tak zapewne zyskałby sobie lwi przydomek. Chłop był z niego jak dąb, dynamiczny i wysportowany, z bujną, złocistą grzywą, ledwie muśniętą siwymi pasmami, którą mógłby zarzucać w reklamach szamponu dowolnej marki i wszyscy by uwierzyli, że

jest tego wart. Jego gęste brwi zrastały się nad nosem na kształt jaskółczych skrzydeł, a spod nich spoglądały na świat oczy błękitne jak niebo. Biła przy tym od niego aura człowieka czynu, wcielonego leku na całe zło. Nikt by się chyba specjalnie nie zdziwił, gdyby po skończonej pracy doktor Lewczyński gnał na najbliższe pole bitwy, by pod ciężkim ostrzałem wroga wynosić rannych na własnym grzbiecie – wciąż w tym samym radośnie szczypiorkowym kitlu i drewniakach w żaby.

Czymże dla takiego człowieka był pochmurny zbir z siekierą!

– Chora – powtórzył Roch, chwilowo w roli zbira, i obejrzał się na zebranych za nim ludzi. Pierwsi śmiałkowie przymierzali się już do szturmowania okienka.

– CHORA?!

Choć nie był to jeszcze dzień szczepień, rejestratorka błyskawicznie przemyślała sprawę i dyskretnie podsunęła szefowi miseczkę galaretek w czekoladzie. Doktor Lewczyński bez namysłu zaczerpnął z niej pełną garścią.

– Pan wybaczy – wymamrotał z ustami pełnymi słodkości, gestem zapraszając Rocha do swego gabinetu, podczas gdy tłum rzucił się do rejestracji. – Choroby straszliwie mnie stresują...

– A szpitale?

– Proszę nawet nie pytać... – Lewczyński wcisnął się w krzesło obrotowe za biurkiem i uśmiechnął promiennie, aż człowiek od razu chciał mu się zwierzyć z każdej dolegliwości siedem pokoleń wstecz.

Tyle że Roch nie był do końca człowiekiem. W dodatku był mocno niewyspany i ta chodząca złocista życzliwość w umięśnionym ciele sprawiała, że coraz mocniej zaciskał zęby, jeszcze bardziej niż zwykle oszczędzając słowa.

– Co z Odeńką? – dopytywał tymczasem lekarz. – Grypa? Rotawirus? Och, oby nie rota... Mieliśmy tu w piątek pół przedszkola, dantejskie sceny, dantejskie!

– Nic zaraźliwego. Mały wypadek.

– Wy... wy... wypadek?

– Mały.

– Odeńka? Wypadek?!

– Mały – powtórzył raz jeszcze Roch, próbując się przebić z tą kluczową informacją. Bezskutecznie.

– WYPADEK?! JEZUS MARIA, PANI GIENIU! PANI GIENIU, KASZTANKI!!!

– Ma... – zaczął Roch, zaraz jednak urwał w pół słowa, bo miało się to z celem.

Do gabinetu wpadła starsza pielęgniarka z bojowym wyrazem twarzy i pudełkiem kasztanków, którym prawie rzuciła w poruszonego lekarza. Sama zaś naskoczyła na Rocha:

– Pan nie denerwuje doktora!

– Kiedy on doskonale radzi sobie sam – odparł zgodnie z prawdą.

Pani Gienia najwyraźniej doszła do podobnego wniosku, bo nie drażyła tematu, jedynie mruknęła coś do siebie. Upewniwszy się, że doktor pochłaniał kasztanki bez sreberka, wzięła Rocha na stronę.

– No? Pan mówi. Co z panią doktor? – zapytała cicho, by znów nie płoszyć Lewczyńskiego.

– Upadła przy odśnieżaniu.

– Do wesela się zagoi?

– Zagoi.

– Dobra. Doktor się uspokoi, to jakoś tu ogarniemy.

Lewa brew planetnika jednym drgnieniem wyraziła cały ogrom powątpiewania, którego nie pomieściłoby tysiąc słów.

– A uspokoi?

– Spróbowałyby nie. – Pani Gienia dopiero teraz zauważyła, że Roch zjawiał się w przychodni nie tylko z wieściami od Ody. – A pan z tą siekierą to tak... na co dzień? Przywiązany taki?...

– Jadę zaraz do pracy.

– Aha. Jasne. A z zawodu jest pan...?

– Ogrodnikiem.

– Ach, tak. – Pokiwała głową, patrząc to na Rocha, to na siekierę, to na śnieg za oknem. – Tak, to wszystko... wiele... coś tłumaczy.

Roch wytrzymał przenikliwe spojrzenie pielęgniarki, po czym sięgnął do kieszeni i zwrócił się do lekarza:

– Miałem to dostarczyć. – Wyjął złożoną na pół kartkę i położył na biurku. – Więc dostarczam.



– „Nic mi nie jest” – przeczytał doktor Lewczyński. – Jak to? Nic? Tylko tyle?!

– A co? – Roch przystanął w drzwiach. – Wolałby pan: „Nie jestem martwa”?

– Przepraszam! – usłyszał jeszcze za sobą, gdy przedzierał się między ludźmi do wyjścia. – Halo, proszę pana, przepraszam! A pan dla Odeńki to jest kim?...

– Nikim ważnym – burknął pod nosem, nawet nie oglądając się za siebie.

Dopiero w samochodzie przymknął oczy i odetchnął. Ale tylko na moment, minutę, może dwie. Nie dłużej. Nie miał czasu na odpoczynek. Ani na nerwy. Musiał podjechać do budowlanego, czterdzieści kilometrów stąd, potem kolejnych dwadzieścia do jedynej kowala w okolicy i jeszcze piętnaście do szlifierza. Wrócić do miasteczka. Zajrzeć do matki, czy piec zaskoczył i kaloryfery grzeją, czy też znowu trzeba będzie ściągać fachowca, żeby przetkał bebechy kapryśnego ustrojstwa. Może prześpi się potem. Wieczorem. Jutro.

Rozchylił powieki i jego zmęczony wzrok padł prosto na siekiere, którą ciągle ścisnął w ręce. Skórzana osłona skrywała ostrze, bardzo stare – i bardzo spragnione.

Tak. Przede wszystkim jednak musiał wrócić do lasu i znaleźć tamto stworzenie, które podczas nocnej śnieżycy wypatrzyła Oda. Pójść po śladach krwi, której smród bez przerwy przewiercał mu nozdrza.

I dobić.

\*\*\*

To był sen.

Tylko sen.

Nic więcej.

W tym śnie szła przez las. Śnieg prószył dużymi płatkami, które opadały bezszelestnie. Cisza dzwoniła w uszach, w kościach. Wyciągnęła przed siebie dłoń o rozczapierzonych szeroko palcach, ale

płatki wymykały się jej dotykowi. Za ciepło. Za ciepło. Nie.

Szła.

Szła ścieżką ukrytą pod zaspami, szła nią jak po sznurku, jak zawsze. Widziała ślady na śniegu przed sobą, drobne, drobnuteńkie ślady trzech łap i jednego bezłapia. Prowadziły ją czy zwodziły? To wtedy spacerowali każdego dnia, wiła i jej pies, pies i jego wiła, tędy stapała w poszukiwaniu ciszy po rejwachu, spokoju po fermencie, oddechu po duchocie, przytłoczeniu, zmęczeniu ludźmi.

Łapa, łapa, łapa, pustka.

Łapa, łapa, łapa, pustka.

Łapa, łapa, łapa, pustka.

Szła boso, a zimny śnieg okrutnie pieścił jej nagą skórę.

Łapa, łapa, łapa, krew.

Krew.

Krew.

Ach, ile tu krwi.

Aż nagle już nie szła, lecz stała, już nie na ścieżce tak dobrze znanej, lecz w miejscu, którego nie umiała rozpoznać, już nie boso, lecz w trzewikach z czerwonej skórki, przydużych, spękanych, o czubkach zdartych do cna, do żywego, do mięsa.

To wciąż był sen.

Tylko sen.

Nic więcej.

A w tym śnie był las.

A w tym lesie ziała polana.

A na tej polanie rozlewał się staw.

W którym tonęła.

Tonęła.

Mamo.

\*\*\*

Przez ten ułamek sekundy, przez to okamgnienie, gdy powieki zdążyły się rozewrzeć, a mózg już rejestrował rzeczywistość, wypierając senne mary, ciało wciąż walczyło o życie.

Oda wciąż czuła, jak tonie.

Poderwała się, próbując strząsnąć z siebie resztki koszmaru, wypluć go, wykrztusić razem z wodą zalewającą jej płuca.

W końcu przyszło upragnione oprzytomnienie. Była w domu, w swoim łóżku, zagrzebana w pościeli pachnącej jej ciałem. Przez okno do sypialni wpadała niewiarygodna jasność. Oda aż musiała zmrużyć oczy, gdy spojrzała przez okno. Słońce stało już wysoko na niebie, a jego blask odbijał się od ściętego mrozem śniegu. Prawdziwa zima przyniosła ze sobą światłość, która rozlewała się teraz, przepędzając cień z najgłębszych nawet kątów.

Oda podniosła się ostrożnie, by nie dać się znowu zaskoczyć bólowi. Ale nie, dolargan wciąż trzymał jak należy.

– O błogosławiony opioidzie... – mruknęła wiła, stając z większą śmiałością, i wyciągnęła rękę po szlafrok. Minęła czternasta, najwyższa pora wychynąć z tej nory i upodobnić się do człowieka.

Kuchnia powitała ją ciepłem i trzaskiem ognia. Nigdzie ani śladu Bazyla czy Kuleczki – widać poszli na spacer. Przesunąwszy czajnik na środek płyty, poczłapała do łazienki, żeby zmyć z siebie pot, zaduch i resztki nocnych zwidów. Kiedy wróciła, woda właśnie zaczynała bulgotać. Kawa, uznała Oda, rozważywszy opcje. W taki dzień, a już zwłaszcza po takiej nocy, potrzebna jest kawa z dużą ilością mleka i cukru na dobry rozpęd. Na rozbudzenie. Bo nic tak nie przegania złych snów i złych wspomnień jak cukier.

Mieszając łyżeczką w kubku, wiła kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie i w pierwszej chwili aż włosy stanęły jej dęba. Wiązanka ziół, ledwie wczoraj zawieszona na gwoździu ręką planetnika, niemal niezauważenie kołysała się pod belką.

Niemal.

Obrzuciwszy prorokujący wiecheć niechętnym spojrzeniem, Oda usiadła przy oknie od frontu, z widokiem na werandę, po czym upiła pierwszy łyk kawowego ulepku. Słodycz przywarła do podniebienia, ciepło spłynęło przetykiem i ogarnęło całe ciało. Bardzo zmęczone ciało, uświadomiła sobie nie bez zaskoczenia. Dopiero co wstała, jasność dnia padała prosto na jej twarz, energia cukru już docierała do poszczególnych komórek, trybiki powinny zatem przyspieszać.

Tymczasem wszystko jej ciążyło, powieki, głowa – i myśli w tej głowie też.

Nim się obejrzała, wróciły obrazy.

Posągowa postać, tak odległa i nieruchoma, że bez trudu Oda mogłaby wziąć ją za drzewo. Albo za cień. W każdym razie za coś, co niczym nie mogłoby jej zagrozić. Nie wzięła jednak, wyczuła z daleka, że coś tam jest. Co takiego dokładnie? Zamknęła na chwilę oczy, próbując przywołać z pamięci jakikolwiek szczegóły. Jeszcze raz. Postać. Wysoka. Prawie ludzka, lecz tylko prawie, żaden człowiek nie miał takiej aury ani takich... proporcji. Teraz to do niej dotarło.

To i jeszcze coś.

Od żadnego człowieka nie tchnęło tak śmiercią.

Oda otworzyła oczy. Wydawało jej się teraz, że świat jakby przygasł, chociaż słońce świeciło bez zmian. Czy właśnie to coś, to stworzenie, napotkali jej pacjenci? Czy właśnie ono zadało im dziesiątki ran, z których potem ściągała szwy w zabiegowym? Odwróciła głowę, by przyjrzeć się szufli, która stała w kącie przy drzwiach, oparta o futrynę – namacalny dowód jej małego triumfu. Owszem, wyziębienie wespół z rwą prawie ją wykończyły, ale nie to coś. To coś oberwało od niej solidnie. A może... Przed oczami stanęła jej kolejna migawka, tym razem ze snu – ślady trzech psich łap na śniegu oraz plama krwi tam, gdzie powinna być łapa czwarta. Głębia czerwieni na nieskazitelnie białym tle. Szanowna podświadomość zgrabnie to rozegrała.

Oda zerwała się na równe nogi i chwyciła za szufłę, przyglądając się bacznie pogiętej stali. Nic. Żadnej krwi czy innych nieludzkich wydzielin. Ale może zostawiło jakiś ślad tam, na ścieżce albo w jej pobliżu? Choć jeden trop, jakikolwiek, którego śnieg nie zdołał zasypać do końca? Musiałyby się przejść i sprawdzić...

Z zamyślenia wyrwał ją nagle odgłos klaksonu. Poderwała głowę, zaskoczona. Roch? Co on, zdurniał bez reszty, że trąbił w środku lasu?! Nie mówiąc już o tym, że spodziewała się go nie wcześniej niż wieczorem. Oda odstawiła szufłę i wyjrzała na zewnątrz.

Zamiast białej półciężarówki zobaczyła jednak granatowego SUV-a, z którego gramolił się Krzyś w futrzanej czapie à la ruski czołgista,

objuczony lekarską torbą i koszem prezentowym, opakowanym, a jakże, w celofan.

– Ależ tu pięknie u ciebie, Odeńko! – zakrzyknął, gdy wpuściła go do środka. – Cisza, spokój i ten las! Wspaniały! Nie dziwię się, że lubisz tu mieszkać. Wiesz, że sarny podchodzą ci pod same drzwi? Widziałem ślady kopyt na śniegu.

– A owszem, podchodzą bardzo blisko. Czasem nawet jedzą mi z ręki. Co ty tu robisz, Krzysiu?

– Urwałem się na godzinę, żeby sprawdzić to twoje rzekome nic. – Złocista brew uniosła się, znikając pod czapą. – Bo wiesz, jak świat światem, jeszcze żaden lekarz nie wystawił nikomu el cztery z takim rozpoznaniem.

Oda wzruszyła ramionami.

– Rwa kulszowa to jeszcze nie koniec świata. Za parę dni będę fikać koziołki.

– To się zaraz okaże. Ale najpierw przyjemności. Proszę bardzo – wręczył Odzie szeleszczący kosz – to na poprawę humoru. Trufle, maczki i śliwka w czekoladzie. Nałęczowska, najlepsza!

– Pani Gienia, jak widzę, nie zasypia gruszek w popiele.

– Ach, żebyś ty miała pojęcie! – Uwolnwszy się od słodkiego ciężaru, Krzyś ściągnął czapę z głowy i wziął się do rozpinania kurtki.

– Pani Gienia wdroyła w przychodni triaż i dokonała strategicznych przesunięć w grafiku obsady lekarskiej celem optymalizacji wykorzystania zasobów ludzkich. I to jest cytat, Odeńko, plakat z taką informacją wisi teraz na drzwiach wejściowych. Plakat – powtórzył z naciskiem, na wypadek gdyby jej umknęło. – Myślisz, że ktokolwiek chociaż pisał?

– Myślę, że ty.

– Ale to wyłącznie ze szczęścia! No! – Zatarł radośnie dłonie. – A teraz wyskakuj z tego swetra.

– Słucham?!

– Jak słuchasz, skoro nie słuchasz, widzę przecież! – zawołał już z łazienki. – Znaczy, nie widzę, ale się domyślam, że nie słuchasz. Chyba nie sądziłaś, że ci odpuszczę?

– Ale pamiętasz, że ja też mam uprawnienia do obsługi stetoskopu?

Nawet kojarzę, co się robi z którą końcówką!

– Sama siebie nie osłuchasz, choćby dlatego, że nie wszędzie dosięgniesz – odparł Krzyś, z powrotem w kuchni. – No, Odeńko, bądźmy dorośli. Obiecuję, że nie będę patrzył. Dasz się osłuchać, pokażesz gardelko...

Zmrużyła przekornie zielone oczy.

– A jak będę dzielna, to dostanę naklejkę?

– Lizaczek. I osobiście ci rozpakuję z papierka. No, to jak na spowiedzi poproszę: czym sobie zasłużyłaś na el cztery?

Walcząc ze swetrem i podkoszulkiem, opowiedziała Krzysiówi pokrótce, na czym jej zeszło wczorajsze popołudnie. Elementy nadprzyrodzone pominęła starannie.

– Czyli podsumujmy. Najpierw nerwoból międzyżebrowy, co wskazuje na sterany życiem kręgosłup, a następnie rwa kulszowa po gwałtownym ruchu. Wszystko się zgadza, wielopoziomowa dyskopia kręgosłupa jak złoto. Odeńko, czy ty się ruszasz?

– Krzysiu, ruszam się nieustannie – odparła Oda, wyłaniając się w końcu spomiędzy warstw ubrania. – Codziennie rąbię drwa...

– Ćwiczenia siłowe, dobrze, dobrze, chociaż słabo angażują mięśnie brzucha.

– ...i wszędzie dojeżdżam rowerem.

– Czyli kardio też mamy z głowy. Przydałoby się jeszcze małe rozciąganie do kompletu. Coś, co rozluźni ten ciasno zawiązany gorset mięśniowy, i jeszcze coś, co go wzmocni! A teraz zajmijmy się tym wyziębieniem. Oddychamy, głęboko!

Przez kolejne minuty stetoskop sunął stanowczo, lecz łagodnie, to tu, to tam przystając na dłużej. W ślad za nim podążały palce, wydając jej ciału rozkazy bez słów – a ciało reagowało nie jak na intruza, lecz starego przyjaciela. Było w tym coś hipnotyzującego, w tym i w odruchu, z którym poddawała się temu rytuałowi. Równy, głęboki oddech. Skupienie. Bliskość. I pełne zaufanie.

– A że tak skorzystam z okazji i zagaję... – wymruczał Krzyś nad jej uchem. Tembr jego głosu i ciepły oddech na szyi, nieopodal miejsca, gdzie pod skórą płynęła rozżętniona, gorąca krew, nieoczekiwanie sprawiły, że Odę mimowolnie przeszły ciarki. Dlaczego dopiero teraz

zauważyła, jaki był... no... po prostu był. Wkroczył w jej przestrzeń i z miejsca w nią wsiąkł, taki złocisty i pogodny. Zupełnie inaczej niż Roch. Nie żeby z Rochem czuła się źle, nie no, skądże znowu, zgaśniła się w myślach. Roch był dla niej jak... Jak cień. Zawsze gdzieś z boku, chłodny i cichy, gotowy nieść wytchnienie w chwilach największego wzburzenia. Ale czasem... czasem brakowało jej tej odrobiny słońca, w którym mogłaby się ogrzać.

– Odeńko... – mruknęło tymczasem słońce.

– Tak, Ksy... Krzysiu?...

– Jaki jest twój stosunek do amoksycyliny...?

Otrzeźwienie nastąpiło w okamgnieniu.

– Słucham?

– Szemrzesz, Odeńko, szemrzesz niczym letni strumień o poranku.

O, tutaj. – To mówiąc, zapukał w jej lewy bok i Oda była gotowa dać głowę, że usłyszała echo. – Subtelnie i jednostronnie, ale jednak. Zapalenie płuc nam tu się kluje.

– Chyba sobie żartujesz. Żartujesz, prawda?

– Dziesięć dni – orzekł Krzyś stanowczo, składając stetoskop. – Piguleczki, inhalacyjki, nacieranka. Dużo płynów.

– Oszalałeś? Nawet nie mam gorączki! Siedem!

– Szmary w płucu niespełna dobę po wyziębieniu? Odeńko, Odeńko, Odeńko... – Pokręcił złocistą głową. – Dziesięć i ani dnia mniej. Tako rzekłem, co potwierdzą stosowną receptą, pieczętą i zamaszystym, acz nieczytelnym podpisem.

Jak powiedział, tak zrobił. Zaraz rozsiadł się za stołem i zaczął skrobać święte lekarskie zalecenia, dyskretnie podjadając maczki z kosza, który dopiero co tu przytaszczył. Oda ubrała się i szybko policzyła coś w głowie.

– Krzysiu, przecież to znaczy, że wrócę do pracy dopiero po świętach. Nie domkniesz grafiku!

– A to już mój problem! – odparł radośnie, nie podnosząc głowy znad recepty.

– Pani Gienia już to rozgryzła, co?

– Triaż, Odeńko, triaż i zastraszenie.

Cóż. Może i znalazłby się śmiałek gotów dyskutować z zapaleniem

płuc, ale na pewno nie z panią Gienią.

– Ach, byłbym zapomniał! Proszę. Twój lizaczek.

Parsknęła śmiechem, bez reszty rozbrojona tym gestem. Cały Krzyś – dwa metry wzrostu, biceps jak u atlety, w gardle baryton, od którego miękły kolana, a w torbie stetoskop pediatryczny z kaczuszką na głowicy i zapas lizaczków w kształcie serduszka.

– Słodziej już być nie może.

– Zawsze może, Odeńko. – Mrugnął do niej szelmowsko, po czym dodał pospiesznie: – No, chyba że masz cukrzycę, to wtedy lepiej nie. A z tym... – Już miał jej wręczyć receptę, kiedy coś sobie uprzytomnił. – Hm, z tym chwilowo nic nie zrobisz. Hm... – Zmarszczył złociste brwi i obrzucił Odę zatroskanym spojrzeniem. – Chyba nie powinnaś mieszkać teraz sama na tym odludziu, wiesz? I to jeszcze bez zasięgu, bez prądu i ciepłej wody w kranie. Mam wolny pokój na poddaszu, jeśli chcesz, to...

– Sarenki, pamiętasz? Przecież nie zostawię ich tu samych.

– Ale sarenki szklanki wody ci nie podadzą, nie mówiąc już o wykupieniu recepty na antybiotyk czy fachowym oklepaniu plecków. A ja cię oklepię jak mało kto. I nawet rosołku nagotuję!

– Bez obaw, to tylko dziesięć dni. Poza tym nie tylko sarenki odwiedzają mnie tu regularnie, Roch też.

– Roch...? Ach, Roch! Tak, pamiętam, ten miły człowiek z siekierą.

– Przyszedł do przychodni z siekierą?

– Uhm, w garści. Fachowy chwyt.

Westchnęła ciężko.

– Przepraszam, Krzysiu. Roch jest... jest... no, jest. I to jest bardzo ważne, że jest, ale... Ciężki przypadek.

– Zdiagnozowany?

– I nieuleczalny.

– Życie – skwitował Krzyś, po czym nasadził czapę z powrotem na głowę i zgarnął swą lekarską torbę. – Dobra, wracam raz-dwa do przychodni wesprzeć Staszka Srokę w tym nierównym boju, ale spodziewaj się mnie wieczorem. Wpadnę z antybiotykiem i czymś na zakąskę.

– Masz na myśli pączki?



– Miałem na myśli probiotyk – odparł z namysłem, zaciskając dłoń na klamce – przyznam jednak, że pączki też do mnie przemawiają. Tak. Bardzo głośno przemawiają. W zasadzie wręcz wołają mnie po imieniu. Zatem dziś wieczorem – antybiotyk, probiotyk i pączki! Cześć!

– Jest tylko jeden problem, Ksy... Krzysiu.

– Och? Jaki?

Oda uśmiechnęła się przekornie, kręcąc trzymanym w dłoni lizaczkiem.

– Zapomniałeś coś rozpakować.

\*\*\*

Ledwo SUV zniknął między drzewami, zza węgła wychynął mały czort, a w ślad za nim psina, nieodłączna towarzysza jego włóczęg najbliższego zasięgu. Czym prędzej przedreptali gęsiego przez werandę, trzęsąc zmarzniętymi kuperkami, i czmychnęli przed mrozem do środka, do ciepłego, przytulnego domu.

Mokra od śniegu Kuleczka natychmiast przypadła do swej pani z piskiem i domagała się czułości. Bazyl tymczasem zdjął i złożył pasiasty szaliczek, bez pośpiechu, za to z taką godnością, że nie sposób było tego przeoczyć.

– Co tam, Bazylku? – zagaiła Oda znad skłębionego psa.

Czort splótł łapki na piersi i zadarłszy brodę, omiótł wilę surowym spojrzeniem, poczynając od czubka głowy aż po kostki i z powrotem, tak na wypadek gdyby bycie omiataną – surowo! – uszło jej uwadze.

– Fsztydziłabysz sze – wycedził wreszcie.

– Fszty... ach! Okej, już rozumiem – dodała. Po czym zrozumiała, że nadal nic nie rozumie. – A tak konkretnie to czego mam się wstydzić?

– Ne żgryfaj nefiniontka, ja fszysztko szłyszałem! FSZYSZTKO! Uuu, doształam lizaczek, uuu, mosze mi go rozpakujesz, bo ja jesztem taka szłaba, taka czała roczeptana, o, taka: czep-czep-czep. – I dla zaprezentowania zatrzepotał rzęsami, gnąc się w kibici, co z uwagi na fakt, że dość trudno było stwierdzić, gdzie mu ta kibić w ogóle

wypada, dało dość niepokojący efekt. – Szerjo? Szerjo?! Dze tfoja godnoszcz?!

– Moja...? Rany boskie, wcale tak nie robiłam! – oburzyła się Oda.

– Jaszszsne... Ty myszlisz, że ja czo, mamuszy szpod ogona fczoraj fypadłem?! Ty sze do nego fdżencyłasz! Jak kokotka!!!

– Kokietka, to raz, a dwa...

– Tak czy szak, fsztyd! FSZTYD!!! F tym domu szom szfjerzenta!!! A Roch?!

– A co ma do tego Roch, do cholery, Rocha przy tym nie było! Jeszcze tego brakowało, żeby i on mi się gapił na cycki! Co ja, malowane wrota jestem?!

– Na-na-na-na-na – zaterkotał czort, na moment straciwszy panowanie nad szczęką. – Na czycz... na czo?!...

Pomna niedawnych przejść ze swym porywistym charakterem, Oda nabrała głęboko powietrza, żeby utrzymać nerwy na wodzy.

– Krzyś... znaczy, Krzysztof Lewczyński – podjęła po dwóch kolejnych oddechach – lekarz medycyny rodzinnej, przyjechał tu z troski o moje zdrowie. Żeby mnie osłuchać, jak się okazało, całkiem słusznie. A osłuchania dokonuje się po uprzednim zdjęciu przez pacjenta odzieży, tak wierzchniej, jak i spodniej, wiesz? W roli pacjenta tym razem wystąpiłam ja.

Bazyl zamrugał.

– Tak... tak... besz szfeterka?...

– Bez.

– I besz blūzczki?...

– Bez.

– Odzinko!... – sapnął Bazyl, wkładając w owo sapnięcie całą zgrozę i potępienie, jakie zdołał zebrać w swym niewielkim ciele.

– Och, nie Odzinkuj mi tu – prychnęła ze złością. – To było zwykłe badanie lekarskie. A poza tym mam czterdzieści trzy lata, do cholery!

– Dżeczko, dżeczko, dżeczko... Szczym do czorta?

Huknęły drzwi sypialni, pisnął pies pod stołem, zawył na zewnątrz wiatr, wewnątrz zaś podniósł się rozpaczliwy krzyk małego przedstawiciela piekieł:

– I jeszcze szeszarł szysztkje maczki!!!

A potem zapadła cisza.

## Rozdział 6

Siłą rzeczy dolargan w końcu przestał działać.

Przez następne dni Oda była zmuszona się oszczędzać, przynajmniej fizycznie. Siedziała na zdrowym półdupku, inhalując się i nawadniając, rozciągała półdupek chory wraz z przyległościami, o stosownych porach łykała, co miała do łykania – i z tego całego potulnego chorowania jak człowiek pomału trafiał ją ciężki szlag.

A Bazyl wcale nie pomagał. Wprost przeciwnie, wręcz obnosił się ze swym fochem. Traktował wilę jak powietrze, trzaskał drzwiami i pił mleko prosto z piwnicy, chociaż od zimnych płynów zawsze dostawał czkawki. Jeżeli nie siedział zagrzebany pod kocem, z nosem w książce i zadkiem wypiętym manifestacyjnie, to codziennie gdzieś przepadał, na godzinę, czasem trzy. Oda wcale by się nie zdziwiła, gdyby pewnego dnia wrócił do domu z tatuażem na czole, kolczykiem w rogu i ogonem zawiązanym w supeł, byle tylko udowodnić jej, że mógł, bo był już taki dorosły.

Roch zresztą też dokładał do pieca. Dosłownie i w przenośni. Owszem, z początku zjawiał się regularnie, tyle że jego wizyty sprowadzały się do przyniesienia opału z drewni i kilku zdawkowych mruknięć, rzucanych w biegu przez ramię, na odczepnego. Im cięższe śniegowe chmury z dnia na dzień wzbierały na niebie, tym głębsze zmarszczki znaczyły jego czoło i tym bardziej burkliwy się stawał, aż Oda już nie umiała powiedzieć, kto tu komu bardziej psuł humor – aura planetnikowi czy planetnik aurze.

Naprawdę, z narastającym trudem opierała się wrażeniu, że miała do czynienia z dwoma nastolatkami w ostrej fazie nabzdyczenia. Sama też coraz gorzej znosiła przymusowe zamknięcie w czterech ścianach. Nie żeby aż tak tęskniła za ludźmi czy za miasteczkiem, skądże znowu. W końcu to samotnością i odosobnieniem ładowała baterie. Tyle że rozpaczliwie brakowało jej powietrza, ruchu i przestrzeni. Czuła się jak wiatr pochwycony w pięść.

Wszystko to razem skutkowało nieustającą zadymką za oknem.

– Patrz, niby środek lasu, a u nas aż tak nie wieje – dziwił się Krzyś, ilekroć wpadał do niej na kontrolę i pogawędkę, ewentualnie ze świeżą dostawą baterii, a także pączków na podbudowanie ciała i ducha. Niestety, nawet pączki z różą i lukrem okazały się bezradne w obliczu takiej kumulacji sił nadprzyrodzonych.

A potem Roch nie przyjechał. Nie przyjechał rano, nie przyjechał też wieczorem.

Po tygodniu Oda była pewna, że jeszcze dzień i doszczętnie oszaleje od tej beczynności. I właśnie wtedy Krzyś, dokonawszy starannego osłuchania jej dróg oddechowych, orzekł wreszcie:

– Jest dobrze!

– Jest?

– Jest. Czyściuteńko.

– Czyli mogę wrócić do...

– Po świętach. – Krzyś zdusił w zarodku wszelkie nadzieje, które zdążyły w niej zakiełkować. – Nie wcześniej. Trzy ostatnie dni antybiotyku... Nie przewracaj mi tu oczami, bo nie dostaniesz lizaczka. Dobrze wiesz, że zapalenie płuc to nie przelewki, Odeńko. Trzy ostatnie dni antybiotyku – powtórzył cierpliwie – przez święta akurat sobie odpoczniesz i dopiero wtedy wrócisz do pracy. A tymczasem możesz się przespacerować koło domu, jeśli się przejaśni. Tylko nie forsuj się za bardzo. I uważaj, żeby się znowu nie poślizgnąć. I zabierz komórkę. I ubierz się ciepło, ale nie za ciepło, bo się zgrzejesz. I żadnego machania szuflą!

– Tak, Ksy... Krzysiu.

Co ona miała ostatnio z tym seplenieniem...?

Odczekała chwilę, patrząc za granatowym SUV-em, dopóki nie zniknął jej z oczu, i dopiero wtedy przystąpiła do dzieła. Mimo wczesnej pory Bazyl znowu gdzieś się zawieruszył, jak to miał ostatnio w zwyczaju. Cóż. Przynajmniej nie musiała się przed nim tłumaczyć. A byłoby z czego.

Wyszperany poprzedniego przedpołudnia na stryszku mały termos napełniła herbatą, bardzo gorącą i bardzo słodką. W razie powtórki z rozrywki wysokokaloryczny wrzątek mógł jej uratować życie. Ubrała się – ciepło, ale nie za ciepło, dokładnie tak, jak nakazał Krzyś,

stawiając raczej na pełną swobodę ruchu. Dwa razy sprawdziła stan baterii, po czym schowała komórkę do głębokiej kieszeni kurtki, razem z małą latarką. Do drugiej wsunęła termos. Jeszcze czapka, rękawiczki... no i szufla, rzecz jasna.

– Obiecuję nie machać tobą zbyt wiele – wymruczała pod nosem. – Tylko tyle, ile będzie trzeba.

Gwizdnęła na Kuleczkę i wyszła.

Las już na nią czekał.

Podążała płytkimi koleinami, które opony SUV-a wyżłobiły w wierzchniej, najświeższej warstwie śniegu. Ten trzeszczał pod podszwami, wciąż ścięty nocnym mrozem, ale nie zapadał się pod jej ciężarem, dzięki czemu mogła iść w miarę swobodnie. Pod osłoną drzew wiatr też nie dawał się już tak bardzo we znaki, nie wdzierał się byle szczeliną pod warstwy odzieży, nie wyciskał łez z oczu. Mimo to po pierwszych kilkudziesięciu metrach Oda musiała przystanąć.

– Spokojnie – rzekła do Kuleczki, która szczeękła krótko, przyglądając się uważnie swojej pani. – Zaraz złapię... ten oddech.

Cóż. Krzyś miał trochę racji – zapalenie płuc to nie przelewki. A i tak uszło jej przecież płazem.

Gdy upewniła się, że znowu panowała nad oddechem, ruszyła dalej, tym razem nieco spokojniejszym krokiem. „Nie ma się co spieszyć”, powtarzała sobie w duchu. „Oszczędzaj siły na potem. Na... na wszelki wypadek”.

Ścieżka biegła w miarę prosto, bez żadnych ostrych zakrętów czy załomów. O tej porze roku brakowało też gęstych zarośli, w których coś mogłoby się przyczaić... a przynajmniej coś o gabarytach stanowiących realne zagrożenie. Z tymi nierealnymi powinna sobie poradzić. Oda szła więc przed siebie, tylko od czasu do czasu zerkając to na lewo, to na prawo. Obecność psa dodawała jej otuchy.

– To tutaj – powiedziała głośno, kiedy dotarły do charakterystycznie wygiętej sosny. W miejscu, gdzie niegdyś wyrastała gałąź, która w trakcie burzy się złamała i spadła wprost na ścieżkę, widniał sporych rozmiarów, zasklepiony żywicą guz. To tutaj dotarła Oda tamtego popołudnia, przekopując przejście w zwałach śniegu. I tutaj została zaatakowana.

Pomału, jeden po drugim, wiała zlustrowała cienie, które zalegały między drzewami i zaspami, jednocześnie ściągając rękawiczkę i wyteżając zmysły w poszukiwaniu tamtej aury. Z kieszeni wyłowiła telefon, włączyła go i uruchomiła mapy. Dwa szybkie rzuty okiem na wyświetlacz, żeby ustalić strony świata – tędy przebiegała szosa. Żeby dojechać nią do miasteczka, należało skręcić w prawo, na północ. Polana, na której znajdował się dom Ody, była mniej więcej gdzieś tu, na wschodzie... A stworzenie, które wtedy widziała, stało tam. Pośrodku szarego, nierozpoznanego przez aplikację pustkowia. Skąd przyszło? Dokąd odeszło? Gdzie się kryło przed niepożądanym wzrokiem, gdzie sypiało, gdzie...

Oda zacisnęła palce na stylisku zniszczonej szufli.

Gdzie lizało rany?

Zmarszczyła nos i zsunęła dwa palce na wyświetlaczu, żeby oddalić widok mapy. Jeszcze zbyt dobrze nie знаła tych stron, ale jednego była pewna. W promieniu kilkunastu kilometrów, jakie dzieliły ją od najbliższego miasteczka, nie było żadnych zabudowań, zamieszkałych czy też opuszczonych, żadnych jaskiń czy innych naturalnych kryjówek, jedynie gęsty las. A to by oznaczało, że nie miała żadnego punktu zaczepienia. Chociaż... Przesunęła mapę palcem trochę bardziej w...

Nagle szczerzenie sprawiło, że poderwała głowę znad telefonu, a serce aż zadudniło jej o żebra. Ale nie – to tylko Kuleczka się niecierpliwiła, przestępując z łapy na łapę. Marzła od tego bezruchu i wcale jej się to nie podobało.

– Rany boskie, nie strasz mnie tak więcej... – Oda wsunęła telefon z powrotem do kieszeni i przykucnęła. – Wybacz, że cię tak wykorzystuję – z ciężkim sercem zwróciła się do kundelka – ale ja w ogóle nie mam nosa do tych spraw. No, szukaj, Kuleczko. Szukaj! I błagam, znajdź cokolwiek...

Podczas gdy pies krążył z nosem przy ziemi, wiała skupiła się na wyławianiu kolejnych szczegółów z zakamarków własnej pamięci. Nie tylko na nią rzuciło się w tym lesie coś nieludzkiego. Może gdyby zdołała ustalić, gdzie mniej więcej doszło do tamtych ataków, tych punktów zaczepienia zrobiłoby się nieco więcej i coś by z nich

wynikło?

Kuleczka węszyła długo i z zapalem, niestety – bezskutecznie. Rzecz jasna, Oda nie łudziła się nawet, że przy tej pogodzie natkną się na wyraźne odciski łap tajemniczego stworzenia, które zaprowadzą je prościuteńko do leża, gdzie znajdą zastygłe już truchło. Od tamtego popołudnia śnieg padał właściwie nieprzerwanie, co oznaczało, że wszelkie ślady zniknęły bezpowrotnie, jeszcze zanim ona opuściła szpitalny oddział ratunkowy. Liczyła jednak, że może zachowała się choćby rysa po nieludzkim szponie na pniu któregoś z pobliskich drzew czy zaplątany w gałązki strzęp sierści. W końcu szufla nie pogięła się samoistnie. Istota, która zaatakowała wiłę, sama też ucierpiała, zapewne oddalała się stąd choć trochę oszołomiona. Musiała się o coś otrzeć, czegoś chwycić, przynajmniej ten jeden raz.

Cóż, nadzieja złudna to jednak wciąż nadzieja...

– Szukaj, Kuleczko, szukaj – powtarzała Oda, obmacując drzewo za drzewem, co pochłonęło ją tak bardzo, że koniec końców przestała zwracać uwagę na cokolwiek innego.

Aż naraz usłyszała dźwięk. Lecz wtedy było już za późno, żeby się ukryć.

\*\*\*

– Wsiadaj.

– Jeszcze nie skoń...

– WSIADAJ.

To nie był krzyk. W reakcji na krzyk albo chociaż podniesiony głos Oda z miejsca zaciągnęłaby wszystkie wewnętrzne hamulce i żadna siła by jej stąd nie ruszyła. Zawsze tak reagowała i nie wynikało to tylko z jej przekornego charakteru. Wychowywała się w rodzinie, w której krzyk był uważany za oznakę ostatecznej słabości, porażki. Krzyczał tylko ten, komu brakowało argumentów, kto nie widział już innego wyjścia z sytuacji. Wystarczyło poczekać, aż się zmęczy.

Sęk w tym, że Roch nie krzyczał. Nie musiał.

Z popiskującą Kuleczką pod pachą Oda wsiadła do samochodu, a ten ruszył, ledwie zdążyła trzasnąć drzwiami. Gdy po paru minutach



zajechali na polanę, Roch, wciąż milcząc, zgasił silnik, wysiadł i ruszył w stronę drewnutni.

Oda długo na niego czekała.

– Dawno do nas nie zaglądałeś – zagaiła, kiedy zjawił się wreszcie, taszcząc do środka wyładowany drewnem kosz. – Coś się stało?

Nie odpowiedział. Jedno po drugim ciężkie polana lądowały na stercie nieopodal kafłowej kuchni, aż łoskot niósł się echem po domu. Kuleczka, która wyczuła napiętą atmosferę, schowała się pod ławą.

– Jak... jak twoje palce?

– Przestań.

Roch przyklęknął przed kuchnią i uchylił żeliwne drzwiczki. Widząc, że ogień wygasł do reszty, sięgnął po pogrzebacz i kilkoma energicznymi ruchami przemieszał popiół w poszukiwaniu resztek żaru.

– Rozmawiałś z tamtymi ludźmi – odezwał się wreszcie. Nie odwrócił się jednak w stronę wiły, skupiony na zimnym palenisku. – Zdejmowałaś im szwy. Widziałas, co im zrobiło to stworzenie. Co mogło... próbowało zrobić tobie.

– Jasne, ale... – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się z tą swoją przekorą. – Czy ty naprawdę sądziłeś, że z wrazenia zamknę się na strychu i będę tam siedzieć aż do wiosny?

– Jaki dziś mamy dzień?

– Nie widzę zwią...

– JAKI. MAMY. DZIEŃ.

– Rany boskie, poniedziałek! Ale co to ma niby do rzeczy?!

Dopiero teraz planetnik odwrócił głowę i, spojrzawszy przelotem na Odę, wsunął dłoń do wnęki pod paleniskiem, skąd wyciągnął kilka szczap i skinął nimi w jej kierunku.

– Dwudziesty drugi grudnia – rzekł, po czym zaczął układać szczapy w wygasłym popiele. – Dzień przesilenia zimowego.

Parsknięcie uwięzło jej w gardle.

– Ty tak... ty tak poważnie? Robisz mi awanturę z TEGO powodu?

– A co? Znajdzie się inny?

Długo wpatrywała się w jego szerokie plecy, zanim pojęła, do czego pił.

– Bazyl ci powiedział? O Krzysiu i...? I to przez to...? Przecież to naprawdę nic takiego, zwykłe badanie, zwykły Krzyś, bez żadnych... żadnych podtekstów czy... to Bazyl... bo Bazyl po prostu nie rozumie, że... – Naraz aż złapała się za głowę, w której nieoczekiwanie zaroilo się od chaotycznych myśli. – Rany boskie, czemu ja się w ogóle tłumaczę, to moje życie i moja sprawa, komu i po co pokazuję cycki!

– No właśnie. Czemu?

Szukała, lecz nie zdołała wyłowić z chaosu żadnej odpowiedzi na to pytanie.

Zmarszczyła brwi.

Roch miał to gdzieś. Nie po to tu przyjechał. Widząc, że płomienie znów zaczęły sobie śmiało poczynać, przymknął drzwiczki i złapał kosz, żeby przynieść jeszcze trochę drewna.

– Kolejny mądry – warknął, gdy mijał się w drzwiach z małym czortem.

Na zewnątrz, a jakże, kłębiła się już całkiem konkretna zadymka, niebo zaś zaszło chmurami tak gęstymi, że zdawało się, jakby to było późne popołudnie, skłaniające się ku nieuchronnemu zmierzchowi.

– Pszypominam, sze jesztem ż natury szilom neczystom! – zawołał za planetnikiem Bazyl. – Żłofrogom i fogle!

– Tylko tyle zdążyłeś wyczytać? – dobiegło wraz z podmuchem wiatru.

– Neee... – przyznał czort, już bardziej do siebie. – Ale to zafsze jakisz poczontek!

Teraz Rochowi zeszło się dłużej niż za pierwszym razem. W pewnym momencie Oda zaczęła się wręcz zastanawiać, czy przypadkiem nie odjechał, ale nie – półciężarówka wciąż stała przed domem, okrywając się pomału śnieżną płachtą, bielszą od wysłużonego lakieru. Czekala zatem, a złość wzbierała w niej z każdą następną minutą. Nie miał prawa. Nie miał absolutnie żadnego prawa ani pytać, ani oceniać, ani tym bardziej oczekiwać od niej jakichkolwiek wyjaśnień. Co robiła i z kim to była wyłącznie jej sprawa, nikogo innego. Ani matki, ani sąsiadki, ani małego czorta z wadą zgryzu, a już na pewno nie planetnika z nieuleczalnym fochem na cały świat!

W rezultacie, za ledwie ujrzawszy Rocha w drzwiach, momentalnie wybuchła:

– Tobie się naprawdę wydaje, że w ten sposób coś osiągniesz?! Warcząc na mnie, wtrącając się w nie swoje sprawy i miotając polanami?!

– Próbowałem rozmawiać jak z człowiekiem. Niewiele to dało, prawda?

– To może trzeba było spróbować jak z wiłą, dla odmiany?

– Powiedziałem: PRZESTAŃ. – Huknęło, kiedy Roch nie tyle postawił, ile upuścił ośnieżony kosz z drewnem na podłogę. – Mam gdzie twoje cycki, podteksty i tego całego Krzysia. Tu w ogóle nie chodzi o niego.

– Więc o co?

– O to, że tłumaczyłem. Prosiłem. Ale ty zawsze wiesz wszystko lepiej. Zawsze. Nawet gdy nie masz o niczym bladego pojęcia. – Uniósł na moment drugą rękę. Trzymał w niej wypchaną reklamówkę, którą położył na stole. – To od mojej matki. Na święta. Pilnuj ognia – rzucił na odchodnym.

– Zaczekaj! Do jasnej cholery, czekaj! – Oda wypadła za nim na werandę, tak jak stała, zapominając na amen o dopiero co wyleczonym zapaleniu płuc i lekarskich przestrojach. – Mam zanieść wieczorem ten ogień na...?

– Zrobisz, jak uważasz. Jak zawsze.

Odjechał. I coś jej mówiło, że prędko tu nie wróci.

– To jusz ne bendże mjendzy fami miłoszczy?... – zapytał cichuteńko Bazyl, kiedy Oda usiadła z powrotem na kuchennej ławie, zapatrzona w magiczny ogień, który mrugał do niej zza niedomkniętych drzwiczek paleniska.

– Nie, Bazylku – odparła wiła i zapominając o fochach i niesnaskach, przygarnęła małego czorta do siebie. – Chyba nie będzie już niczego.

\*\*\*

Reklamówka, jak się okazało, skrywała w sobie kilogramy dobra.

Już sam piernik staropolski, przełożony powidłami i oblany najprawdziwszą czekoladą, wystarczył, żeby Bazyłowi zakreśliły się łyzy w oczętach. Do tego doszedł jeszcze szczodry kawałek sernika na kruchym spodzie, zdobionego kratką z cytrynowego lukru, oraz mały makowiec. Na kolejną warstwę zawartości składały się trzy woreczki pierogów z kapustą i grzybami. Na samym dnie przeżyły się dumnie słoiki z kompotem, brunatnym i mętym, co sugerowało wysoką zawartość suszu, oraz siatka pomarańczy – pachnący upojnie relikw zamierzchłych czasów, kiedy święta bez pomarańczy w zasadzie się nie liczyły. Najwyraźniej pani Kusa uznała, że dobrze zjeść można bez względu na światopogląd, a Oda nie zamierzała się z nią spierać.

Po siódmym pierogu emocje trochę opadły, a wraz z nimi uspokoił się i wiatr. Oda odsunęła od siebie talerz i podparła podbródek ręką, rozkoszując się błogim uczuciem sytości. Chwilowo miała dość kłótni i ansów. Odepchnęła od siebie złość i skupiła się na tym, co dobre. Śnieg za oknem. Trzask ognia pod płytą. Oraz herbata z goździkami i kawałkami pomarańczy w dzbanku na stole. Pachniało grudniem.

– To Roch dał ci tę książkę?

Mały czort zastygł z pierogiem w zębach i łypnął na nią czujnie, gdyż węszył podstęp.

– Ofszem...

– O czym jest?

Pieróg zniknął w czortowskiej paszczęce.

– No fjesz... A, ne fjesz. No... – Bazył zadumał się, szukając właściwych słów, po czym orzekł: – O życzu i innych szprafach.

– Ach. Czyli to jakiś poradnik? Tak?

Bazył westchnął i pokręcił głową. Zeskoczył z ławy i podreptał do swego koszyka, wygrzebał spod koców gruby tom w twardej oprawie i wręczył go wile.

– O życiu? – Oda z zaskoczeniem jeszcze raz przeczytała tytuł na okładce. – *Wielka księga demonów i poczwar proweniencji wszelakiej?* To ma być książka o życiu?

– No czo? A ne?

– Cóż, w zasadzie... rzeczywiście, o życiu. – Oddała czortowi jego bezcenną książkę i uśmiechnęła się serdecznie. – No? To czego ci

ukroić, piernika, sernika czy makowca?

– TAK.

Pięć pierogów, trzy kawałki ciasta i szklanę mleka później Bazyl usnął jak kamień w swoim koszyku.

Oda tylko na to czekała.

Zdjęła ze ściany lampę, lecz nie nowoczesną, ledową, a starą, naftową, którą trzymała na wszelki wypadek, i sprawdziła zbiorniczek. Prawie pełny, doskonale. Wystarczyło jedynie wyregulować knot. Uchyliwszy drzwiczki paleniska, wiła wsunęła do środka długą, cienką szczapkę. Dopiero gdy płomienie wystarczająco wgrzyły się w drewno, płynnym ruchem wetknęła ją pod uniesiony klosz lampy. Knot zajął się magicznym ogniem – i jakby na dany znak razem z nim na zewnątrz zapłonął cały świat, lizany pierwszymi złocisto-pomarańczowymi promieniami zachodzącego słońca.

Nie tracąc czasu, Oda ubrała się ciepło, ciepłej niż tego ranka. Na wszelki wypadek obmacała kieszeń kurtki – komórka i latarka wciąż spoczywały na dnie.

– Zostań – szepnęła do Kuleczki, która wysunęła pyszczek spod koca i węszyła, co też tu się znowu święciło. – Obiecuję, że zaraz wrócę. Zostań z Bazylem.

Z lampą w jednej dłoni i szuflą w drugiej wiła ruszyła w las.

Szła tedy nie pierwszy raz, lecz w tym przypadku stąpała wyjątkowo uważnie, żeby się o coś nie potknąć, nie upaść, a już broń Boże nie upuścić lampy. Musiała donieść ten ogień na cmentarz. „Zrobisz, jak uważasz” – słowa Rocha znów zadźwięczały jej w uszach. Zacisnęła zęby. Żebyś wiedział, że zrobię. Jak zawsze.

O tym, że nieopodal jej domu znajduje się stary cmentarz, dowiedziała się dopiero zeszłego lata, właśnie od Rocha. Od tamtej pory często tu przychodziła, czy to z Kuleczką, czy to sama. Atawistyczny instynkt nakazywał obawiać się zmarłych – cóż, nie bez powodu, wszak rozkładowi nieodłącznie towarzyszą bakterie i inne żyjątka, które niekoniecznie muszą służyć żywym. Lecz rozsądek podpowiadał, że w zasadzie jedynym realnym zagrożeniem ze strony kilkusetletnich grobów mogło być co najwyżej ryzyko przydzwonienia małym palcem o zarośnięty roślinnością nagrobek. Co zresztą

sprawdziła własną stopą.

Nie, Oda nie bała się zmarłych. Przeciwnie, lubiła, gdy ich niewzruszony spokój udzielał się również i jej. Tyle że dziś był podobno ten dzień, kiedy zmarli na powrót stawali się czymś więcej niż truchła kilka metrów pod ziemią. Kiedy powracali z zaświatów i ciągnęli do życiodajnego ognia.

Przystanąła. Spojrzała przed siebie, na cienie kładące się między drzewami, długie, coraz dłuższe. I jakby... rozedrgane?

Brednie.

Jeszcze jakieś sto metrów i będzie na miejscu. Zostawi lampę z rytualnym ogniem w bezpiecznym miejscu, żeby nie zgasła do rana, ale też nie puściła z dymem całego lasu, sama zaś wróci do domu. Napije się herbaty ze święteczną pomarańczą. Zje kawałek sernika... albo dwa, no, ewentualnie trzy, ale to już naprawdę w ostateczności. Odpocznie, odsapnie, spędzi trochę czasu z Bazylem. Ostatnio mały czort chyba nudził się w domu, pewnie stąd ten jego foch i ciąga szwendanina nie wiadomo gdzie i po co... Znajdzie mu jakieś zajęcie. A jutro pogada sobie z Rochem, już na spokojnie, bez ciśnienia. „Pod warunkiem”, szybko dodała w myślach, „że Rocha najpierw nie zaleje nagła krew na wieść, że mimo próśb i awantury znowu wybrałam się do lasu, w którym grasuje coś, co już raz próbowało mnie dopaść. Bo wtedy ciśnienie będzie. I to jakie...”.

No ale przecież sam jej tłumaczył, jakie to ważne, żeby zanieść dziś ogień na cmentarz, prawda? Magiczny ogień o magicznej mocy, w magiczny dzień przesilenia, wiadomo. Uśmiechnęła się zawadiacko pod nosem. No właśnie. Zatem nie powinien mieć do niej pretensji, że ryzykowała, by dopełnić corocznych rytuałów, które podobno trzymały w kupie cały wszechświat wraz z zaświatową podszewką.

Już tylko ostatnie kroki dzieliły ją od pozostałości kamiennego ogrodzenia i wciąż nigdzie ani śladu zmarłych, czyhających, by porwać ją konno na tamten świat, opętać czy co to tam zmarli mają w zwyczaju wyczyniać z żywymi. Aż naraz stanęła jak wryta. Delikatny powiew wiatru przyniósł coś poza wonią śniegu. Wciągnęła głęboko powietrze i przymknęła oczy. Znała ten zapach, i to aż za dobrze, jak chyba każdy lekarz, który wychylił nos poza miły, czysty

gabinecik i praktykował w warunkach dalekich od cywilizowanych. Był to charakterystyczny smród ropiejącej, zainfekowanej rany.

Rany w jak najbardziej żywym ciele, dotarło do niej. Wrodzona przekora i lekarski instynkt zagłuszyły chęć ucieczki z powrotem do bezpiecznego domu. Cokolwiek kryło się tu i cuchnęło, posiadało ciało, obecnie poważnie uszkodzone, a zatem należało raczej do tego świata i wymagało natychmiastowej pomocy. Oda zerknęła na zasłużoną w boju szufłę. Było żywe i ranne. Zapewne też osłabione zaawansowanym stanem zapalnym, z ograniczoną możliwością ruchu. Czyli powinna sobie z tym czymś poradzić. Teoretycznie.

– Roch mnie zabije. Zabije mnie jak nic... – szeptała, wkraczając na cmentarz z duszą na ramieniu i wysoko uniesioną lampą. Palce prawej dłoni zacisnęła mocniej na stylisku. Czuła się trochę jak postać z horroru, beznadziejnie skłócona ze zdrowym rozsądkiem. Ale natura wily, natura lekarza kazały jej iść, iść prosto w tę paszczę zła. – Chyba że nie zdąży, bo najpierw zabije mnie coś innego... To wtedy nie. Może. Choć znając Rocha...

Zapach stopniowo przybierał na sile, prowadząc ją między nagrobkami do celu.

– Och, oczywiście. Bo gdzieżby inaczej... – mruknęła.

Drzwi do niewielkiej krypty, skrytej w gęstych zaroślach, już dawno przegniły i rozpadły się na kawałki, które teraz wały się gdzieś pod śniegiem. W środku zastygł zlodowaciały mrok.

I coś jeszcze.

– O cholera...

Och, tak. Tę aurę też знаła.

## Rozdział 7

Nie wiem, czym jesteś – odezwała się Oda głosem ochrypłym nie tylko od mrozu – i czy przypadkiem nie odgryziesz mi zaraz głowy, ale na moje oko to trzeba oczyścić i opatrzyć. Jak najszybciej. Rozumiesz?

Z najdalszego kąta krypty obserwowało ją dwoje niehumanicznych oczu, czarnych jak dwie studnie bez dna. Choć matowe, opalizowały wyraźnie w blasku lampy.

Stworzenie siedziało skulone na ziemi, za kamiennym sarkofagiem, owinięte zwojami czegoś, co po krótkim namyśle Oda zidentyfikowała jako bardzo stary całun. Przełknęła ślinę. Cóż. To po części tłumaczyło aurę... Natomiast źródłem smrodu, który sprowadził ją aż tu, do wnętrza krypty, i teraz wwiercał się przez nozdrza niemalże do samego mózgu, była wyciągnięta sztywno tylna noga stworzenia, zwieńczona rozdwojonym kopytem. Czarną, jakby węzową skórę na udzie znaczyły cztery bruzdy. Głębokie, wyszarpane. Co prawda Oda nie знаła się na anatomii istot demonicznych, ale nie miała żadnych wątpliwości co do diagnozy. Obrzęk, wysięk i woń niezbitie świadczyły o zakażeniu.

– Rozumiesz? – powtórzyła, modląc się, żeby jednak rozumiało. Nie dość, że było ranne, to jeszcze zapędzone w kozi róg. W pułapkę bez wyjścia. Nie zdziwiłaby się szczególnie, gdyby postanowiło ją zaatakować. Cóż. Możliwe, że nawet by nie zdążyła zauważyć, że umiera. – Nic ci nie zrobię, chcę pomóc. Jestem lekarzem. Rany boskie, jakby ci to... Leczę innych, rozumiesz? Uzdrowiam. Znaczy, nie do końca, ale wiem, co zrobić, żeby...

– Wiem, kim jesteś.

Aż podskoczyła na dźwięk głosu tak... rozumnego. Wydawałby się prawie że ludzki, gdyby nie ów melodyjny, jakby ptasi trel, który pobrzmiwał gdzieś w tej dudniącej głębi. Czymkolwiek było to stworzenie, na pewno miało więcej szarych komórek, niż Oda zakładała. Dużo więcej. Z jednej strony trochę ją to uspokoiło, bo



w ewentualnym starciu zdecydowanie wolałaby posłużyć się siłą argumentu niż argumentem siły w postaci szufli, lecz z drugiej... Już sama nie wiedziała, co gorsze, bezmyślna maszynka do mięsa czy inteligentny drapieżnik, kalkulujący na chłodno, jak by tu ją napocząć, żeby się za bardzo nie zmęczyć.

– Okej. Okej. – Oda zaczerpnęła głęboko powietrza. – Pomogę ci, ale do tego potrzebuję kilku rzeczy. Pójdę po nie do domu i zaraz wrócę. Zostawię tu lampę, dobrze? Tylko jej nie trąć, bo ten... całun wygląda mi na cholernie łatwopalny. Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem.

– Okej. Okej.

– Już to mówiłaś, wiło. Idź.

Poszła więc, przyświecając sobie latarką, chociaż wszystko w niej chciało puścić się biegiem, pędem, byle jak najdalej od cmentarza, byle jak najszybciej znaleźć się na powrót w ciepłym, bezpiecznym domu, z porządnymi drzwiami na dwa zamki i solidną zasuwę.

Zanim wyszła z powrotem na polanę, zimny pot rosił jej czoło, płuca pracowały ciężko. Zbyt ciężko. Klnąc w głębi duszy, po cichu, żeby nie obudzić czorta, Oda wślizgnęła się do środka. Myśli zdążyła zebrać po drodze, dlatego teraz działała szybko i sprawnie, w pełnym skupieniu.

Oczyścić. Odkazić. Opatrzyć.

W plecaku, który wyciągnęła z szafy, lądowały kolejne niezbędne przedmioty – dwie duże butelki z wodą, czysty ręcznik zamiast podkładu chirurgicznego, duża paczka jałowych opatrunków, bandaże, sterylne rękawiczki. Po krótkim wahaniu zamiast zestawu do szycia wybrała paski do zamykania ran. Nie miała nic do znieczulenia miejscowego, a mimo wszystko wolała nie sprawdzać, jak bardzo wytrzymałe na ból było stworzenie z krypty. Nie mówiąc już o kiepskim oświetleniu i mrozie, od którego jak nic zgrabieją jej palce. Tak, paski, zdecydowanie. Jeszcze sól fizjologiczna w ampułkach, borasol...? Nie, przy tak rozległych ranach był wykluczony, lepiej kilka saszetek nadmanganianu potasu. I może jeszcze aerozol z poliheksanidyną, tak na wszelki wypadek. Oda zmarszczyła brwi, lustrując raz jeszcze zawartość domowej apteczki.

Szlag. Za długo przebywała w cywilizacji... Żadnego antybiotyku ani surowicy przeciwtężcowej, choć z drugiej strony skuteczność ludzkiej immunoglobuliny w tym konkretnym przypadku mogłaby być bliska zera, więc... Z baterii środków przeciwbólowych też zostało niewiele, tylko zwykły ibuprofen w tabletkach. Zawsze to coś przeciwzapalnego, ale czy istoty demoniczne w ogóle reagują na ibuprofen? Czy raczej na paracetamol?

– Muszę się koniecznie zaprzyjaźnić z jakimś weterynarzem. I egzorcystą... – mruknęła.

Po lekach i środkach opatrunkowych przyszedł czas na coś bardziej przyziemnego. Sądząc po stanie rany, stworzenie z krypty miało problemy z poruszaniem się, czyli od co najmniej kilku dni raczej nie zdobywało pożywienia. Na pewno było głodne i osłabione, a to nie sprzyjało rekonwalescencji. Oda potrzebowała czegoś kalorycznego, czegoś, co dałoby się łatwo przetransportować i zjeść, a resztki przechować w krypcie.

Wtedy jej wzrok padł na wypieki pani Kusej.

Parę minut później, objuczona ciężkim plecakiem, dziarskim krokiem zmierzała na cmentarz i przez całą drogę zastanawiała się, czy to już to. Oszalała, prawda? Musiała oszaleć, no bo czy ktoś zdrowy na umyśle pędziłby nocą przez las, żeby nakarmić to... to coś świątecznym piernikiem...?

– Hej! To ja! – zawołała, zanim weszła do krypty. Lampa stała tam, gdzie przedtem, czyli obeszło się bez pożaru. Zawsze to jakiś sukces.

Stworzenie podniosło głowę i przyglądało się wile, podczas gdy ta, przysiadłszy na cokole sarkofagu, zaczęła grzebać w plecaku.

– Okej. Zaczynaj od tego – wyciągnęła w kierunku stworzenia piernik zawinięty w kraciastą ściereczkę – a ja w tym czasie spróbuję zrobić porządek z twoją nogą.

Spomiędzy całunowych fałd wysunęła się ręka czy też łapa i Oda poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Długie, krogulcze palce o czarnych pazurach drapieżnika swobodnie ujęły sporych rozmiarów zawiniątko. Bez większego trudu mogłyby się zacisnąć na czaszce wiły. I zapewne ją zmiażdżyć.

A ona przyniosła temu czemuś piernik i herbatę w termosie...

– Spróbuj nie urwać mi głowy, kiedy zaboli, dobrze? – poprosiła, zanim jej zaświtało, że podsuwanie temu stworzeniu durnych pomysłów było, no cóż, durnym pomysłem samym w sobie. – Bo zaboli.

– Spróbuję – odparło. Było nieludzko spokojne.

Czując na sobie spojrzenie opalizujących oczu, Oda założyła rękawiczki i zabrała się do dzieła.

Półtorej butelki wody później, po oczyszczeniu i zdezynfekowaniu ran, coś sobie uświadomiła.

– To ciebie widziałam wtedy, w lesie, prawda? – zapytała, delikatnie obmacując zgrabiętymi palcami opuchnięte, czarne udo. Jego rozmiary, tak jak rozmiary dłoni trzymającej piernik, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Stworzenie, kiedy akurat nie kuliło się na ziemi, musiało być naprawdę wysokie. I muskularne, tak jak zapamiętała. Grube pazury, którymi metodycznie odrywało sobie kolejne kawałki ciasta i wsuwało je do bezwargich ust, również nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Gdyby rzuciło się na Odę, nie byłoby czego zbierać. Wystarczyłby impet samego ciała, żeby przy upadku na ziemię doznała poważnych obrażeń. Nie. To raczej nie było ono. Nie mówiąc już o tym, że ran na udzie z pewnością nie zadano szuflą.

Stworzenie nie spieszyło się z odpowiedzią. Ujęło termos w dwa palce, powąchało jego zawartość i upiło spory łyk. Strużka herbaty spłynęła mu po brodzie i wsiąkła w całun.

– Tak.

– Ale to nie ty mnie... – Urwała, nie wiedząc, jakiej formy powinna użyć. Zaatakowałeś? Łoś? Łaś? Czy dopiero co poznanego w krypcie stwora wypada zapytać o płeć, przynajmniej tę gramatyczną?

– Nie. Nie ja.

– Więc co?

Bez pośpiechu przeżuło kęs.

– Homen – odparło wreszcie.

– Homen? – powtórzyła Oda, niepewna, czy dobrze usłyszała. Stworzenie nieznacznie kiwnęło głową. – Co to takiego?

– Nie wiesz, wiło?

– Nie.

– Zatem nie wróżę ci długiej przyszłości.

– Cóż, chyba znam gościa, który całkowicie by się z tobą zgodził. A nawet dwóch... – wymamrotała Oda i wzięła się za sklejanie ran paskami. Już przy pierwszym pogratulowała sobie pomysłu. Dłonie w nitrylowych rękawiczkach miała teraz tak zgrabiące od mrozu, że nawet nie utrzymałyby igły, a co dopiero mówić o manewrowaniu nią. Czuła, że cała przemarzła mimo ciepłej odzieży i śniegowców. I chyba minęła godzina, kiedy powinna była wziąć dawkę antybiotyku. No pięknie. Jeszcze tego jej brakowało, żeby odnowiło się zapalenie płuc. „Wy tłumacz się”, jak nic powiedzą Roch z Krzysiem, wisząc niczym wyrzut sumienia nad jej łóżem bóleści. „No cóż, chłopaki, ZNOWU olałam wasze ostrzeżenia, ZNOWU poszłam sama do lasu, ZNOWU się wyziębiłam, lecz hej! Tym razem nic mnie nie zaatakowało, za to zacerowałam jakiegoś stwora w krypcie na starym cmentarzu. Fakt, mógł jednym ruchem wyrwać mi tchawicę razem z płucami i nawet by się nie spocił, ale NIE wyrwał, tylko pożarł cały piernik, więc to się nie liczy, więc może się łaskawie odstosunkujcie!”.

I właśnie wtedy by ją zadusili, gołymi rękami. A ona chyba nawet nie próbowała się bronić. Sama nie do końca rozumiała, skąd brały się te impulsy, które kierowały jej poczynaniami, sprawiały, że stała się tak porywcza. Ostatnio coraz częściej nie poznawała samej siebie. Owszem, przekora zawsze leżała głęboko w jej naturze, podobnie jak imperatyw niesienia pomocy, ale konsekwentne proszenie się o śmierć to była już zupełnie inna bajka. Co w nią wstąpiło?

„Chyba muszę sobie przebadać tarczycę”, pomyślała i wypuściła głośno powietrze.

– Okej. Nie wiem, jak w razie czego twój organizm zareaguje na antybiotyk... czy w ogóle zareaguje, biochemia istot nadprzyrodzonych jest dla mnie jedną wielką zagadką... Chociaż mój reagował. Tak sądzę. – No właśnie, przecież sama też nie była człowiekiem, więc musiała choć raz w życiu brać jakieś lekarstwa, prawda? Zmarszczyła czoło, próbując przypomnieć sobie, ile razy jej

coś dolegało, ale tak naprawdę, oprócz tego zapalenia płuc. Chyba raz miała anginę, nie była jednak pewna. Poza tym nic, nawet lekkiego kaca. – Cóż, tym będziemy się martwić, jeżeli coś pójdzie nie po naszej myśli. Chwilowo to musi wystarczyć. Wrócę rano, żeby zmienić opatrunek.

– Nigdzie się stąd nie ruszam.

Oda zebrała zużyte gaziki, puste opakowania i butelki, a na koniec brudnym ręcznikiem przetarła choć trochę podłogę, żeby czarowne wonie krwi, ropy i środków dezynfekujących nie przyciągnęły do krypty czegoś znacznie gorszego niż internista bez instynktu samozachowawczego.

– Zabierz światło. – Z kąta za sarkofagiem dobiegł ją cichy pomruk.  
– Stąd zmarli już nie odchodzą.

Skinęła głową, zarzuciła plecak i z lampą w ręce opuściła kryptę. Była zmarznięta, zmęczona i głodna jak wilk.

Mimo to po kilku krokach przystanąła i obejrzała się przez ramię.

– Mam na imię Oda – zawołała w mrok. – Oda Kręciszewska. I jak już wiesz, jestem wiłą.

– Mam na imię Ossa – odparł mrok. – I jestem demonem.

\*\*\*

Homen.

Obce słowo wciąż brzęczało jej w uszach niczym natrętny owad, nie dając Odzie zasnąć. Był środek nocy, a ona leżała na plecach, rozgrzana kąpielą i ciężarem puchowej kołdry, ze wzrokiem wbitym w sufit. Przez uchylone drzwi z kuchni dobiegało zgodne chrapanie Bazyla i Kuleczki.

Homen.

Czym, do cholery, był ten homen?... I kim była Ossa? Że demonem, to już wiedziała, ale czy jakimś konkretnym? Ze specjalizacją czy jak to się tam zwało? Oda westchnęła. Miała straszliwe braki w wiedzy na temat istot nadprzyrodzonych. W innych okolicznościach zapytałaby o to Bazyla albo Rocha, coś jej jednak mówiło, że tym razem naprawdę lepiej będzie, jeśli tę świeżo zawartą znajomość

z demonem zachowa dla siebie.

Aż usiadła, tknięta nagłym olśnieniem. Książka Bazyla!

Na jej szczęście *Wielka księga demonów i poczwara* spoczywała obok wiklinowego kosza, w którym kłębił się czort wespół z psem i kocykami. Oda zgarnęła ciężkie tomiszcze i na palcach wróciła do łóżka. Od kurzu, którym przesiąknięte były stare, kruche kartki, aż zakreśliło ją w nosie. Kichając niepoohamowanymi seriami, dotarła do litery H i zaczęła szukać interesującego ją hasła. Znajdowało się na samym dole stronicy.

– „Homen” – przeczytała na głos. – „Pochód mar straszliwych, które nadciągający mór zwiastują”. – Przewróciła kartkę, złakniona czegoś więcej niż definicji na zaledwie pięć słów, i aż się rozpromieniła na widok obszerniejszego ustępu. Było to podanie, zacytowane ze zbioru autora, którego nazwisko nic jej nie mówiło.

*Rusin jeden, straciwszy żonę i dzieci przez dżumę, uciekł w lasy z opustoszałej chaty i tam szukał ocalenia. Błądził dzień cały; nad wieczorem zrobił z gałęzi budę, rozpałił ognisko i strudzony usnął. Już było po północy, gdy go mocny odgłos zbudza. Staje na nogi, słucha: jakieś go śpiewy dochodzą z dala, a przy śpiewie głos bębenków i piszczałek. Słucha, dziwiąc się, że gdy w koło śmierć gracuje, tam się cieszą tak radośnie.*

*Odgłos słyszany zbliżał się coraz i wystraszony wieśniak ujrzał szeroką drogą ciągnący się homen. Był to orszak mar dziwacznych, co staczał wóz wokół, wóz był czarny i wyniosły, a na nim siedziała dżuma. Za każdym krokiem coraz zwiększała się straszliwa drużyna: bo po drodze wszystko niemal przerzucało się w widmo.*

*Słabo tłało jego ognisko; głównia spora dymiła jeszcze nieco: zaledwo zbliżył się homen, głównia stanęła na nogach, wyciągnęła dwa ramiona, a zarzewie zajaśniało dwoma błyszczącymi oczyma i razem z innymi śpiewać zaczęło.*

*Ostupiał wieśniak, w niemym przestachu porywa siekierę i najbliższą chce uderzyć marę; ale siekiera z rąk mu ulata, przerzuca się w wyniosłą niewiastę z kruczym warkoczem i śpiewając, powiała mu przed oczyma. Homen szedł dalej, a Rusin widział, jak drzewa, krzaki i sowy, i puchacze,*

wysokie przybierając postacie, zwiększały ten orszak, straszny zwiastun okropnej śmierci. Upadł bez siły; a gdy rano ciepło słońca go zbudziło, sprzęty, jakie uniósł, były połamane i potłuczone, odzienie podarte, jadło zepsute. Poznał, że nie kto inny, jak homen tyle mu psot wyrządził i dziękując Bogu, że choć z życiem ocalał, poszedł dalej szukać przytułku i jada<sup>1</sup>.

– Że co?...

Śpiewy? Bębny, piszczałki? Orszak mar dziwacznych? Oda nie przypominała sobie niczego podobnego, a raczej zwróciłyby uwagę na rozśpiewany orszak nadprzyrodzonych straszydeł, paradujący ciemnym lasem tuż obok niej. Przeczytała cytowane podanie raz jeszcze, uważniej, i wyłowila kilka szczegółów, które by się zgadzały. Ona też zamachnęła się na poczwagę, aczkolwiek nie siekierą, lecz szuflą, i też upadła bez sił. I, co najważniejsze, również uszła z życiem z tego nieplanowanego spotkania. Zerknęła na autora. L. Siemieński, jakiegokolwiek imię ukrywało się pod owym L przed jego nazwiskiem.

Odłożyła *Wielką księgę* tam, skąd ją wzięła, i poszła do łazienki, żeby zmyć z dłoni kurz, od którego delikatna skóra między palcami aż zaczęła ją swędzieć. Coraz bardziej żałowała, że nie mogła pogadać z czortem i planetnikiem, wypytać ich o homen. Ze źródeł osobowych została jej tylko... cóż, Ossa. Ona nie miała żadnych wątpliwości, na co się wtedy natknęły. Ciekawe, czy...

Oda zakręciła wodę i pospiesznie wróciła po książkę. Skrzywiła się i zamarła na moment, gdy jedna z podłogowych desek jęknęła pod jej stopą. Ale nie, czort i pies spali dalej w najlepsze. Nic dziwnego, w końcu minęła już północ. Co innego można robić o tej porze?

„Na przykład tropić demony w encyklopediach”, odparła w myślach Oda. Przycupnąwszy na zamkniętym sedesie, tym razem zaczęła przeglądać hasła na literę O.

– No proszę. Ty też tutaj jesteś – szepnęła, gdy natknęła się na to, czego szukała. – Ossoria... tak, to chyba ty. „Od łacińskiego *oss*, to jest kość, wzięwszy swe miano, jest *ossoria* istotą demoniczną lubo też dyabelską... która spokoju cmentarzysk ode złego strzeże” – dokończyła po małym zawahaniu. Och. Dlaczego wcześniej nie

zwróciła na to uwagi? O ile pamięć jej nie myliła, a myliła rzadko, to feralnego niedzielnego popołudnia dostrzegła Ossę w lesie właśnie od tamtej strony – od strony starego cmentarza. Czyżby demon, wyczuwszy zbliżający się homen, postanowił wyjść mu na spotkanie, a wiła jedynie czystym zrządzeniem losu znalazła się między młotem a kowadłem?

Zastygła z księgą na kolanach. Czy to właśnie homen grasował ostatnio w okolicy? To on poturbował tamtych wszystkich ludzi, z których w pocie czoła wydłubywała później szwy?

Wtem przed oczami stanęły jej słowa z przeczytanego niedawno podania – cztery słowa najtrafniej ujmujące, czym był homen, od których mimowolnie przeszył ją lodowaty dreszcz. Prostując się na sedesie, Oda zamknęła oczy. Wysunęła stopy z kapci i mocno przycisnęła do podłogi.

*To twoja sprawka, rogaczu? Korzystasz z przesilenia i znów próbujesz tych swoich sztuczek?*

Nie minęła sekunda, gdy wyczuła znajome drżenie – początkowo jedynie w palcach, ale szybko zaczęło pięć się w górę, aż ogarnęło całe jej ciało, od stóp po czubek głowy.

*Och, nie, moja mała wiło, odpowiedział głos z odległych otchłani, jakże obmierzły, jakże rozbawiony. Masz teraz o wiele większy problem niż ja.*

*Homen.*

*Tak. Homen. Zwiastun losu najstraszliwszego. Nieuchronnego. Na nic zdadzą się twój wiatr i chmury twego planetnika, na nic twe oczy uroczone. Nim skończy się czas przesilenia, weźmiesz w objęcia śmierć.*

Oda aż syknęła, gdy wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, i otworzyła oczy. Głos piekielnego stwora wciąż odbijał się echem w jej głowie. I choć wyraźnie cieszył go los czekający wiłę, nie miała żadnego powodu, by nie wierzyć w to, co powiedział.

A zatem – śmierć.

Tylko czyja?



## Rozdział 8

Znowu miała sen.

W tym śnie na kikucie spalonego drzewa siedział sobie Bazyl i smażył na złoto gwiazdy z nieba. Jedna po drugiej trafiały na patelnię, by po ledwie paru chwilach zniknąć w paszczy jego tatusia – ogromnej, bezdennej, nienasyconej. Tatuś przęłykał, z lubością oblizując kosmate palce, niebo stawało się coraz ciemniejsze i coraz ciemniejsza stawała się tafla stawu, w której się odbijało.

Wreszcie zgasła.

Czerń rozlała się od brzegu do brzegu.

Oda szła boso po śniegu, zapatrzona w tę otchłań, niezdolna ni mrugnąć, ni oderwać wzroku. Szyderczy śmiech tatusia, istoty z piekła rodem, rezonował w każdej komórce jej ciała.

Aż nagle umilkł.

Nie było już nieba, nie było gwiazd, nie było Bazyla i jego tatusia. Jedynie Oda na śniegu i czarny, czarny staw.

Stanąła na samym brzegu. Kucnęła i wyciągnawszy pomału rękę, musnęła powierzchnię wody opuszką wskazującego palca. Strzeliły rysy, strzeliły kreski i nim się spostrzegła, siarczysty mróz ściał tę matową, zastygłą czerń. Oda zadrżała z zimna i próbowała cofnąć rękę, zanim i ona przymarznie.

I wtedy coś zobaczyła. Tam, z drugiej strony.

Białą, szczupłą dłoń, wyłaniającą się z głębiny.

Była coraz bliżej – tak blada, że nieomal sina.

I bardzo, bardzo zachłanna.

Mamo.

Ratuj.

\*\*\*

Ratuj.

Roch zacisnął zęby. Powieki. Pięści. Za wszelką cenę musiał zachować spokój, żeby się nie zdradzić.

W miarę jak się zbliżały, coraz wyraźniej czuł ich woń. Słyszał, jak przemierzały noc i las. Słyszał szelest i szcęk, warkot i wołanie – nade wszystko wołanie, tęskne i straszne, budzące grozę i zniewalające, mącące każdą trzeźwą myśl trwogą i upojeniem... Nie wolno mu było ulec. Nie wolno. Nie. Bo jeśli ulegnie, stanie się jednym z nich, na zawsze. Albo...

Plecami zaparty o szorstki pień drzewa, Roch przesunął gołą dłoń na stylisku odrobinę w prawo. Jeszcze trochę. I jeszcze. No, dalej. Jeszcze.

Aż dotknął.

Niewyobrażalny ból wycisnął łzy z zamkniętych oczu płanetnika, przyniósł jednak upragnione otrzeźwienie. Zagłuszył upiorny zew. Roch wciągnął głęboko przez nos mroźne, nocne powietrze, a wraz z nim zapach nie ludzkiej posoki. Świeże smugi znaczyły stare żelazo w jego rękach, syciły je. Tak. W końcu znalazł tamtego stwora, którego Oda wypatrzyła w śnieżycy – znalazł go i zabił.

A teraz znalazł homen.

\*\*\*

Nie zauważyła nawet, kiedy zasnęła, fizycznie i psychicznie wykończona zesłonością pomocą wyjazdową. Przebudzenie też przyszło z zaskoczenia. I przyprowadziło kolegów.

– Za dużo tego wszystkiego... za dużo... – powtarzała Oda, trzęsąc się, dysząc i przyciskając z całych sił prawą dłoń do piersi. Nie czuła palca – tego samego palca, którym we śnie dotknęła wody w stawie. Rozcierała go, prostowała i zginała raz za razem, bez ustanku, tak długo, dopóki martwota nie ustąpiła wyraźnemu mrowieniu. Krążenie wróciło.

Echo śmiechu, którym pożegnał się tatuś, zanim umilkł na dobre, wciąż wprowadzało ją w drzenie, kiedy nastawiała wodę na herbatę. Wyrzała przez okno. Na zewnątrz było już jasno, niebo zachwycało błękitem. Zanosilo się na pogodny dzień.

Ogarnawszy się w kwestiach higieniczno-estetycznych, Oda połknęła antybiotyk i wlała w siebie kubek herbaty dla rozgrzania, po czym delikatnie obudziła Kuleczkę i wzięła ją na długi poranny spacer. Homen homenem, ale musiała złapać zasięg.

Już prawie wybiła ósma, zanim dotarły do miejsca, w którym komórka raczyła pokazać dwie upragnione kreski. Oglądając się co chwilę za Kuleczką, która spokojnie węszyła wśród zasp, Oda wyszukała w rejestrze połączeń numer sprzed ponad tygodnia.

– Eee...? – usłyszała po kilkunastu sekundach czekania na połączenie. – Pani... pani od...?

– Tak, to ja. Pani od kozy. Cześć.

– Eee... a, no. Cześć.

– Dzwonię do ciebie z propozycją handlową. Nie chciałbyś zarobić?

W słuchawce rozległo się zaskoczone sapnięcie, a dopiero potem wyraźnie zduszone wzruszeniem:

– Zawsze...!

– Fantastycznie. Potrzebuję pilnej podwózki.

Pół godziny później, kiedy Michałko Rudnicki zajechał golfem na leśną polanę, Oda czekała na niego na werandzie, zwarta i gotowa. Mały czort pomachał im radośnie przez okno.

Michałko zawrócił i ruszył w stronę szosy. W ostatniej chwili, zanim zniknęli w lesie, obejrzał się jeszcze za siebie.

– Nie... – odchrząknął – nie boi się zostawać tak sama? Ta... ta...

– Koza.

– A tak, tak. Jasne. Koza.

– Nie, czemu? Dla towarzystwa ma psa, a na poprawę humoru kubek kakao i tosty z miodem. Wytrzyma tę godzinę beze mnie.

– Kakao i tosty? A... aha. Okej. Bo ją chyba znowu widziałem – wypalił po kilkudziesięciu metrach. – Już po tamtym. Tę pani...

– Kozę.

– No. Kozę. Wieczorem, pod lasem, tak z tydzień temu czy jakoś tak. Przy tej drodze, nie? Gadała przez komórkę.

– Na polanie nie ma zasięgu, a musiała wezwać pomoc – wyjaśniła krótko Oda, nie przestając wypatrywać prześwitu i szosy.

Michałko pokiwał głową, jak gdyby mu tkwiła nie na szyi, lecz na

sprężynie, szczerze naoliwionej.

– Aha. Okej. Spoko. A... a do kogo?

– Do mnie. Próbowałam się przekręcić.

– Chyba nie wyszło, co?

– Chyba nie. – Uśmiechnęła się przekornie, jak dziecko, które dobrze wie, że narozrabiało, ale i tak nikt nie potrafi się na nie długo gniewać. – Może następnym razem.

Gdy dotarli do miasteczka, Michałko zaparkował pod samą apteką i zaczekał w samochodzie, ogłuszając się aktualnymi radiowymi hitami, Oda zaś weszła do środka. Przez witrynę obserwował, jak najpierw stała cierpliwie w kolejce, z receptą w dłoni, a potem wdała się w długą dysputę z farmaceutką. Roztrząsały coś i roztrząsały, a na blacie przy okienku rosła sterta pudełek.

Po dwudziestu minutach wróciła do samochodu z cienką foliówką, całą aż najeżoną kantami opakowań. Michałce zdawało się nawet, że dostrzegł tam jakieś strzykawki.

– Zdrówko nawala, co?

– Życie.

Taka odpowiedź nie dawała zbyt szerokiego pola manewru. Michałko zrozumiał aluzję i skupił się na prowadzeniu.

Tymczasem Oda w zamyśleniu patrzyła przez szybę. Z mijanych witryn, okien i balkonów aż wylewały się świąteczne ozdoby. Wszędzie dyndały prądożerne światełka, sztuczne śnieżynki, łańcuchy i girlandy z tworzywa sztucznego oraz plastikowe, nietłukące bombki we wszelkich kształtach, na jakie zdołała wpaść ludzkość. Na kominkach z malowanego kartonu wisały jutowe skarpety, sztuczne choinki dumnie preżyły plastikowe igły, tu i tam po drabince wspinał się miniaturowy Mikołaj z miniaturową nadwagą. Radość i szczęście na każdym kroku czały się na niewinnych przechodniów, doprowadzając ich do przedświątecznej wersji *reisefieber*. I nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, co czyha tuż-tuż, w pobliskim lesie. Nikt nie uwierzyłby ani w homen, ani w cmentarnego demona, choć jednocześnie wszyscy bez namysłu oddawali cześć skomercjalizowanej wariacji na temat biskupa z czwartego wieku. Bo przecież miły starszy pan, który pod osłoną nocy zakrada się przez

okno lub komin do śpiących dzieci – o ile wprawdzie zasłużyły sobie na to najście – w ich oczach miał więcej sensu niż wieszczący paskudną śmierć pochod nadprzyrodzonych istot.

W sumie Oda wcale im się nie dziwiła.

Zatrzymali się przed pasami, żeby przepuścić pieszych, i wtedy coś przyciągnęło uwagę wiły na tyle, by oderwać ją od ponurych myśli. Niewielki pawilon handlowy, który stał w głębi bocznej uliczki, opuszczony i zapuszczony, odkąd Oda widziała go po raz pierwszy, teraz dorobił się szyldu. Na intensywnie czerwonym tle wiły się i pyszniły orientalne esy-floresy, układając się w trzy słowa, których nigdy by się tu nie spodziewała: SZKOŁA TAŃCA BRZUCHA. W środku panował półmrok, ale na drzwiach wisiała kartka.

I może to przez te wszędobyłskie światełka i barwy, przez tę atmosferę radości na granicy zdrowia psychicznego, Oda nagle zapragnęła w swoim życiu odrobiny pozytywnego, wyzwającego szaleństwa.

– Zaparkuj tu gdzieś na chwilę – poleciła Michałce, zanim zdążyła zmienić zdanie, a ostatni pieszy opuścić pasy. W sumie, gdyby się zastanowić, to nawet dostała takie zalecenie. Od lekarza! Wszak Krzyś kazał jej rozluźnić gorset...

Zmierzając energicznym krokiem do pawilonu, kilka razy poślizgnęła się na burej brei, w jaką przeistoczył się hojnie podsypyany solą i zdeptany śnieg na chodniku. Nie od dziś była zdania, że w mieście zima ukazuje swe najpaskudniejsze oblicze.

Kartka na drzwiach, żółta jak kaczeniec, zachęcała dużymi, czarnymi literami: „Wzmocnij kręgosłup, wzmocnij ducha!”, poniżej zaś widniały godziny otwarcia szkoły tańca. Oda zrobiła telefonem zdjęcie kartki i skierowała się z powrotem do samochodu, a w jej głowie krystalizował się pewien plan.

– Interesuje cię coś więcej niż jednorazowy numer? – zwróciła się do Michałki, gdy już zasiadła na miejscu pasażera. Widząc całkowite osłupienie chłopaka, od razu przeszła do konkretów: – Po świętach wracam już do pracy, ale przez ten cały przekręt ze zdrowiem, śnieżyce i tak dalej będę potrzebowała regularnych podwózek do miasteczka i z powrotem. Na rowerze nie dam rady. Tylko przez jakiś

czas, powiedzmy... – Zawiesiła głos, licząc w myślach. Przesilenie wypadło w tym roku dwudziestego drugiego grudnia, do tego dwanaście dni na wróżby, o których mówił Roch... – Powiedzmy, tak do trzeciego stycznia włącznie. Dwa kursy dziennie, czasem może trzy, gdyby coś, wiadomo, ale to już wyjątkowo. Płacę, ma się rozumieć. Piszesz się na to?

Michałko cały aż się rozpromienił.

– No jasne!

– Świetnie. Czyli jedna sprawa z głowy.

– Eee... To jest jeszcze druga?

– Owszem. Wspominałeś, że czasem zajmujesz się siostrzeńcem, prawda?

– No. Odbieram Franka z przedszkola, robię mu jakieś kanapki, herbatę, no i coś tam razem robimy, nie? Dzieciak nie narzeka. Siostra... no, siostra w sumie też nie.

– Doskonale. – Przechyliła głowę, aż ciemne loki opadły jej na ramię, i uśmiechnęła się, mrużąc przy tym zielone, roziskrzone oczy.

– A jak sobie radzisz z kozami?

\*\*\*

Krypta była pusta.

– Jasne. Jasne. W zasadzie czemu nie, prawda? – sarknęła Oda, marszcząc zakryte czapką brwi i rozglądając się po cmentarzu. – W końcu nic tak nie pomaga na zainfekowane rany szarpane jak przebieżka ze świeżym opatrunkiem przy minus ośmiu stopniach!

– Co tam znowu szemrzesz, wiło? – rozległo się tuż za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie, a potem kolejny odruch uprzedził wszelki przebłysk woli i już bez jej udziału Oda cofnęła się – nieznacznie, nawet nie o krok, ledwie pół kroku. Lecz i to nie umknęło uwadze demona.

Wyprostowana, bez całunu spowijającego jej ciało, Ossa była potężna. Wysoką i krzepką wszak wiłę przewyższała o dobre dwie głowy. Patrzyła na nią z góry swoimi niewzruszonymi, bezdennymi oczami, a gdy przechyliła głowę, ich matowa powierzchnia na

moment ożyła barwami tęczy. Nienaturalnie wysokie kości policzkowe i ostry podbródek nadawały twarzy wyraźnie trójkątny kształt, przywodzący na myśl modliszkę, przecięty szerokim, płaskim nosem o miękkich chrapach, jak u drapieżnego kota. Czarna, niby węzowa skóra pokrywała całe ciało demona, podobne do ludzkiego jedynie w ogólnym zarysie – ot, wyprostowana sylwetka, po dwie ręce i dwie nogi. Tyle że nogi te były wyposażone w rozdwojone kozie kopyta zamiast stóp i zbyt mocarne, a palce dłoni zbyt długie i zbyt, cóż, szponiaste, by mogły należeć do jakiegokolwiek człowieka. Podobnie jak muskularny zad oraz rogi, których pierwsza para, skrzycona niemal w spiralę o prążkowanej fakturze, zataczała łuk ponad głową, kończąc się mniej więcej na wysokości łopatek, podczas gdy druga sterczała nad czołem i ewidentnie służyła nie tylko do wywierania odpowiedniego wrażenia. Gęsta, czarna grzywa, która opadała przez szyję i kark stworzenia aż na szeroką pierś i plecy, również opalizowała w słońcu. Lecz gdy Oda przyjrzała jej się bliżej, ze zdumieniem stwierdziła, że to nie włosie ani sierść, lecz pióra.

Przełknęła ślinę. Cóż, jednego była pewna. Nie chciałyby się znaleźć w skórze hieny cmentarnej, która postanowiłaby zapuścić się na teren strzeżony przez Osę.

– Kawał demona z ciebie.

– Owszem. Nielichy.

– A jak noga? – zapytała Oda. Na pierwszy rzut oka jej to umknęło, lecz gdy przyjrzała się baczniej postawie demona, zauważyła, że Ossa nie stała do końca prosto, tylko tak, by odciążyć obandażowaną kończynę.

Kopyto tupnęło trzykrotnie o zmrożony śnieg.

– Lepiej.

– Uhm, jasne. Pozwolisz jednak, że przyjrę się z bliska? – Wskazała głową najpierw na opatrunek, a potem na plecak, który miała przewieszony przez ramię.

Ossa wzruszyła ramionami, po czym usiadła na popękany schodku do krypty.

– Strzeżesz tego cmentarza chyba od niedawna, prawda? – zapytała Oda. Kucnąwszy obok, ściągnęła zapinkę i zaczęła pomалу odwijać

pierwsze warstwy bandaża.

– Ktoś tu w nocy nie spał i nadrabiał braki.

– Lubię wiedzieć. Wiedza ratuje życie – odparła, nie przerywając. Zwój za zwojem bandaż opadał na ziemię. Zanim demon odezwał się ponownie, dotarła do gazy. Mnóstwa gazy. Wyciągnęła z plecaka aerozol i szczerze spryskała nim opatrunek, żeby w miarę bezboleśnie odszedł od rany.

– Tak – przyznała wreszcie Ossa. – Jestem tu od niedawna. Poprzedni strażnik tego cmentarza nagle gdzieś przepadł.

– Uhm. Żeby on jeden... – mruknęła wiła i nachyliwszy się nad odstoniętymi ranami, kilkakrotnie pociągnęła nosem. Nic, żadnego smrodu. Dobrze. – Widzisz, to było tak, że jeszcze jakiś czas temu tu, niedaleko, stał inny dom niż teraz. Z wieżyczką – dodała – co chyba jest informacją istotną, jeśli wziąć pod uwagę, ile razy o tej wieżyczce słyszałam. Mieszkali w nim ludzie i nieludzie, w tym widmo związane właśnie z tym cmentarzem. I anioł. I chyba... chyba coś z mackami...? W każdym razie byli tu przez dziesięciolecia albo nawet dłużej. Aż pewnej nocy ktoś ten dom podpalił.

Oda umilkła na chwilę, skoncentrowana na sprawdzaniu, czy żaden pasek przypadkiem nie puścił i rany nie rozłają się na nowo.

– Dom spłonął doszczętnie, razem z wieżyczką – podjęła wreszcie – no i mieszkańcy siłą rzeczy musieli się wyprowadzić, i ci ludzie, i ci nie do końca. Aż przez przypadek zjawiłam się ja i postawiłam nowy dom na fundamentach starego. A potem... potem wydarzyły się tu rzeczy, w które nikt normalny by nie uwierzył. W telegraficznym skrócie z piwnicy zaczęły mi wyłazić diabły. Pierwszy co prawda ma straszliwą wadę zgryzu i zagnieżdził mi się w koszu z praniem, za to bardzo lubi placki ziemniaczane i grę na cymbałkach, więc został. A drugi... Ależ to był kawał skurczybyka... I zdecydowanie nie zadowoliliby się samym koszem. Wiesz, nie jestem szczególnie terytorialna, ale nawet ja nie lubię, kiedy ktoś mi się ładuje w życie z kopytami... Bez obrazy – dodała. – Skurczybyk solidnie oberwał po rogach i wrócił do piekła z podkulonym ogonem, a ja odkryłam, kim naprawdę jestem.

Ossa przysłuchiwała się z leniwym zainteresowaniem, jak ktoś, kto



jest gotów wysłuchać największych nawet dyrdymałów, byle jakoś zabić pełznący czas.

– Przez przypadek, powiadasz – mruknęła. – Może tak. A może nie...

– Co proszę? – Oda nie dosłyszała, pochłonięta dokładnym omacywaniem uda w poszukiwaniu obrzęku i świeżych wysięków. – Okej. Szczerze mówiąc, zakładałam, że będzie gorzej. Zdobyłam nawet antybiotyk o szerokim spektrum, a tu proszę. Goisz się szybciej, niż przypuszczałam. A teraz postarajmy się, żeby było jeszcze lepiej – dodała i zabrała się do ponownego czyszczenia ran. Przez następny kwadrans uwijała się w ciszy i skupieniu tak wielkim, że prawie zapomniała, kto był jej pacjentem.

Ach, no tak. Demon.

– A wracając do tematu, to owszem, znalazłam literaturę fachową i nadrobiłam braki w temacie. Przynajmniej częściowo, bo usnęłam, zanim wyszłam poza hasło „homen” i „ossoria”. To chyba o tobie.

– Wystarczy krótko, Ossa. – Zastrzygła uszami, bacznie nasłuchując, czy wśród odgłosów zimowego lasu nie rozlega się coś, co rozlegać się nie powinno. – Zatem już wiesz, czym jest homen.

– Strasznym zwiastunem okropnej śmierci – wyrecytowała Oda. – Zgadza się?

– Ach, Siemieński. Tak... pamiętam... I cóż cię tak dziwi, wiło? – Zaśmiała się gardłowym trelem na widok zaskoczenia, które razem z rumieńcami od mrozu odmalowało się na twarzy Ody.

– Nie podejrzewałam cię o czytanie. A już zwłaszcza tego tam... Siemieńskiego.

– A któż tu mówi o czytaniu... – zamruczała Ossa. Potrząsnęła pierzastą grzywą, napawając się wyraźnie jej szelestem... albo wspomnieniami. – Poeci, badacze i inni szaleńcy od zarania dziejów włóczą się po cmentarzach. Jednych się straszyciło, innych patroszyło... Paru pokazałam to i owo. Ten sporo notował... gdy miał akurat wolne ręce...

Oda aż uniosła brew, widząc głębokie ukontentowanie demona. Szybko sięgnęła do plecaka, wyjęła fiolkę z antybiotykiem, strzykawkę i igłę. Tę ostatnią po namyśle jednak schowała

i wyciągnęła inną, grubszą. W dotyku skóra Ossy sprawiała wrażenie bardzo twardej.

– Wiesz co, chyba wolę nie wnikać w naturę waszej relacji. Aż tak dobrze się jeszcze nie znamy. A co się tyczy homenu... oni tak łążą i zwiastują, i... I już? To wszystko?

– Śmierć to mało?

– Zależy, jak na nią patrzeć. Spotykałam w swoim życiu ludzi, którzy wręcz nie mogli się jej doczekać. – Uniosła napełnioną strzykawkę tak, by Ossa mogła dobrze jej się przyjrzeć. – Podam ci teraz antybiotyk. W dawce... cóż, końskiej. Demonicznych medycyna nie przewidziała. Poczujesz lekki ból, a potem rozpieranie w miejscu wkłucia. Postaraj się...

– Tak, pamiętam. Nie urwać ci głowy.

Tak jak przypuszczała, skóra Ossy była twarda niczym wygarbowana. Stawiała opór. Oda musiała się nabiedzić, żeby wkłuć się prawidłowo i nie złamać przy tym igły.

– Homen to wieszczba najokrutniejsza z okrutnych – usłyszała tuż nad sobą cichy, jakby zadumany głos demona. – Zwiastun nadciągającej śmierci. Gdziekolwiek postąpi, ludzie przyplacają to gardłem.

Oda podniosła głowę – i jej zielone oczy spojrzały prosto w bezdenne oczy demona. Na mgnienie powieki, na pół oddechu Ossa i wiła zastygły na śniegu, pośród spowitych bielą grobów i drzew, zapatrzone w siebie. Zauroczone.

– A... nieludzie?... – zapytała szeptem Oda. – Co z nimi?

Czar prysł. Ossa wyprostowała się i skrzywiła.

– A nieludzie... Ach. Chyba muszę ci przyznać rację, wiło – przyznała z niechęcią. – Dla naszego rodzaju homen szykuje los o wiele okrutniejszy niż śmierć. Łamie naszą wolę, niszczy to, czym jesteśmy. A potem nas wchłania. Na wieki wieków dołączamy do orszaku.

Oda poderwała się na równe nogi, kręcąc głową tak energicznie, że o mało nie spadła jej czapka.

– Zaraz, zaraz, coś mi się tu nie zgadza. Dlaczego w takim razie homen mnie zaatakował, zamiast wchłonać? Przecież nie jestem

człowiekiem!

Ossa prychnęła wzgardliwie.

– Wyglądasz jak człowiek. Zachowujesz się jak człowiek. I myślisz jak człowiek, wiło.

Nagły podmuch przetoczył się przez cmentarz, wzbijając w powietrze tumany zmrożonego śniegu, miliony mikroskopijnych, migoczących igiełek. Ossa roześmiała się raz jeszcze, z tą samą pogardą.

– No i czego furczysz? Myślisz, że się wystraszę wiatru?

– A skąd ty możesz wiedzieć, jak ja myślę, demonie – wycedziła Oda. – Nie znasz mnie.

– Prawdziwa wiła dobiłaby mnie bez wahania. Ty się litujesz, jak dzielna mała dziewczynka nad biednym zranionym zwierzątkiem.

– Jestem lekarzem. Wiąże mnie przysięga zawodowa i elementarna ludz...

Ugryzła się w język.

„A żeby cię szlag...”.

Demon obrzucił ją ostatnim wzgardliwym spojrzeniem i wstał. Strzykawka po antybiotyku pękła pod kopytem, gdy zstąpił ze schodka i majestatycznym krokiem oddalił się między drzewa i groby.

– Idź już, wiło. Zostaw w spokoju zmarłych i mnie.

– Nic z tego. Zostanę tu jeszcze godzinę, czy ci się to podoba, czy nie.

– Bo?

– Bo już taka ze mnie dzielna mała dziewczynka – warknęła Oda. – Nie mam bladego pojęcia, jak twój organizm zareaguje na ten antybiotyk. Muszę się upewnić, że nie dostaniesz wstrząsu anafilaktycznego. Nie po to się męczyłam, żebyś mi tu teraz padła trupem.

– A jeśli padnę?

– Cóż. Zawsze to jeden problem z głowy.

Jej uszu dobiegł znajomy śmiech demona.

– W końcu mówisz jak wiła.

Zgodnie z zapowiedzią Oda jeszcze przez godzinę pozostała na cmentarzu. Chociaż wciąż była zła na demona, starała się panować

nad emocjami, żeby oszczędzić sobie surowych pieszczot lodowatego wiatru. Najpierw sprzątnęła przed kryptą, a potem, żeby rozgrzać się trochę, wędrowała między zaśnieżonymi mogiłami, wzrokiem lub palcami próbując odczytać zatarte napisy na kamiennych nagrobkach i zastanawiając się, czy i jej przyjdzie tu kiedyś spocząć. I czy wtedy nad jej wiecznym odpoczywaniem też będzie czuwała Ossa.

– Żyjesz? – zawołała w przestrzeń, kiedy minęła godzina. Przepatrywała las, nigdzie jednak nie widziała potężnej, czarnej sylwetki demona. – Hej! Żyjesz czy padłeś tym trupem i mam lecieć po szpadel?

– Żyję – dobiegło po paru sekundach, zewsząd i znikąd.

– Dobrze. W takim razie do wieczora.

Zgarnąwszy plecak, Oda opuściła cmentarz. Miała jeszcze sporo do zrobienia przed zmierzchem. Westchnęła. Pierwszy z dwunastu wróżebnych dni zaczęła od słownych utarczek z demonem i babrania się w ranach. Jeżeli to miała być przepowiednia na cały styczeń...

Zatrzymała się.

– Szlag.

Zawróciła.

Kolejne elementy układały się pomału w zupełnie nową całość – w pytanie, tak oczywiste, tak elementarne, które jednak nie przyszło jej wcześniej do głowy.

– Hej! Heeej! – wołała, dopóki wiatr nie przyniósł jej gniewnego pomruku:

– Czego znów chcesz, wiło?

– Dlaczego uratowałaś mnie przed homenem, skoro mógł cię wchłonąć? Czemu nie pozwoliłaś, żeby mnie zabił? Ryzykowałaś, zostałam poważnie ranna, dlaczego? Po co?

– Widzę, wiło, że to hasło ciągle przed tobą.

Na kolejne nawoływania Odzie odpowiedziała już tylko cisza.

## Rozdział 9

Jakie znowu hasło? Co za hasło? O jakim hasle mówiła Ossa?

– Odżinko...

Coś jej umknęło, czuła to wyraźnie, ale za nic nie mogła uchwycić. Kolejny element, z samego środka układanki, albo kto wie, może i nawet cała układanka. Hasło. Hasło... Oda wątpiła, by cmentarny demon, mimo niegdysiejszych harców i swawoli z badaczami tematu, znał się na encyklopediach i miał na myśli hasło w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie, raczej...

– Odżinko...

Zamrugwała. Dopiero teraz zorientowała się, że zastygła w połowie drogi do zlewu, z pustym talerzem po obiedzie w ręce, i na dobre zatoneła w myślach, dopóki coś nie pociągnęło jej za skraj swetra. Spojrzała w dół. Przed nią stało półtora kosmatego nieszczęścia w osobie Bazyla. Mały czort, ściskając w łapkach swą torebalkę, w której zwykł nosić cymbałki i zapas przekąsek, dopraszał się uwagi.

– Odżinko...?

– Wybacz, Bazylku, zamyśliłam się. Już spakowany?

– Odżinko, czy ty mnie porzucasz?... – wyszeptał dramatycznie przez zduszone wzruszeniem gardło i zaawansowany tyłozgryz. – Na żafsze?...

– Och, Bazylku. – Odstawiła talerz do zlewu i odwróciwszy się z powrotem do czorta, obdarzyła go ciepłym uśmiechem. – Nie porzucam, znajduję ci zajęcie. Tylko na jakiś czas, dopóki nie skończy się ta cała heca z przesileniem. Chyba pamiętasz, co mówił Roch, prawda? – dodała chytrze. „Chciałeś, żebym cię słuchała, no to słucham, planetniku”, pomyślała. „Czort mi świadkiem”. – W lesie naprawdę jest teraz bardzo, bardzo niebezpiecznie. Wolę nie myśleć, co by się z tobą stało, gdybyś natknął się na... na coś złego – dokończyła szybko. – Nudzisz się, Bazylku, a ja nie chcę, żebyś z tych nudów wpakował się w tarapaty, z których nie zdołam cię wyciągnąć.

– Fczale sze ne nudzę! – zaprotestował Bazyl.

– W takim razie czemu łazisz po lesie i knujesz, co? No? Myślisz, że nie widzę?

– Fczale że ne! – fuknął z rozpędu, zaraz jednak spuścił pysk na kwintę i łypnął na wiłę. – No topsze, mosze troszeczkę... – wyburczał w końcu. – Tak tyczy... czut-czut.

Wiła kucnęła i przytuliła mocno małego czorta.

– To tylko na jakiś czas – powtórzyła. – Skończy się przesilenie i wszystko znów będzie po staremu, obiecuję. No, Bazylku. Rogi do góry. Potraktuj to jak... nieplanowane wakacje. Ferie świąteczne. Wyrwiesz się z domu na parę godzin dziennie, pobawisz z nowym kolegą, pograsz sobie na konsoli...

Bazyl zastrzygł kosmatym uchem.

– F fyszczyci?

– Wyścigi, strzelanki, kręgle i nawet symulację kozy, jeśli tylko zechcesz.

– Och, Odżinko, Odżinko. – Zacmokał z naganą. – No i po czo ten szarkażm? No po czo?

– Wybacz, Bazylku, czasem to silniejsze ode mnie. A teraz bądź miłym czortem i spakuj swoją torebałkę. Michałko ma tu być za piętnaście minut, a ja nie chcę się spóźnić.

Wzięła się do zmywania po obiedzie, a czort tymczasem dreptał w tę i z powrotem po domu w poszukiwaniu niezbędnych niezbędności, nie do końca pewny, jak powinien się przygotować na tę nową przygodę. Nigdy dotąd nie miał kolegi! Instykt i skromne doświadczenie podpowiadały mu zgodnym głosem, że nic tak nie buduje poczucia bliskości jak wspólne spożywanie wysoko przetworzonej żywności, zgarnął więc z szafki dwie paczki słonych precelków, resztkę makowca, zielonkawego banana oraz soczek marchwiowo-truskawkowy.

– A ne moge po prosztu pójszcz do Rocha? – marudził, próbując upchnąć to wszystko w torebałce, aż brzęczały cymbałki na dnie.

– Roch ma teraz dużo spraw na głowie.

– Eee... pszczesz jeszt grudzen. Mróż, szneg po pachy, czo on ma do roboty? Sztatuje lodowe f żaszpach rzeźbi?...

– Nie, to przez przesilenie i tę... no, jak jej tam... a, dwunastnicę.

Roch strasznie się nimi przejmuję. Aczkolwiek przyznaję – dodała Oda niechętnie – nie tylko o to chodzi. Po prostu... – Zawiesiła głos, zerkając na dyducha w kącie i szukając właściwych słów, które usatysfakcjonowałyby dociekliwego czorta, a przy tym nie byłyby tak do końca kłamstwem. Nie znosiła kłamać. Ot, kolejne komplikacje po wychowaniu – kłamią wyłącznie ludzie tchórzliwi i słabi, tak zawsze powtarzał jej ojciec. A ona zawsze była tą silną. Tą odważną. – Po prostu wolałabym w najbliższym czasie nie prosić Rocha o pomoc.

„Bo wtedy zaczęłyby dociekać, dlaczego właściwie chcę się ciebie pozbyć z domu”, dodała w głębi ducha, „i dociekałyby, i dociekał, aż w końcu trafiłby mnie ciężki szlag i wygadałabym się o homenie i Ossie. A coś mi mówi, że wtedy Roch zrobiłby coś naprawdę głupiego...”.

Bazył, owinąwszy się trzeci raz szaliczkiem, rzucił wile zmartwione spojrzenie.

– To pszesz tem faszom szpszczkiem? Jusz tak na szmercz y życze?...

– Właśnie po to daję nam obojgu czas i przestrzeń, żeby się bez tej śmierci obyło. Ach. Znowu sarkazm. Wybacz. – Pomogła czortowi zapiąć ocieplany misiową podszewką sweterek w norweskie wzory, który zdobyła dla niego w szmateksie, na łeb nasadziła mu grubą czapkę z pomponem i podciągnęła szalik tak, że spomiędzy akrylu wyzierały jedynie oczka jak dwa zatroskane paciorki. – Spróbuję z nim pogadać po świętach, dobrze? Do tego czasu oboje zdążymy ochłonąć i może coś z tego będzie. A teraz bierz torebkę i w drogę, Michałko już chyba podjechał.

Spod samych drzwi zawróciła jeszcze po zapomniany koc i wtedy zahaczyła wzrokiem o wiecheć, który wisiał pod sufitem. Jemioła, bluszcz i... i co?... Ach, tak. Ostrokrzew. W trakcie przesilenia i dwunastnicy miały sprowadzać prorocze sny...

Znieruchomiła z dłonią w połowie drogi przez rękaw kurtki.

Sny.

Nie pamiętała wszystkiego, głównie śnieg. Las. Oraz staw – tyle że nie ten, który znajdował się tuż przed jej domem. Może tylko z początku, lecz zaraz potem to się zmieniało. Nie, staw ze snu był

sporo większy, w jednym miejscu rozcięty jakby cyplem, i jednocześnie tak obcy Odzie i tak... dobrze znany. Pamiętała go skądś, nie tylko ze snów. Pamiętała, lecz nie umiała sobie przypomnieć.

Było jeszcze coś. Coś, co wsiąkło na amen w jej ciało i duszę, również po przebudzeniu. To samo, co czuła, ilekroć szła ostatnio przez las.

Podskórny, rozedrgany niepokój.

Już na zewnątrz, przekręcając klucz w zamku, Oda obejrzała się na czorta, który czekał na nią grzecznie na werandzie. Blask samochodowych reflektorów obmywał krępa postać, teraz jeszcze bardziej pękata od spowijających ją warstw.

– Bazyłku, czy ty... czy ty miewasz ostatnio takie dziwne sny?

Czort podrapał się po czapce.

– Ostatnio sziło mi sze, że latam... jak dmuchafiecz, o tak: pczum-pczum-pczum... – Zatrzepotał nieporadnie łapkami, skrępowanymi grubym swetrem. – Ale ne było f tym nicz dżifnego.

– A śni ci się czasem tatuś?

– Och, nenenenene! – zaterkotał i aż go wzdrygnęło na samą myśl.

– Tatusz jeszt zbyt sztraszny. Mjałbym potem koszmary! Koszmary po koszmarach!

Do miasteczka dotarli już po zmierzchu i popołudniowej fali korków na skalę lokalną. Michałko wysadził Odę tuż przy ryneczku, raz jeszcze wysłuchawszy litanii zakazów, nakazów i obostrzeń co do diety odpowiedniej dla małej kozy. Bazył, spętany w foteliku i dodatkowo zamaskowany kocykiem przed niepożądanymi spojrzeniami, pomachał jej na pożegnanie z tylnego siedzenia.

Oda wkroczyła w przedświąteczny zgiełk.

Na dobę przed godziną zero nikt już nie bawił się w ceregiele. Pot i łyzy rosiły klepisko na stoiskach z żywymi choinkami, gdzie toczyły się nieustanne bitwy o ostatnie drzewka. Sklepowe półki pustoszały przy akompaniamencie popiskiwań terminali płatniczych i bolesnych pojękiwań, które wrywały się raz po raz z coraz to innych gardeł. Po drugiej stronie barykady wcale nie było lepiej. Florystka w kwiaciarni przez kwadrans z rozpaczy łąkała w paczkę rafii, po tym jak klient



zażądał kompozycji świątecznej z wikliny, mchu islandzkiego i juty, metrowej choinki z ekologicznego sianka na plastrze drewna brzoźowego, ale bez korników, chyba że z wolnego wybiegu, oraz świec z wosku pszczelego od pszczół z chowu bezklatkowego, a wszystko to miała mu zapakować w złotą organzę w gwiazdki, koniecznie antyalergiczną, bezzapachową i wolną od GMO. Sprzedawczyni ze sklepu ze słodyczami tymczasem tłumaczyła się gęsto z zawartości mleka w mlecznej czekoladzie, a w zabawkowym na rogu rozgrywały się sceny gorszące, z udziałem dorosłych i ostatniego pudełka księżniczkowych klocków, różowo-brokatowego obiektu pożądania każdej siedmiolatki w promieniu stu kilometrów.

Ludzie mijali się w dzikim pędzie, objuczeni, zagonieni i zestresowani nadchodzącym czasem radości i pokoju na ziemi. Na ich tle dobrze zbudowany mężczyzna z siekierą w garści, który wyszedł właśnie z supermarketu, jawił się niemalże jak wcielony stoicyzm.

– Roch? – Oda zmarszczyła brwi. Tak, to na pewno był Roch, wszędzie rozpoznałaby ten miarowy, sprężysty krok, tę barczystą sylwetkę w ciemnej budrysówce. Pospieszyła jego śladem, meandrując między przechodniami i wołając:

– Hej! Rochu, zaczekaj! Hej!

Na dźwięk znajomego głosu planetnik obejrzał się przez ramię.

– Hej! – zawołała ponownie, gdy znalazła się kilka metrów za nim.  
– Co ty tak...

– Nie mam czasu – warknął. I przyspieszył, jak nic przyspieszył kroku! Czyżby wciąż go tak trzymało?

– Dwa słowa, chyba możesz...

– Nie. Daj mi spokój. Przestań za mną łązić.

– Okej, łukłeś mi, żebym siedziała w domu, ale...

– Powiedziałem PRZESTAŃ!

Zatrzymała się jak wryta na środku chodnika, a Roch przebiegł przez jezdnię i po chwili zniknął jej z oczu. Lecz sekundę przed tym na tle ciemnej budrysówki wyraźnie mignęło jej coś białego. Wyglądało jak bandaż albo spory opatrunek na prawej dłoni.

W pierwszym odruchu oniemiawszy, Oda musiała zebrać się

w sobie, żeby w odruchu drugim nie wybuchnąć, nie puścić się biegiem za Rochem i... Naraz ktoś trącił ją w ramię i burknął coś o zawalidrogach. Okręciła się błyskawicznie na pięcie, czując wzbierający gniew, płomień rozgrzewający policzki, włosy stające dęba – i lodowaty podmuch smagnął ją zaciekle. Boleśnie. Ludzie wokół niej aż się skulili, stawiali prędko kołnierze albo kryli głowy w ramionach i mrugali, gdy kolejny zryw wiatru zaciął zmrożonym śniegiem.

Wiła zacisnęła pięści.

Zacisnęła zęby.

Pomału wypuściła powietrze z płuc i zawróciła.

Wcześniej nie była przekonana do tego pomysłu, nie do końca. Jakaś część jej pragmatycznej natury ciągle sarkała, że to się nie sprawdzi, że te lekarskie zalecenia to jedynie wygodna wymówka, by wyrwać się z domu na przekór upartemu Rochowi. Żeby mu się postawić, pokazać, kto tu jest górą. Ale teraz już wiedziała. Musiała znaleźć dla złości ujście inne niż nieopanowany wiatr. W przeciwnym razie wspólnie z planetnikiem zagrzebią całą okolicę w śniegu aż do wiosny...

Albo i gorzej.

\*\*\*

Tym razem pawilon, w którym mieściła się szkoła tańca brzucha, już z daleka kusił ciepłym światłem. Oda czuła się trochę jak ćma, gdy tak zmierzała w jego stronę. W tym przedsięwziętym szaleństwie zdawał się obiecywać chwilę intymności i wytchnienia. Odcięcia od wszystkiego, co znajdowało się poza przytulnym kokonem – od zimna i śniegu, chaosu i harmidru. Od gniewu na jawie i sennych koszmarów.

Otupała starannie buty na wycieraczce i weszła do środka.

Witrażowe lampy w orientalnym stylu, które wisiały pod sufitem, malowały teraz fantazyjne, wielobarwne wzory na podłodze i surowych, białych ścianach. Na prawo od drzwi znajdował się niewysoki murek pełniący funkcję kontuaru. Zastawiony był świecami

przeróżnych rozmiarów, kolorów i kształtów. Ich płomienie odbijały się w lustrzanej połaci, która zajmowała całą ścianę na wprost, po lewej. W jednym kącie, na ziemi, stała miniaturowa wieża, a z głośników dobiegało nastrojowe pobrzękiwanie jakiegoś instrumentu strunowego. Uchylone drzwi w głębi sugerowały, że za salką znajdowało się jeszcze zaplecze, gdzie zapewne zniknęła osoba z obsługi.

Rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu, Oda zatrzymała się na swoim odbiciu. Ściągnęła czapkę i przeczesła palcami niesforne włosy, rozrzuciła, roztrzepała. Zdjęła kurtkę i buty, żeby nie nabrudzić, a po namyśle także sweter i razem z plecakiem zostawiła je pod ścianą. W samych skarpetkach, dżinsach i bawełnianym podkoszulku stanęła na wprost lustra.

„Taniec? Z twoją figurą? Doprawdy, oszczędź mi choć tego upokorzenia” – powtarzała kobieta, którą przez całe życie nazywała matką, choć nie była nią ani z krwi, ani z serca. I Oda, również przez całe życie, podświadomie deptała wszelką iskrę, która się w niej zatliła. Aż do zeszłego lata, gdy przy dźwiękach czortowskiej melodii po raz pierwszy pozwoliła jej się rozbuchać. Pozwoliła się ponieść. Puściła się w tan i odkryła w sobie wiłę, małą wiłę-szaławiłę. Ciekawe, co odkryje tym razem?

Przechyliła głowę, mrużąc nieznacznie powieki. Cóż. Osobiście obstawiała kompletny brak wdzięku. No i talii, bo tam, gdzie u przeciętnej kobiety wypadała talia, w sam raz do gięcia się i kołysania miednicą w celu dowolnym, ona od zawsze składała się z dwóch linii prostych. Kiedyś, gdy była jeszcze nastolatką, strasznie się tym gryzła. Patrzyła na swoje koleżanki z klasy czy podwórka i po cichu zazdrościła im długich, lejących się włosów, zgrabnych nóg, płaskich brzuchów i drobnych, kształtnych piersi, które nie wymagały stanika z golfem, żeby je utrzymać w ryzach. Na ich tle czuła się zawsze jak kudłaty klocek o powabie tarana. Dopiero gdy dorosła, gdy wyrwała się spod wpływu matki i poukładała sobie w głowie na nowo, już po swoim, nauczyła się nie szukać w ciele piękna – bo w jej świecie do niczego nie było potrzebne. Zamiast tego oczekiwała niezawodności, siły, wytrzymałości na wysiłek, na głód i zmęczenie,

na upał i mróz, na wielogodzinne dyżury i wędrówki, na ukąszenia, ugryzienia i inne urazy. I pod tym względem dogadywali się wyśmienicie, a teraz chciała mu się jakoś odwdzięczyć. Rozpieścić ją trochę.

Lecz gdy tak stała przed lustrem, pochłonięta kontemplacją własnej cielesności, nagle znowu tknęło ją wrażenie, że coś tu się nie zgadza, że patrzy na siebie, ale widzi...

– Oczy uroczone!

– Słucham? – Odwróciła się w stronę, z której dobiegły ją słowa podszyte zachwytem, słowa, które raz już chyba gdzieś padły. – Jakie oczy...?

W drzwiach zaplecza zobaczyła kobietę o włosach tak jasnych, że prawie białych, przyciętych w nowoczesnego pazia tuż za ucho, z grzywką zachodzącą na brwi. Bez cienia makijażu była bardzo blada, tu i tam przez skórę prześwitywały cienkie naczynia krwionośne. Jej bladoniebieskie oczy okalały rzęsy, długie i gęste, w tym samym kolorze co włosy. Cała w ogóle wydawała się asymetryczna i geometryczna, złożona z linii i płaszczyzn – wąska kreska nosa i ust, ostre rysy piegowatej twarzy, prosta, nietoperzowa tunika i gładkie legginsy w identycznym odcieniu szarości, przełamane intensywną czerwienią lekkiej, zwiewnej apaszki, którą okręciła sobie wokół szyi.

– Uroczone – powtórzyła, uśmiechając się do Ody. – Według wierzeń ludowych to oczy, których spojrzenie niesie ludziom nieszczęścia i uroki.

– Aha. Okej. I to jest... taki wyszukany komplement, czy tak?

– Och, bez obaw. Nie ma takiego uroku, którego by się nie dało odkręcić! – Kobieta mrugnęła do Ody porozumiewawczo, a potem pokiwała głową. – Tak. Uroczone bez dwóch zdań... Założę się, że niejedno już życie złamały.

– Chyba raczej serce?

– Niekoniecznie... Marzenka Drzemota – przedstawiała się, wyciągając dłoń drobną i bladą jak ze szkła.

– Oda Kręciszewska. Obawiam się, że nie jestem zbyt wdzięcznym materiałem, ale chciałabym trochę rozruszać kości.

– Och, taniec to coś więcej niż tylko ruch. Taniec wyzwala ciało, ciało wyzwala ducha, a duch wyzwala energię! Tłumione dotąd emocje wypuszczają kielki, coraz śmielej i śmielej, aż wreszcie wystrzeliwiają ku górze, ku słońcu, aż po nieboskłon! – zakończyła głośnym okrzykiem, wyrzucając ramiona ponad głowę. A potem uśmiechnęła się do Ody tak promiennie, że ta nie zdołała się oprzeć i odpowiedziała jej tym samym, co Marzenka skwitowała energicznym klaśnięciem. – Ach, widzę podatny grunt! Zaczynamy zatem! Czas zimowego przesilenia to najlepsza pora, żeby sięgnąć po nadprzyrodzoną moc tańca. Ciemność pożarła słońce, pora wzbudzić na nowo jego życiodajny płomień!

I w tym momencie w pawilonie zgasło światło.

– No i masz – rozległo się westchnienie Marzenki. – Ciemność wciąż na prowadzeniu.

Światło z ulicy nieco rozproszyło panujący wewnątrz mrok, dzięki czemu Marzenka pewnym krokiem przemierzyła pawilon i wymacawszy zapaliki za kontuarem, zapaliła świece. Oda zadrżała. W ich rozmigotanym, chwiejnym blasku blado-szara postać z czerwoną apaszką przez moment przypominała zjawę z poderżniętym gardłem. Wzrok czasem płatał upiorne figle.

Marzenka splotła dłonie na piersi i wykrzywiła usta.

– Wybacz, przez te śnieżyce mam tu co chwilę problemy z prądem. Nie pierwszy raz w tym tygodniu.

– Światło jest, nawet równie nastrojowe, ale bez muzyki chyba wiele nie potańczymy.

– Och, pal licha muzykę! – Marzenka beztróska machnęła ręką. – Sęk w tym, że bez prądu nie działa też ogrzewanie. Zaraz robi się tu zimno jak w psiarni.

Rzeczywiście, cienkie ściany pawilonu szybko oddały całe nagromadzone w środku ciepło.

„Czyli jednak do trzech razy sztuka”, westchnęła Oda z żalem, że znowu nic z tego nie wyjdzie. Pewnie uznałaby, że to wszechświat daje jej znak, gdyby tylko wierzyła w takie rzeczy. Takie jak znaki, rzecz jasna – co do statusu ontologicznego samego wszechświata nie miała raczej wątpliwości.

Już ubrana, z plecakiem w ręce, odwróciła się jeszcze do Marzenki.

– Nie wiesz może, czy znajdę tu gdzieś jakąś kawiarnię czy coś podobnego? – zapytała.

– A to ty nie jesteś tutejsza? – zdziwiła się Marzenka.

– W sumie to nie za bardzo. Mieszkam kawał drogi od miasteczka i... cóż, nie jestem przesadnie towarzyska – przyznała. – Wiesz, jak mam siedzieć przy kawie za kilkanaście złotych i gapić się w ścianę, to już wolę ją wypić we własnym domu, z własnym... psem. Skutek jest taki, że z tutejszych przybytków znam tylko przychodnię i kilka podstawowych sklepów. Podwózkę mam umówioną dopiero za dwie godziny i muszę gdzieś przeczekać.

Dałaby sobie rękę uciąć, że Marzenka na okamgnienie oderwała się od podłogi, jak gdyby uniosła ją ta nagła eksplozja szczęścia.

– Och, to się cudownie składa! – zakrzyknęła.

– Tak?

– Oczywiście! Bo widzisz, moja droga, ja co prawda dopiero się tu sprowadziłam, ale już wiem, że podobno niedaleko stąd jest świetna cukiernia! A ja... – dodała, uśmiechając się chytrze – ja szukałam dobrego pretekstu, żeby ją odwiedzić. I gwarantuję, że ze mną nie napatrzysz się zbyt wiele na ściany.

Tym sposobem, zamiast wypuszczać emocjonalne kielki w rytm orientalnych zaśpiewów i brzęknięć, Oda znowu znalazła się na spowitej nocą i zimą ulicy, tym razem jednak w towarzystwie nieznajomej, która prowadziła ją przez miasteczko i nawet na moment nie przestawała gadać. I jakimś cudem, absolutnie dla niej niepojętym, w ogóle nie działała jej na nerwy. Wprost przeciwnie – z każdą minutą w zaintrygowanej Odzie rosło osobliwe, irracjonalne przekonanie, że to nie orientalne lampy ani zawodne ogrzewanie były źródłem tego ciepła, które przyciągnęło ją do pawilonu, tylko właśnie ona – szaro-czerwona, niemożliwie roztrajkotana Marzenka.

Naraz z rwącego potoku słów wyłowiła coś, co przykuło jej uwagę na dobre.

– ...i w zasadzie nikogo tu jeszcze nie znam. Wiesz, tak naprawdę, nie że tylko z widzenia. Z sąsiadami kiepska sprawa. Ci starsi nie odpowiadają na dzień dobry, tylko przyglądają mi się podejrzliwie,

jakbym miała im zaraz buchnąć wycieraczkę razem z progiem i futryną, za to ci młodszy chyba podejrzewają, że jak mrugną o jeden raz za dużo i tracą czujność, to przekabacę ich potomstwo na wegetarianizm i nordic walking. Ech. Kiedyś to byli sąsiedzi... A teraz? Z tym sąsiadem trudna rada, słówka nie zagada...

– Przepraszam, zawsze rymujesz w akcie rozpacz?

Wymijając kolejnego przechodnia, objuczonego ciężarem świątecznej radości, Marzenka spojrzała na Ode z rozbawieniem.

– Co, nie bawiłaś się w to w dzieciństwie? W sąsiada? – Zmarznięta wydawała się jeszcze bledsza, jak gdyby nawet mróz i szybki marsz nie były w stanie podbarwić jej cery rumieńcem, za to ciężkie płatki śniegu wyglądały przepięknie na tle czerwonego płaszcza, który narzuciła na siebie.

– Chyba nie... Nie kojarzę takiej gry – przyznała Oda po namyśle. – Chociaż... może? Coś mi chyba świta. Na czym to dokładnie polegało?

– Jedno dziecko chodziło w kole i nuciło pierwszą zwrotkę – rzekła Marzenka i wskazując co rusz na jakiegoś przechodnia, zaśpiewała:

*Naokoło wciąż wędruję,  
Wszystkich rozpytuję:  
Czy pan rad, czy pani rada  
Ze swego sąsiada?<sup>2</sup>*

– I ta zapytana osoba mogła zrobić dwie rzeczy. Mogła wskazać swojego sąsiada, z lewej albo z prawej, i odpowiedzieć tak:

*Z tym sąsiadem trudna rada,  
Słówka nie zagada,  
Nie chcę, nie chcę tego mruka,  
Niechaj miejsca szuka.*

Zażywny mężczyzna z choinką w objęciach, nieoczekiwanie wytknięty palcem, sapnął coś w odpowiedzi, lecz one nie słuchały, nie

zwalniały kroku.

– I wtedy to ten sąsiad zaczynał chodzić w kole i śpiewać: „Naokoło wciąż wędruję, wszystkich rozpytuję” i tak dalej – ciągnęła wyjaśnienia Marzenka, nadal kiwając palcem, lecz tym razem przed sobą, jakby to była wskazówka metronomu, która podawała jej tempo. – Chyba że zapytana osoba odpowiedziała tak:

*Owszem, bardzo jestem rada,  
Grzecznie odpowiada,  
Proszę dalej iść i pukać,  
Miejsca sobie szukać.*

– Wtedy dziecko w kole dalej chodziło i śpiewało, aż ktoś je w końcu zmienił. – Korzystając z tego, że musiały przystanąć na czerwonym świetle, Marzenka odwróciła się do Ody. – A ty? Jak byś odpowiedziała?

– Ja? Och, ja przecież... – Zamilkła. „Ja przecież nie mam sąsiada”, cisnęło jej się na usta, tyle że to nie była tak do końca prawda. Nie odkąd krypta starego cmentarza stała się czyimś domem. Domem bardzo osobliwym, dla kogoś nie z tego świata, ale jednak. A co ona, Oda Kręciszewska, myślała o tym sąsiedztwie? – Ja, proszę pani... – odparła wreszcie – bardzo jestem rada ze swego sąsiada.

Marzenka obdarzyła ją ciepłym, łagodnym uśmiechem.

– Cudownie. Cudownie... Ach, zielone! Chodźmy, to już niedaleko! – zakrzyknęła i pociągnęła ją za sobą, bez skrepowania śpiewając na całe gardło, aż Oda zaczęła się śmiać i śmiać, i po chwili już chyba wszyscy się za nimi oglądali.

*Naokoło wciąż wędruję  
Wszystkich rozpytuję:  
Czy pan rad, czy pani rada  
Ze swego sąsiada?*



## Rozdział 10

Przez spowity śniegiem i ciemnością las sunęły pomału, brnąc przez zaspę i meandrując między drzewami, dwa rozedrgane snopy światła, za nimi zaś podążały dwie niezwykle postacie.

– To był zły pomysł – powtarzała wyższa, która co chwilę z wyraźną nerwowością rozglądała się na wszystkie strony. – To był zły, zły pomysł... Przecież obiecaliśmy nie wychodzić z domu!

– Totesz fczale ż domu ne fyszliszmy – rzeczowym tonem odpowiedziała jej niższa, osobliwie pękata. Dreptała przodem, kołysząc się przy tym zabawnie jak krąglutka wańka-wstańka, którą ktoś nieoczekiwanie wyposażył w odnóża, po czym nakazał wstać i iść. – My dopjero do nego smjeszamy... njeco okrensznom drogom. Zaczymaliszmy sze, aby żaczerpnoncz neczo szfeżego pofjecza. Dla żdrofja! A żatem, technicznje rzecz bjononcz, fszysztko sze żgadża.

– Ja nie jestem techniczny, tylko humanista! W szóstej klasie miałem czwórę z polskiego!!! – zapiiała wyższa postać, telepiąc światłem. – No... na szynach, ale to nadal czwóra!

– A... a czo to czfóra, Michałko? – postać niższa zapytała z żywym zainteresowaniem, na co wyższa westchnęła.

– Szczyt marzeń, Bazylu, szczyt marzeń... Raz mi się udało, pani od polskiego posłała mnie na konkurs recytatorski. Ależ ja wtedy recytowałem! Ja tak recytowałem, że nie było chu... no, dobrze recytowałem. Z uczuciem! – I jak gdyby na nowo opętany duchem poezji, Michałko stanął, skierował snop światła ku nocnemu niebu, które było nad nim, i z emfazą wyrecytował słowa wiersza: – „Tato nie wraca; ranki i wieczory we łzach go czekam i trwodze; rozlały rzeki, pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze!...”. – I wtedy przypomniał sobie, że scenografia w zasadzie pasowała jak ulał, był bór, był zwierz, nic tylko wypatrywać zbójców do kompletu. Ciarki przebiegły mu po plecach. – Jasna cholera, to był tak bardzo, bardzo zły pomysł...

Bazyl zachnął się nieco.

– No fjesz czo? Chyba ne chcesz mi pofedzecz, że folałbysz szedzecz terasz f domu...

– Tak.

– ...pszet konszolom...

– Tak!

– ...z michom czypszóf czebulofych i...

– TAK!!!

Michałko podążał nieustannie za zwinnym Bazylem, zziajany i spocony wbrew temperaturze. Nie z wysiłku – choć musiał przyznać, że w *Skyrimie* drałowanie przez zaśnieżony las pod zaśnieżoną górę przychodziło mu jednak z większą swobodą, nawet w kucki, z sakwami pełnymi łupów, łukiem w zębach i smokiem na karku, *fus ro dah*, siusiaki! Gdyż wysiłek był, istotnie, tyle że teraz chłopaka rozgrzewały przede wszystkim emocje, z popłochem na czele peletonu.

– Zgubiliśmy się, prawda? – wyszeptał ustami spierzchniętymi od mrozu, przystanąwszy nieopodal jakowegoś krzaczka. – Prawda, Bazylu? Jak palec w du...

– Och, szkont. – Mały czort machnął nonszalancko łapką, co przy tym stopniu spowicia ciepłą odzieżą wyglądało raczej jak mimowolny skurcz. – Duszo, duszo bardziej!

– O rany boskie, rany boskie, dlaczego ja w ogóle ciebie posłuchałem?! Dlaczego polazłem za tobą do ciemnego lasu?! Przecież... przecież ty jesteś KOZĄ!!!

Bazyl w końcu stanął i odwrócił się do Michałki, oświetlając latarką swą paszczę.

Kosmatą, brodatą paszczę.

– Kozą – powtórzył Michałko, twardo stawiając opór naocznym dowodom.

Bazyl uśmiechnął się szeroko, prezentując tyłozgryz w pełnej krasie. Gdyby nie czapka, zastrzygłby wymownie uchem, tak dla wzmocnienia efektu. Na szczęście wyszczerz najwyraźniej wystarczył, gdyż oto Michałko zbladł w obliczu prawdy, która nie tyle na niego spłynęła, ile z hukiem zwałała mu się na głowę.

Pośrodku lasu. Takiego gęstego.

Po ciemku. Bardzo, bardzo ciemku.

Sam na sam z...

– Jezu słodki... – sapnął. Nogi się pod nim ugięły i tyłkiem w dzinsach usiadł prosto w zaspę, na dodatek z takim impetem, że śnieg wsypał mu się za pas. – Diabłem... Jesteś diabłem!...

– Ne, djabełem ne, tylko czortem – poprawił go Bazyl grzecznie. – I jak szam żapefne jusz zaufaszylesz, poszadam frodzone kompetenczje do szfodzenia na manofcze. Fjesz, to mi pszychodzi naturalnje – dodał i podreptał dalej przez ciemny las. – No choc, choc – zachęcił Michałkę, który wciąż siedział, jak gdyby zapuścił w tej zaspie korzenie i zamierzał wychynąć dopiero na wiosnę, niczym przerośnięty przebiśnieg. – Ne boncz takim kanapowym burakjem. Fidżisz? Sz tej sztrony kora rosznje pjonowo, czyli tam jeszt północz!

– Co?...

– Żaufaj mi. Jesztem profeszjonalisztom.

– Tak. W wyprowadzaniu w pole!!! – wrzasnął Michałko, puszczając się pędem za małym czortem.

– No fłasznje! Terasz tendy.

– Tam znajdziemy drogę?

– Ne, tam sze żgubimy jeszcze bardziej!

I szli tak... no, może nie całą noc, ale przez następny kwadrans bądź trzy, za przewodnika mając korę i jej mętne wskazówki – przynajmniej tak twierdził Bazyl, upierając się, że z jego wrodzoną orientacją w terenie na pewno w końcu dotrą do celu.

– Do celu? – powtórzył Michałko. – Czyli właściwie to... to gdzie?

Mały czort, zafrasowany, podrapał się latarką po czapce.

– Fjesz... fjesz, terasz, jak tak o tym fszpomnjałesz...

– Zabije nas – wybełkotał chłopak, gdy naraz dotarło do niego, że będą zgubieni tak czy inaczej, nawet jeśli geograficznie szybko się odnajdą. – Zabije. No, znaczy, mnie zabije, bo z ciebie to zrobi dywanik. Kudłaty taki, mięcusi... przed kominek...

– A kto taki? – z miejsca zainteresował się czort.

– Oda. Oda nas zabije. Zdywanuje. Totalnie.

– Ach, Oda... – Bazyl zacmokał, kiwając głową. – Tak. Oda to tak.

I trwali tak przez chwilę, zdjęci grozą na myśl o czekającym ich losie, gdy wtem przez las poniósł się dźwięk. Cywilizowany dźwięk, który wprawne ucho Michałki z miejsca rozpoznało.

– Słyszałeś?! Ktoś trzasnął drzwiczkami! Gdzieś tam jest szosa, tam, z tamtej strony, chodź!!!

– Uuu, f konczu jakasz konkretna pszygoda! – Bazyl klasnął w łapki i popędził za kolegą, aż wypchana torebka obijała mu się o zadek.

A potem, jak to zwykle w podobnych sytuacjach bywa, wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Najpierw rozległ się odgłos – odgłos nierozpoznany, lecz bezsprzecznie znamionujący obecność w tym lesie, w tej ciemności, czegoś bądź kogoś poza ich dwójką. Słyszając go, Michałko z wrażenia zastygł, zdrętwiał i zlodowaciał. Ułamek sekundy później czort wpadł na niego z rozpędu, wbijając zębata paszczę prościutko w ludzki pośladek i uruchamiając efekt domina.

Zaskoczony dziabnięciem w półdupek Michałko razem z Bazylem, zaskoczonym z tej samej przyczyny, acz od twarzy strony, runęli zgodnie w zaspę, kłębiąc się i szamocząc, a w ślad za nimi poleciały obydwie latarki.

Zapadła ciemność.

I cisza.

– E... eee... Bazylu... – Wytarzany w śniegu Michałko, błogosławiąc w duchu babciny dryl, który nakazał mu dziś założyć podkoszulek i kalesony, odruchowo zniżył głos do zatrwożonego szeptu. – Tam... tam chyba coś jest...

Pomału podnieśli głowy, wyteżając wzrok – człowiek, który w ciemnościach nie widział nic, i czort, który widział niewiele więcej.

Sekundy, minuty, eony później przed nimi, między drzewami, mignęło światło. Na ich oczach zniknęło za jakimś pnem, by po krótkiej chwili wyłonić się z mroku kawałek dalej. Zmierzało prawie w ich stronę. Dopiero gdy dotarło do większego prześwitu, mogli mu się lepiej przyjrzeć.

– Och! To Roch! – sapnął czort, rymując z wrażenia.

Z lampą w lewej ręce, wyciągniętej wysoko przed sobą, planetnik stał cicho przez las. Mimo niskiej temperatury nie miał na sobie

kurtki, tylko puchową kamizelkę na grubej flanelowej koszuli. Przez pierś przewiesił sobie jakąś torbę czy worek. Przy udzie, ze skórzanej osłony mocowanej przy pasie, zwiisał mu trzonek z wysłużonego drewna. Bazyl zamrugał i zmarszczył brwi, przypatrując się badawczo. Od pewnego czasu płanetnik nawet na moment nie rozstawał się z tą dziwną siekierą...

Po kilku krokach Roch przystanął. Rozejrzał się bacznie, z zimną krwią, odstawił lampę na ziemię i sięgnął po coś do worka.

– Czo on robi?...

Wtedy znów usłyszeli tamten odgłos.

Próbowali coś dojrzeć, lecz płanetnik stał do nich tyłem i jego szerokie plecy razem z ciemnością nocy, która spowijała go od pasa w górę, przesłaniały im cały widok. Gdy odgłos ucichł, Roch chwycił za lampę i podjął na nowo swój marsz przez las. A potem znów – po kilku krokach przystanął, rozejrzał się, odstawił lampę i...

– Ej, gościu tu chyba kłusuje... – szepnął Michałko w przyływie objawienia.

– Czy ja fjem?... Mnje to raczej fyglonda na sztemp.

– Na czo... na co?

– Sztemp. No fjesz. Pata-taj, pata-taj, pata-taj – zapatatajał czort zduszonym głosem. – Tylko dosztojnej.

– Czo...? Nie, nie w tym sensie kłusuje. On tu zastawia jakieś sidła! Widzisz? Przybija coś do drzew!

Bazyl chciał zaprotestować, z całą stanowczością zaprotestować, jako że trochę już płanetnika znał i wiedział, że ten nigdy by nie czyhał w lesie z sidłami na bezbronne zwierzątka. Na bronne też nie, swoją drogą, bo z tego Rocha to był ogółem porządny człowiek, znaczy, ten, no... o, facet, jak to się mówi, no i płanetnik też, więc nie, on by przecież nigdy...

Po lesie poniósł się niski, złowrogi warkot, stawiając dęba sierść na czortowskim ciebie.

Michałko wrzasnął.

W dłoni Rocha błysnęła siekiera.

– MAMUSZU!!! – zdążył jeszcze kwiknąć Bazyl.

I wtedy lampa płanetnika zgasła.

\*\*\*

Tak podobno zachwalana cukiernia okazała się ledwie pojedynczym stolikiem z trzema krzesłami, wciśniętymi w kąt piekarni, obecnie bardzo zatłoczonej. Chyba pół miasteczka rzuciło się po zapasy pieczywa i zamówione wypieki na święta, bo kolejka wiła się od kasy aż do drzwi i dalej, chodnikiem, aż do węgła, w związku z czym Oda i Marzenka zgodnie postanowiły darować sobie ciasto i poprzestać na kawie z ekspresu, który stał z boku, na blacie. Z papierowymi kubeczkami, zbyt cienkimi, by zawartość nie parzyła w palce, przecisnęły się do stolika i usiadły.

– Więc jak? – zagaiła Marzenka. – Przesąd czy prawda?

Oda zastygła z ustami przytkniętymi do brzegu kubeczka.

– Ale w związku z czym?

– Z twoimi oczami. Oczami urocznymi. Podobno sprowadzają nieszczęście, choroby, bezpłodność, nieurodzaj, co w sumie wychodzi na jedno...

– Kwestia odpowiedniej gleby – wtrąciła Oda żartobliwie.

– ...oraz, uwaga! – Tu Marzenka zawiesiła głos i wyprostowała palec wskazujący, by po kilku sekundach dokończyć melodramatycznie: – Impotencję!

Pół kolejki obejrzało się na dwie kobiety w kącie – zielonooką, która nagle parsknęła niepohamowanym śmiechem i kawą, oraz białowłosą, która w pośpiechu ratowała swój kubek, zanim padł ofiarą rozchybotanego stolika.

– O rany boskie... – wykrztusiła Oda, gdy już odzyskała mowę. – Nigdy na nikogo nie ściągnęłam nieszczęścia, a już na pewno nie impotencji!

– Czy aby na pewno? – zapytała Marzenka szelmowsko, drewnianym patyczkiem mieszając cappuccino z namiastką pianki.

– Wiedziałabym... chyba. Tak sędzę. – Ostatnie słowo nie zdążyło jeszcze wybrzmieć do końca, gdy przed oczami stanęła jej matka. Czy aby na pewno?

Dla Marzenki to był jedynie zwykły, zabawny przesąd. Zabobon, odległe echo zamierzchłych czasów, kiedy ludzie istnieniem wił,

planetników, czortów czy bogów o wielu twarzach tłumaczyli sobie świat i jego tajemnice. Tyle że Oda, w przeciwieństwie do Marzenki, zdawała sobie z czegoś sprawę. Wiły, planetnicy i czorty istnieli naprawdę. Więc może...?

Nie. Jedynym urokiem, który by tłumaczył nieustanne rozgoryczenie, wieczne niezadowolenie, oczekiwania nie do spełnienia, nie do zaspokojenia, była toksyczna osobowość matki. I to nie oczy Ody ten urok ściągnęły.

– A ty jak uważasz? – zapytała, żeby odciąć się od bolesnych wspomnień, które znów próbowały się przepchnąć na pierwszy plan.  
– Przesąd? Czy prawda?

– Myślę, że jedno nie wyklucza drugiego – odrzekła Marzenka z wolna, jakby marzycielsko. – Ludzie chętnie uciekają w przesady, by w ich cieniu ukryć się przed prawdą jak przed słońcem w upał. Prawda ich pali, bo nie pasuje do ich wizji świata, a przede wszystkim wizji samych siebie. Oczywiście, wizji pięknej, spójnej i obiektywnej – dodała. – Przyczyn osobistych klęsk i niepowodzeń szukają wszędzie wokół, zamiast stawić czoło własnej głupocie czy nieudacznictwu. To nie ja, ja sobie nie zasłużyłem. To świat. To los! To oczy uroczone...

– Och jej. Cóż za zaskakujący pesymizm, nie podejrzewałabym koleżanki.

Marzenka zaśmiała się perliście.

– Realizm, urocza Odo, zwykły, przyziemny realizm. Już trochę po tym świecie chodzę i zdążyłam poznać ludzi.

Oda uniosła brew. Rzeczywiście, teraz, gdy rozmawiały twarzą w twarz w jasno oświetlonej cukierni, rozdzielone jedynie niewielkim blatem, uświadomiła sobie, że Marzenka, choć duchem młodsza od niej, w rzeczywistości była starsza, niż mogłoby się wydawać. Te drobne zmarszczki w kącikach oczu i ust wyrzeźbił nie tylko uśmiech, czas również dołożył swoje.

– I naprawdę są aż tacy źli?

– Ach, nie. Nie źli, źli to nie jest właściwe określenie. Powiedziałabym raczej, że... niespójni. Tak. U podstaw natury człowieka leży zamęt. Dysonans. Konflikt. Ciało przeciw duchowi, rozum przeciw emocjom, wiedza przeciw przesądom, zasady...

przeciw pokusom, ach, a pokus jest zawsze tak wiele, tak wiele!... – dodała ze śmiechem, po czym westchnęła. – A przy tym ludzie lubią myśleć o sobie, że są kimś lepszym niż w rzeczywistości. Widzieć siebie przez różowe okulary. Owszem, czasem narzekają na swoje niedostatki, ale robią to wyłącznie w nadziei, że ktoś natychmiast zaprzeczy i będą mogli dalej żyć w błogiej ułudzie. Nie potrafią znieść dysonansu, muszą wybrać stronę i wierzyć, że wybrali tę dobrą. Więc idą w zaparte. Nie, ja nie jestem gruby, ja nie przywiązuję wagi do cielesności. Nie, ja nie jestem miękki, ja ciągle szukam swojej drogi. Nie, ja nie jestem niedouczone, ja myślę alternatywnie. I tak dalej, i tak dalej... Szukają wymówek i pretekstów, zamiast spojrzeć w lustro i pogodzić się z tym, co widzą. Na nowo ukonstytuować siebie.

– Czy to nie jest zbyt wielkie słowo jak na tak mały stoliczek? – zapytała Oda z przekorą, na co Marzenka znów się roześmiała.

– Tylko troszeczkę. Ale! – Palec znów wkroczył do akcji. – Na tym właśnie, moja droga, polega prawdziwa moc tańca. Taniec jest jak lustro. Obnaża. Pozwala dotrzeć do sedna, do tego, co w sobie ukrywasz i tłamsisz.

– Odkryć, wyzwolić i ujarzmić?

– Ujarzmić? W życiu! Wszystko, co ujarzmiamy, prędzej czy później próbuje wyrwać się spod naszej kontroli i wtedy zaczyna się prawdziwy kłopot. – Upiła kilka łyków cappuccino i zlizwała piankę znad wargi. – Chodzi o to, by odkryć, kim naprawdę jesteś, bez względu na to, czy ta prawda przypadnie ci do gustu. Co cię definiuje, co sprawia, że ty to właśnie ty, a nie ktoś inny, chociaż bardzo podobny. Trzeba dopuścić tę cząstkę do głosu. Wysłuchać. Utulić. Ukoić.

– A jeśli się okaże, że ta cząstka to gniew? – zapytała Oda. – Nienawiść? Albo okrucieństwo? Jak się pogodzić z czymś takim?

Marzenka przechyliła głowę i przez chwilę w zamyśleniu wpatrywała się w Odę.

– Cóż. Nie mówiłam, że to będzie proste.

Mimo tłoku i gwaru oraz kiepskiej kawy rozmowa pochłonęła je bez reszty. Nie bez zdumienia, ale też nie bez radości odkrywały, jak



wiele, wbrew pozornym różnicom, je łączyło – przekorną, racjonalną lekarkę i żywiołową, roześmianą nauczycielkę tańca, które przez tyle lat nie umiały nigdzie zagrać miejsca. Aż do teraz.

Cukiernia stopniowo pustoszała. Wartki potok ludzi przeszedł w ledwo ciurkający strumyk, aż wreszcie ktoś na dobre zakręcił kran. Korzystając z okazji, Marzenka natychmiast poszła po upragnione ciasto.

– No dobrze – podjęła tonem sugerującym, że oto nadszedł czas podsumowań, gdy wróciła do stolika. – Czemu zatem?

– Czemu co? – Oda wzięła z jej rąk talerzyk z kawałkiem czekoladowego tortu.

– Czemu właśnie teraz? Czemu właśnie tutaj? Zmęczenie? Śmierć matki? Menopauza?

– A jeśli odpowiem, że to przez wąsik i różowe glany? – zapytała Oda z przekorą.

– Wcale nie będę szczególnie zdziwiona. Więc jak? Wąsik i glany? Naprawdę?

– Różowe! – powtórzyła i dla podkreślenia istoty tego faktu pokiwała widelczykiem, po czym odkroiła nim pierwszy czekoladowy kęs i wzięła do ust. – Zmęczenie...? Nie. Jeszcze nie. Menopauzy też mi wciąż oszczędzono.

– A matka?

– Na swój pokrętny sposób... tak – przyznała Oda po namyśle. – Gdy umarła, nie miałam już przed kim uciekać. Ale to nie dlatego tu jestem.

– Więc dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu pewnego dnia stanęłam na tej leśnej polanie i... i już.

– Och, no co ty! Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś?! Dlaczego jakieś ogłoszenie, znalezione przypadkiem w internecie, sprawiło, że całkowicie odmieniłaś swoje życie? Dlaczego ze wszystkich cudownych zakątków na caluteńkim bożym świecie przyciągnęło cię właśnie tu i właśnie teraz?

Oda wzruszyła ramionami.

– Nie. To się po prostu stało. Gdzieś poza mną. Nie widzę sensu

tego roztrząsać, skoro jest mi dobrze.

– A jest? – podchwyciła Marzenka znad wielkiej bajaderki. Naraz jeszcze szerzej otworzyła oczy. – Och. Zawahałaś się. Widzę.

– Ostatnio... – Odetchnęła, żeby nie tracić panowania nad sobą, bo poczuła, że już zaczynała ściągać brwi. – Cóż. Ostatnio parę spraw trochę się skomplikowało. Problemy ze zdrowiem... z ludźmi... powiedzmy. Ale to przejściowe. Ot, niesprzyjająca aura. No co? – zapytała, bo Marzenka świdrowała ją wzrokiem.

– Mężczyzna – orzekła z cichym triumfem w głosie. – Tylko mężczyzna umie tak rozjuszyć kobietę. Zwłaszcza taką jak ty. Och, widzę tu mnóstwo energii do wyzwolenia!

– Jaki zno... o jasny gwint, fakt, mężczyzna! – Odłożyła widelczyk obok tortu i sięgnęła do kieszeni kurtki, gdzie trzymała telefon. – Przepraszam, muszę szybko zadzwonić. Na śmierć o czymś zapomniałam.

Obiecała przecież, że da znać, o której godzinie będzie potrzebowała podwózki z powrotem do domu. Przeszła na drugi koniec piekarni-cukierni, po drodze wybierając numer Michałki. Z komórką przyciśniętą do ucha dostrzegła po chwili, że Marzenka macha do niej energicznie.

– Do ła-zien-ki! – wysylabizowała bezgłośnie do Ody, wskazując na drzwi z wymownym znaczkim. Zaraz za nimi zniknęła.

A Oda wciąż czekała, aż martwą ciszę w słuchawce przerwie znajomy sygnał oczekiwania na połączenie. Zamiast tego usłyszała jednak suchy, zapętlony komunikat:

– Abonent jest czasowo niedostępny. Prosimy spróbować ponownie. *The number you are trying to reach is currently unavailable. Please try again later.* Abonent jest czasowo niedostępny. Prosimy...

Rozłączyła się. Dziwne, ostatnio nie miała żadnych problemów z połączeniem. Na wszelki wypadek sprawdziła jeszcze zasięg, ale nie, pełne cztery kreski. Czyli to nie ona. To Michałko.

Spróbowała jeszcze raz – i znowu nic. Czuła powolne rozpieranie, z jakim niepokój rozlewał się po jej duszy i sercu.

Coś było nie tak.

Zamyślona, nie zauważyła, kiedy do piekarni weszła kobieta

z wózkiem i pograżyła się w rozmowie ze sprzedawczynią, na oko jej rówieśnicą z pszenicznymi włosami spiętymi w modny, niedbały kok. Krótki rękaw i dekolt firmowej koszulki odsłaniały rozległy kwiatowy tatuaż.

– ...mówię ci, odstaw tę apteczną chemię – tłumaczyła koleżance sprzedawczyni, przekładając zamówione ciasto z blachy do pudełka.

– Ale to lekarz przepisał, to jak...?

– Lekarz! – prychnęła kobieta z tatuażem. – Wiesz, ile ja się z moim Kajtkiem nachodziłam po lekarzach?... Wszystko nam wmawiali! Że słabo przybiera, że zła dieta, że alergię, że to, że tamto. I nikomu nie przyszło do głowy, że osłabiony organizm trzeba naenergetyzować i odkwasić, odbudować naturalną odporność, a nie dobijać go jakąś chemią. Lepiej kup miód.

– Miód to też chemia, proszę pani – mruknęła Oda pod nosem.

Obie kobiety obróciły się w jej stronę.

– Słucham? – zapytała sprzedawczyni.

– Miód to też chemia – powtórzyła Oda, tym razem głośno i wyraźnie. Podniosła głowę znad telefonu i uśmiechnęła się do kobiety. – Węglowodany, głównie cukry proste, do tego kwasy organiczne, barwniki, białka, mikroelementy, witaminy... Czysta, żywa chemia. Ogólnie rzecz biorąc, jak wszystko, co nas otacza.

– A pani co, farmaceuta?

– Lekarz.

– Ach, no tak. – Kobieta z tatuażem spojrzała z przekąsem na znajomą i rzuciła do niej: – Lekarz, rozumiesz. I już wiadomo, o co chodzi.

Oda poczuła się, jakby ktoś dał jej w twarz.

– Proszę?

– Pani doktor – mówiąc to, sprzedawczyni przewróciła oczami – tych parę stron z podręcznika, które pani wykuła na blachę... ile, dwadzieścia lat temu? To tak jakby odrobinę za mało, żeby się wypowiadać w temacie. Świat nie stoi w miejscu, trzeba mieć otwarty umysł, wiązać fakty. Trochę więcej pokory dla nauki, proszę pani.

– Z całą pokorą dla nauki – odpowiedziała Oda, starannie artykułując słowa – jestem przekonana, że skład chemiczny miodu nie

zmienił się jakoś szczególnie, odkąd ostatnio sprawdzałam.

Co się tu wyprawiało? Dlaczego kobiety – ta z wózkiem i ta z tatuażem – wymieniły nad kontuarem znaczące spojrzenia? Miód to miód, oczywiście, mógł na przykład zawierać maltozę, nie mówiąc już o różnicach w analizie pyłkowej, ale... ale... o co, do cholery, chodziło tej kobiecie?...

– Aha. Jasne. A o GMO „pani doktor” słyszała? – zapytała sprzedawczyni kąśliwie i Oda postawiłaby banany przeciwko orzechom, że usłyszała wymowny cudysłów. – O plastiku? O hormonach? O chemtrailsach? O tym, co firmy farmaceutyczne ładują do szczepionek?

– Powiedziałabym, że antygeny, ale zaraz się pewnie dowiem, że DNA zezowatych szczeniactków, nanoroboty i wyciąg z trupa... – palnęła Oda z wzbierającą irytacją. Aż się cała zjeżyła, ręce mimowolnie oparła na biodrach, a brwi wystrzeliły jej w górę czoła. Kątem oka dostrzegła jeszcze Marzenkę, która wróciła z łazienki i z rozdziawionymi ustami przysłuchiwała się tej nieoczekiwanej wymianie poglądów.

– Oczywiście, agresja zamiast argumentów! Niczego innego bym się nie spodziewała. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, „pani doktor”. Medycyna to już nie jest wiedza tajemna, którą można jedynie zdobyć w podziemiach Hogwartu po zaliczeniu dwunastu prac Asterixa. Wystarczy umieć czytać, PANI DOKTOR!

– A myśleć to już nie łas... – zaczęła cedzić wyla ze złowróbnym błyskiem w zielonych oczach, gdy naraz po piekarni poniósł się huk:

– ODEŃKA?!

W drzwiach piekarni stał Krzyś, wcielone dobro, głęboka troska oraz – przynajmniej na ten moment – święte oburzenie.

– Pozwoliłeś mi spacerować! – uprzedziła atak, zanim zdążył przejść do dalszej werbalizacji.

– Ale nie na takie dystanse!!! Dobry wieczór, trzy z rabarbarem poproszę i zamówienie numer pięćdziesiąt osiem sto dwanaście – rzucił do sprzedawczyni, po czym gładko wrócił do rugania Ody. – Czy ty oszalałaś?! Chcesz się wykończyć?!

– Nie, ale jeszcze moment i ciężki szlag mnie trafi... – warknęła,

najeżając się jeszcze bardziej i balansując na krawędzi opanowania, zła już na wszystko i wszystkich, na tę idiotkę z tatuażem i na tę drugą, i na Marzenkę, która bawiła się doskonale, jakby to był jakiś kabaret, i na tego cholernego Ksy... Krzysia, do stu diabłów, co ona znowu miała z tym seplenieniem?!

Telefon komórkowy w jej dłoni nagle ożył. Spodziewając się, że to Michałko w końcu oddzwaniał, rozłoszczona Oda odebrała, nie patrząc na wyświetlacz:

– CO?!

W słuchawce rozległ się przerażony, urywany głos małego czorta:

– Odżinko... Odżinko, ratuj!...

## Rozdział 11

O tej porze cała przychodnia Lew-Med była już zamknięta na cztery spusty.

Cała? Nie! W jednej, jedynej sali na tyłach wciąż paliło się światło.

– CZY WAS JUŻ BEZ RESZTY ROZUM OPUŚCIŁ?! – grzmiała Oda Kręciszewska, aż Michałko i Bazyl kładli uszy po sobie. Małemu czortowi przygoda w lesie uszła praktycznie płazem, czego nie dało się powiedzieć o chłopaku, który leżał na kozetce w zabiegowym, przyciskając zimny kompres do czoła. A już na pewno nie o Rochu.

– Odeńko, ciut ciszej, bo mi człowieka zagłuszasz – poprosił łagodnie Krzyś, ze stetoskopem w uszach pochylający się nad planetnikiem.

– MIELIŚCIE NIE RUSZAĆ SIĘ Z DOMU!!! – Oda przeszła na złowróźbny syk, patrząc to na Michałkę, to na Bazyla, który przycupnął na zydelku i udawał, że go tam nie ma, wcale a wcale.

– Totesz techniczne rzecz bjonocz... – zaczął mały czort, lecz wiła z miejsca na niego naskoczyła:

– A ty od kiedy jesteś taki techniczny?!

– Och, Odeńko! – Krzyś rzucił jej przez ramię zawiedzione spojrzenie zranionego szczeniaczka. I natychmiast tego pożałował.

– Nie Odeńkuj mi tu, tylko osłuchuj tego barana!!!

– Toteż próbuję, ale mi szmer oskrzelowy zagłuszasz... – pożałił się nieśmiało. Bez wsparcia pani Gieni i słodyczy pod ręką kompletnie nie radził sobie z agresją.

Rozwścieczona wiła przygryzła wargę i skupiła się na Michałce.

– Kazałam wam siedzieć w domu i czekać, aż zadzwonię...

– Bo... no bo... no bo on mnie uwiódł! – wyjęczał chłopak w odpowiedzi, na co Bazyl aż się wyprostował na swoim zydelku i zaprotestował z godnością:

– To jeszt natinterpretacja i fypaczanie natury naszej relacji!!!

– Eee... no to... zawiódł? Zwiódł?... A nie, wywiódł! Tak, wywiódł mnie! Do lasu mnie wywiódł i w ogóle!

– A ty co, własnego rozumu nie masz, że za nim do tego lasu polazłeś po nocy?!

– Przecież... przecież TO CZORT!!! – zapał Michałko, już ze łzami w oczach, bo od tych okrzyków coraz bardziej bolała go poobijana głowa. – Diabeł!!! Szatański wymiot!!!

– Pomiot...

– To też! Oni robią takie rzeczy!...

– Isztotnje, robimy – potwierdził Bazyl. – Bjedak ne mjał fjenkszych szansz sz tyzonczleczami rodzinnej tradyczji.

– To i tak cud, że nie wylądowałem przez niego na pustyni. A to mogłoby się naprawdę źle skończyć, ja się bardzo łatwo opalam! – dodał Michałko z urazą.

Oda skryła na chwilę twarz w dłoniach.

– Bazylku, przecież ci tłumaczyłam. Prosiłam, żebyś uważał, żebyś nie chodził do lasu, bo...

– I kto to mówi... – przerwał jej cichy, niski głos, który dobiegł z drugiej kozetki.

– A ty milcz, bo dobiję! – warknęła na planetnika, obojętna na wstrząśniętą minę Krzysia. Odwróciła się z powrotem do czorta. – Mówiłam przecież wyraźnie: Bazylku, nie chodź do lasu, tam jest teraz niebezpiecznie. I co?

– No i było! – żarliwie przytaknął Bazyl, całkowicie rozmijając się z sarkazmem. – Och, Odzinko, żebyś ty fidzała, jakom to mjało paszcze!!! Takom... takom... ŻEMBATOM!!!

– No! – przytaknął Michałko, nagle ożywiony. Uniósł się na jednym łokciu, z drugą ręką wciąż uczeponą kompresu, a jego blado-szare oblicze w końcu nabrało nowych barw, ze szczególnym uwzględnieniem żółci i zieleni. – Ej, nie wiem, co to było, ale wyskoczyło na nas jak jakieś durne i jak mnie nie pizgło w łeb!!! Myślałem, że rozum zgubię!

– Niewiele brakowało, co? – sarknęła Oda. Nie wzięła jednak pod uwagę, że Michałko nie bez powodu tak dobrze dogadywał się z Bazylem.

– No! Serio niewiele!

– I mjało paszcze i żemby, i było takje... takje... takje f piżdu!

– BAZYLU!!! – zakrzyknęli zgodnie i wiła, i planetnik, i lekarz zresztą też, chociaż sam nie wiedział dlaczego.

– Ne? Ne f piżdu?... No że ogromne było takje. I czale czarne, ż łapami i że szponami, i ż rogam, długimi i żakrentaszofymi, o, takimi, fjuuu, fjuuu...

Odzie na ułamek sekundy zaparło dech.

– Co... co proszę?

– Fjuuu...? – powtórzył Bazyl i uśmiechnął się niepewnie, acz dobrotliwie, tak na wszelki wypadek.

Tymczasem Krzyś skończył omacywać Rocha.

– Osluchowo czysto – orzekł z satysfakcją. – Żebra wyglądają mi na całe, ale przy tak rozległych stłuczeniach przydałoby się przeświecić dla pewności. Teraz kolegę wstępnie opatrzymy, damy lizaczek i wezwiemy karetkę.

– Nie.

Krzyś zastygł w połowie drogi do umywalki i obejrzał się na Rocha.

– Nie? Że bez lizaczka...?

– Bez karetki.

– Dobrze... – odparł powoli, jak gdyby jego umysł próbował wyciągnąć z tej jednej sylaby coś poza niezrozumiałym dla niego oporem przed profesjonalną pomocą medyczną. – W takim razie sam kolegę zawiozę na...

– Nie – powtórzył Roch sucho. – Żadnego szpitala. Nic mi nie jest.

– Nic? – Krzyś zamrugał, zmieszany, bo to, co widział, ewidentnie kłóciło mu się z tym, co właśnie usłyszał.

Kamizelka Rocha, z jednej strony rozdarta i wypatroszona z ociepliny, leżała teraz w kącie, na podłodze, razem z poszarpaną koszulą w czarno-niebiesko-krwawą kratę. Sam planetnik, który zajmował kozetkę w głębi zabiegowego, prezentował się równie mizernie. Stłuczenia na torsie podbiegły już krwią, tworząc fascynujący, niecodzienny deseń. Jak gdyby coś go stratowało, coś... kopytnego. I szczerze użębionego, tak jak wspominał Bazyl.

– Ja się nim zajmę – rzekła Oda do Krzysia, otrząsnawszy się prędko z oszołomienia. Zapędziła rozszalałe, niepokojące myśli, które galopowały jej po głowie niczym stado spłoszonych koni, z powrotem



w najdalszy kąt. Nie teraz. Najpierw musiała się dobrze przyjrzeć obrażeniom Rocha. Musiała coś sprawdzić. – Mam wprawę w cerowaniu... ludzi. Ty weź się za tego drugiego gagatka.

Jeszcze nigdy nie myła rąk z taką furją. Odnosiła wrażenie, że zaraz zedrze sobie skórę do kości, a może i na wylot. Gdy zakładała rękawiczki, w środku aż kipiała, jak chyba jeszcze nigdy dotąd. Dopiero co sam ją ratował, dopiero co wiozł ją w środku nocy do szpitala, chociaż protestowała. Miała ochotę odpłacić mu teraz pięknym za nadobne.

– Mów. – Nie bacząc na posykiwania Rocha, zabrała się do czyszczenia i odkażania ran. Wyglądało to tak, jakby owo stworzenie, które zaatakowało ich w lesie, wbiło mu szpony w obydwa ramiona, żeby nie zdołał uciec, a zębami wpiło się w bark. Musiało być potężne... Co to było? Czemu poprzestało na ugryzieniu, zamiast wyrwać kawałek ciała? Nie zdążyło, nie było głodne czy może wstrzyknęło mu jakiś jad, którego działanie ujawni się dopiero za jakiś czas? I w ogóle jakim cudem planetnik się uwolnił?

Cóż, przynajmniej na to pytanie od razu znalazła odpowiedź. Zwykły człowiek, gdyby znalazł się na jego miejscu, w najlepszym razie urozmaicałby właśnie leśny krajobraz uroczo zakrwawionymi zwłokami. Planetnik na szczęście był kimś więcej, więc przeżył. Co i tak nie zmieniało faktu, że oberwał solidnie.

– No? Co tam robiłeś? – zapytała, już nieco mniej napastliwie.

– Nic.

– Jasne.

– Kłusował! – odezwał się Michałko z jednym okiem wytrzeszczonym w blasku latareczki, którą Krzyś sprawdzał mu źrenice. – Ja wszystko widziałem! No... nie wszystko, ale...

– Nie kłusowałem – warknął Roch i Oda wiedziała, że mówił prawdę. Michałko najwyraźniej był jednak odmiennego zdania, bo odparował z oburzeniem:

– Zakładał wnyki! Przybijał je do drzew tymi, no... gwoźdźmi?

– Gwoźdźmi – pospieszył Bazyl z pomocą.

– Czym?

– Przecież wnyków się nie przybija – zauważył Krzyś wyjątkowo

przytomnie i zaraz dodał: – Mam wujka leśniczego. W dzieciństwie spędzałem u niego wakacje i chodziłem z nim usuwać takie wnyki. Wnyków się nie przybija do drzewa.

– No... no ale on przybijał!

– Pszybijał, tak, tak! – potwierdził mały czort. – Szłyszałem na fłaszne uszy, że czosz pszybijał!

– O, a jak się szarpał z tym... tym czymś, to mu się z worka gwoździe posypały – dodał Michałko i, sięgnąwszy do kieszeni dzinsów, wysypał coś na dłoń Krzysia.

Lekarz przyjrzał się uważnie.

– Rzeczywiście, gwoździe. Ale jakieś dziwne... To mi nie wygląda na stal, zobacz, Odeńko – rzekł i odwrócił się do koleżanki po fachu, a ta, niewiele myśląc, zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła rękę.

– ODA, NIE!!! – krzyknął Roch, lecz było już za późno.

Gwoździe z brzękiem posypały się na podłogę.

Ze łzami w oczach Oda zgięła się wpół, przyciskając dłoń do piersi. Słyszała wokół siebie krzyki i zamieszanie, lecz jedyne, na czym potrafiła się skupić, to ostry, palący ból. Jakby jej ktoś wsadził rękę w żar. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

– ...trzymałem je w kieszeni, no przecież gacie bym sobie sfajczył, gdyby były gorące! – dotarł do niej bełkotliwy głos Michałki. Rozchyliła powieki i zobaczyła, jak Krzyś, z początku nieufnie, zbiera rozsypane gwoździe z linoleum.

– Nie no, fakt, są zimne. Podłoga też cała... Mogę? – zapytał i gdy Oda skinęła głową, delikatnie rozprostował jej dłoń. Każdy gwóźdź zostawił na skórze wyraźny czerwony ślad. Tu i tam już wysklepiały się bąble.

– Alergia? – głowił się lekarz, z fascynacją przyglądając się oparzeniom. – Ale żeby aż tak gwałtowna?

Oda wciągnęła powietrze przez nos, mocno, głęboko, aż od tego nagłego przyływu tlenu zakręciło jej się w głowie. Oblizwała usta.

– Ksy... Krzysiu, idź do magazynku i sprawdź – poprosiła łagodnie.

– Co takiego?

– Cokolwiek. I zabierz ze sobą tych dwóch.

– No wiesz, Odeńko... Przypominam, że jestem twoim

bezpośrednim przełożonym i chyba brakuje nam jałowych opatrunków – dokończył bez zająknięcia, napotkawszy jej wzrok. Ogarnęło go wrażenie, że patrzy w dwie zielone otchłanie, na których dnie czało się coś, z czym wolałby się jednak nie mierzyć. W każdym razie nie bez czekolady pod ręką. Wyszedł w pośpiechu, puszczając przodem Bazyla i Michałkę. W ostatniej chwili zapuścił jednak żurawia do zabiegowego, bo coś mu się przypomniało na dźwięk stukotu czortowskich kopytek o linoleum... a może to przez ten rozdyndany ogonek? – A co się tyczy twojego... twojej... hm...

– Kozy.

– Tak. Kozy. No więc co się tyczy flory bakteryjnej tej... tej... hm... bo zastanawiam się właśnie, czy nasze lampy... czy one sobie... – Westchnął ciężko, bo nijak mu się to wszystko nie chciało komponować: ani ten małowówny mężczyzna z siekierą i ostrym stadium wyparcia, ani ta koza, którą młody człowiek nazywał jednak czortem, co owszem, po części mogły tłumaczyć obrażenia głowy, jakie odniósł. Tyle że pozostawała jeszcze druga część, całkiem spora, większa nawet od pierwszej, ta, w której rzekoma koza nosiła szalik i wypowiadała się dość składnie, acz bez litości dla dykcji.

A nade wszystko Krzysiovi nie komponowała się Oda – dotąd zawsze taka łagodna i cierpliwa, i roześmiana, z tym szelmowskim błyskiem w zielonych oczach i uśmiechem igrającym w kącikach ust, gotowym w każdej chwili rozjaśnić świat. Tymczasem z cukierni wypadła istna furia, rozkipiała od gniewu, rozeźlona i rozszalała. Niczym wichura porwała ze sobą Krzysia w roli kierowcy, po czym zgarnęła z leśnego pobocza tego chłopaka z guzem na pół czoła, rannego mężczyznę i kozę, która nie mogła przecież być kozą, no bo kto widział kozę grzebiącą w torebce w poszukiwaniu przekąsek?! A teraz była tu, w zabiegowym, pani doktor, Oda, zjawiskowa Oda, stała w białym blasku lamp, z burzą wilgotnych pukli i znamieniem czerwieniącym się w bladej, piegowanej twarzy, stała, zaciskając usta, i zdawała się jaśnieć, jaśnieć bardziej niż jarzeniówki nad jej głową. A Krzyś patrzył na nią i patrzył, i czuł, że jeśli zaraz nie uchwyci się kurczowo czegoś normalnego, czegoś racjonalnego, znajomego i stałego, to za chwilę i jego porwie ten dziwny, roziskrzony szal,

którym tchnęła Oda, ta Oda, cudna Oda, Odeńka...

Odchrząknął, potrząsnął głową raz i drugi, żeby wyzwolić się od oszołomienia, jakie raz po raz go opadało. Koza. Tak. Jakkolwiek to brzmiało, gadająca koza najmocniej trzymała go przy ziemi. Tyle że...

– Bo wiesz co, Odeńko – podjął nieśmiało – mój dziadek hodował kozy i muszę powiedzieć, że chyba żadna z nich...

– Krzysiu.

– A tak. Opatrunki. Tak.

Gdy drzwi się zamknęły i zostali w zabiegowym tylko we dwoje, Oda uniosła dłoń tak, by Roch mógł dobrze widzieć jej wewnętrzną stronę.

– Te gwoździe mnie oparzyły. Oparzyły. I ciebie też, prawda? – Skinęła głową na jego zabandażowaną dłoń. – Ale Krzysiu i Michałce nic nie zrobiły. Szkodzą tylko nam, ludziom już nie. Dlaczego? Z czego są zrobione?

Długo czekała na odpowiedź planetnika.

– Z żelaza. Starego żelaza.

– Rozumiem, że to istotne? Że ze starego, tak?

– Wręcz kluczowe.

– Dobrze. Czyli stare żelazo. Coś jeszcze?

– Ogień.

– Też stary? A może rytualny, jak ten, który miałam zanieść na cmentarz?

– Wystarczy żywy.

– Czyli ledówka się nie nada, dobrze rozumiem?

– Nie. Tylko żywy ogień odstrasza złe duchy.

– Dobrze. Okej. Czyli znamy już arsenał, żywy ogień i stare żelazo.

W tym konkretnym przypadku gwoździe ze starego żelaza. A teraz wyjaśnij mi, po co je tam wbijałeś, w te drzewa? No? Mów. Oboje wiemy, że wcale nie kłusowałeś, nie zastawiałeś żadnych...

Urwała.

Wzrok planetnika powiedział jej wszystko.

– Człowiek... – szepnęła.

– Słucham?

– Tamtej nocy, kiedy wracaliśmy z SOR-u. Podczas śnieżycy.

Zapytałeś wtedy, czy myślę, że zostawiłbyś tam człowieka. Człowieka. Nie, tego byś nie zrobił. Myślę, że zostawiłeś tam coś innego. I już wtedy wiedziałeś, z czym... – Aż ją zatchnęło od kolejnego olśnienia. – Sidła! Michałko ma rację, ty zastawiałeś sidła. Na... rany boskie... Ty polujesz na homen! Oszalałeś?!

Roch poderwał się z kozetki – i równie gwałtownie na nią opadł, pobielały na twarzy, jak gdyby witał się już ze śmiercią.

– Skąd wiesz? – wydyszał. – Skąd wiesz o homenie?

– A co, liczyłeś, że się nie dowiem?!

– Tak, Odo – odparł przez zaciśnięte zęby. Zimny pot zrosił jego czoło, a w ranie na barku zalśniła świeża krew. – Właśnie tak. Liczyłem. Bo może wtedy nie zrobiłabyś niczego głupiego. Chociaż... chociaż ten jeden raz... – zdążył jeszcze wyrzucić z siebie, a potem zgasł.

\*\*\*

Mimo sielskich widoków za oknem po wydarzeniach poprzedniego wieczoru oraz bezsennej nocy, która po nich nastąpiła, wigilijny poranek był bardzo daleki klimatem od *winter wonderland* z klasycznych amerykańskich szlagierów. Nawet tych wyśpiewanych aksamitnym, acz nieco zawadiackim głosem Deana Martina.

Oda krzyczała.

Długo.

Koniec końców *Wielka xięga demonów i poczwara* trafiła bezterminowo na indeks ksiąg zakazanych, czyli najwyższą półkę najwyższej szafki w sypialni wiły, urażony w godność osobistą Bazyl zamknął się w łazience, a Oda wyszła przed dom, żeby ochłonać. Choć trochę.

Była zła. Zła jak chyba nigdy dotąd – a że ostatnio zdarzało jej się to coraz częściej, miała pewne porównanie. Była zła na Bazyla, który znów jej nie posłuchał, na Michałkę, który dał się przekabacić czortowi pięć minut po tym, jak tylko wysiadła z samochodu, ale przede wszystkim na tego przekłętego, impertynenckiego, oschłego płanetnika.

„I kto to mówi”, dobre sobie!

Wiedział, od początku wiedział, z czym mieli do czynienia. Nie z pierwszą lepszą siłą nieczystą, kolejnym tatusiem, który wyrwał się z piekła na małą przebieżkę po okolicy, tylko z hominem – i nawet się nie zająknął! Niby ostrzegał, straszył przesileniem, niby tłumaczył, a wszystko to wyłącznie po to, żeby ją uziemić na amen, mieć z głowy, żeby mu się przypadkiem nie pałętała pod nogami jak natrętny szczeniak, podczas gdy on, z poparzonymi żelazem dłońmi, bohatersko walczył z całym pochodem straszliwych mar. Tyle że gdyby nie te dwie niecnoty, bęcwały, cymbały jedne, gdyby nie ten pozał się boże Flip z rogatym Flapem, którzy czystym zrządzeniem losu znaleźli się w pobliżu i zdołali wezwać pomoc, kiedy sprawy przybrały obrót najgorszy z możliwych, ten durny Roch właśnie stygłby pod śnieżnym całunem w charakterze zwłok. I to w najlepszym razie, bo tego najgorszego nawet nie chciała sobie wyobrazić...

– Żeby cię szlag, żeby cię szlag, szlag, szlag... – cedziła pod nosem, ze wzrokiem wbitym w czarno-białą ścianę lasu. Przecież ją znał. Przecież razem odparli tatusia. Wiedział, na co ją stać, a mimo to...

Gdy już pozszywała i opatrzyła mu rany, próbowała raz jeszcze przekonać płanetnika, żeby rozważył wizytę w szpitalu. Ale prędzej groch dogadałby się ze ścianą niż ona z Rochem. Nawet ranny i obolały zaciskał zęby i wywarkiwał to swoje nieznośne, cholerne „nie”. Na to wtrącił się Krzyś, życzliwy i cierpliwy nieziemsko, bo zaprawiony w bojach z trzylatkami o pokazanie gardła bez pomocy szpatułki – i wtedy, choć wydawało się to niewykonalne, Roch zaciął się jeszcze bardziej. Odstawili go więc pod wskazany adres, milczącego i poszarzałego tam, gdzie akurat nie podbiegł krwiakami. Podrzucili też Michałkę na leśne pobocze, na którym za namową Bazyla zostawił samochód, i zaczekali, aż wsiadł do środka i uruchomił silnik. Żadne z nich – włącznie z Krzysiem, który co prawda wciąż niewiele rozumiał z tego wszystkiego, ale rozsądnie starał się nie wnikać – nie uważało, żeby był to nadmiar ostrożności z ich strony.

No tak. Krzyś.

O nic nie pytał. Znaczy, widziała po tych jego niebieskich oczętach, jak pączkowały w nim pytania, a co jedno, to zapewne ciekawsze. Zresztą trudno mu się było dziwić, zważywszy na okoliczności. Zniósł dzielnie i wyprawę ratunkową w leśne ostępy, i spotkanie twarzą w pysk z czortem, i cerowanie po nocy ran zadanych planetnikowi przez homen.

Nie, naprawdę miała już tego wszystkiego dość.

Pomału, palec za palcem, Oda ściągnęła rękawiczkę i odwróciła prawą dłoń wierzchem do góry. Zmarszczyła brwi. Przez chwilę przypatrywała się śladom, które na jej skórze zostawiły żelazne gwoździe. Choć zwykle każda rana goiła się na niej jak na psie, co zawdzięczała chyba nie tyle przychyłnej loterii genowej, ile naturze wiły, te wciąż lśniły żywą czerwienią. Tu i tam przeżył się pęcherz. Wystarczyła garść gwoździ, żeby...

– ...żeby cię szlag! – dokończyła głośno i przeskoczywszy wszystkie stopnie, ruszyła przez zaspy na tyły domu.

Były tam! Powbijane w zewnętrzną ścianę, w całkowicie, wydawałoby się, przypadkowej konstelacji. Niby zwyczajne, może trochę stare, może trochę inne niż wszystkie. Gwoździe, które tuż przed nadejściem śniegu własnoręcznie powbijał Roch. Już wtedy zwróciła uwagę na jego pokaleczone palce. Z lekkim wahaniem Oda wyciągnęła teraz rękę i musnęła jeden z nich opuszką. Zabolało. Jasny gwint, jak to zabolało... Sidła ze starego żelaza? Tutaj? Ale... ale po co? Bo chyba raczej nie na nią? Zrobiła bezwiednie kilka kroków w tył, próbując dostrzec w tym jakiś sens, wzór, cokolwiek, co pozwoliłoby jej zrozumieć, dlaczego Roch postanowił naszpikować jej dom gwoździami ze starego żelaza, które wyrządzały krzywdę, bardzo fizyczną i bardzo bolesną, zarówno planetnikowi, jak i wile.

– Może uznał, że raczej nie będę się tarzać po ścianach? – stwierdziła na głos w przyпіływie humoru. – A może... Och.

Dla pewności cofnęła się jeszcze metr czy dwa. I wtedy to zobaczyła. Gęsta pajęczyna gwoździ okalała trzy okna na tyłach – to większe, sypialniane, i to mniejsze, w głębi kuchni, nad stołem, i zupełnie malutkie, łazienkowe.

Szybkim krokiem Oda obesła cały dom, wypatrując uważnie

żelaznych łebków. Dostrzegła jeszcze kilka wokół drzwi wejściowych i frontowego okna, lecz z jakiegoś powodu od tej strony było ich znacznie mniej. Rochowi zabrakło gwoździ czy jak...? Nie, przecież Michałko mówił wyraźnie, że kiedy to coś, stworzenie z homenu, rzuciło się na Rocha, gwoździe wysypały mu się z worka... A nawet przy całej złości, jaką chwilowo żywiła w stosunku do planetnika, nie podejrzewała, by przerwał w połowie, bo postanowił dać jej nauczkę. Nie. Wściekły czy nie, wbiłby tych gwoździ nawet tysiące, żeby ją chronić, a nauczkę zostawiłby sobie na potem. Zatem stał za tym jakiś zamysł. Plan. Czyżby Roch spodziewał się, że to, na co zastawił sidła, nadejdzie od tamtej strony? Z głębi lasu za domem?

Za szybą mignęła jej rogata głowa. Najwidoczniej Bazyl przypomniał sobie, że nie zdążył jeszcze zjeść śniadania. Powinna dać mu teraz dobry przykład. Powinna być mądrzejsza. Powinna wrócić do domu, usiąść przy stole. Dorzucić do ognia, napić się gorącej herbaty, może coś zjeść. Zmienić opatrunek na dłoni, odpocząć, odespać te nerwy, bieganinę, do serca przytulić psa i czorta. Porozmawiać, dla odmiany jak człowiek, nie wiła. Odnaleźć spokój, który gdzieś się ostatnio zapodział i za nic nie chciał odnaleźć.

Ale jej ciało wiedziało lepiej, co robić. Dokąd iść. Nie zauważyła nawet, jak i kiedy, nie oglądając się za siebie, wkroczyła w milczący las za domem.

Szła.

Szła.

Szła.

Śnieg zaczął prószyć dużymi płatkami, które opadały bezszelestnie. Cisza dzwoniła w uszach, w kościach. Oda wyciągnęła przed siebie dłoń, poparzoną dłoń o rozczapierzonych szeroko palcach, ale płatki wymykały się jej dotykowi jak...

Jak we śnie.

Zamarła, zdjeta niewyobrażalną grozą. Przez chwilę bała się spojrzeć w dół, by nie zobaczyć krwi znaczącej ścieżkę, którą nigdy nie stąpała. Bała się spojrzeć w dół, by nie zobaczyć na swoich stopach zniszczonych trzewików z czerwonej skórki, których nigdy nie nosiła. I wtedy gdzieś z odmętów niepamięci przyszły do niej



słowa dziecinnej piosenki – zupełnie innej niż ta, którą śpiewały razem z Marzenką, idąc przez miasteczko, piosenki bardziej rzewnej i tęsknej, i pełnej żalu, którego nie umiała zrozumieć, a który uderzał w najczulsze struny jej duszy. Oda szła i szła, pchana wiatrem i słowami, aż naraz skończył się las i wyszła na polanę, cichą i zastygłą w zimowym bezruchu.

A na tej polanie, z jednej strony rozdarty niewielkim cyplem, rozlewał się staw.

Staw ze snu, w którym tonęła.

## Rozdział 12

Opadły spięte ramiona, usta rozchyliły się swobodnie, a pięści rozluźniły, zamiast zaciskać kurczowo. Pierwszy raz od wielu dni Ode ogarnął bezgraniczny spokój. Zamknęła powieki. Już prawie zapomniała, jakie to uczucie. Równowaga. Wewnętrzne wyciszenie. Radość samego bycia. Żadnego wiatru, który szarpałby duszę, jedynie...

Jedynie...

Z błyskiem w oku Oda poderwała głowę, przepatrując szybko leśną polanę i pierwszą linię drzew. Nic. Otaczały ją pustka i bezruch na granicy martwoty, i... ledwie uchwytny, szemrzący śpiew. Zapomniane słowa, które jeszcze przed chwilą spływały z jej własnych ust, bez udziału pamięci czy woli, teraz dobiegały zewsząd i znikąd, niczym echo przeszłości, wyraźne, acz jakby przytłumione. Rozglądając się na lewo i prawo, podeszła bliżej i, idąc dalej wzdłuż brzegu, dotarła na szczyt cypla, który wbijał się w samo serce stawu. Siarczasty mróz, który wraz z nadejściem prawdziwej, srogiej zimy ściał powierzchnię wody, uwięził pod nią matową, zastygłą toń.

Tknięta przecuciem, Oda kucnęła i nachyliła się nad lodem.

To stamtąd dobiegał śpiew.

*Oj, żebym ja była  
U matusi dłużej,  
Chodziłabym sobie,  
Jak kwiateczek róży<sup>3</sup>.*

„Przecież to niemożliwe. Niemożliwe”, powtarzała w myślach. Niemożliwe, żeby ktokolwiek śpiewał w wodzie, pod kilkucentymetrową warstwą lodu, na dodatek na tyle donośnie, żeby jego głos dało się usłyszeć nawet tu, na powierzchni. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Aż naraz coś zobaczyła. Tam, z drugiej strony. Zobaczyła białą, szczupłą dłoń, wyłaniającą się z głębiny leśnych wód.

Z głębiny snu.

Dłoń przywarła do spodu zastygłej tafli i chwilę potem w ślad za nią ukazała się twarz – pociągła, o wielkich, tęsknych oczach, okolona ciemnymi włosami i tak jasna, że zdawała się opalizować, chociaż promienie słońca nie mogły się przedrzeć przez zlodowaciałą wodę. Uśmiechnęła się smutno, a potem spojrzała za siebie i znów na Ode, jak gdyby dawała znać oczarowanej tym widokiem wile, że tam, w dole, czekała ją niespodzianka, że już, już nadciągała.

– Och... – szepnęła z zachwytem Oda. Coraz to nowe twarze jaśniały pod lodem, coraz to nowe dłonie wyciągały się czule w jej kierunku, ciemne sploty kłębiły się w wodzie niczym węgorze, a z bladych ust poniosły się dalsze słowa piosenki, której nie mogła pamiętać:

*Teraz jak lilija, co wiatr na nią wieje,  
Ja blada i marna od wiatru się chwieję.*

– Ja blada i marna od wiatru się chwieję... – powtórzyła za nimi, cicho i łagodnie, znów zdjęta cudownym spokojem, za którym tak bardzo tęskniła. Uśmiech rozjaśnił jej twarz i zielone oczy o kształcie migdałów, gdy zawtórowała szemrzącym istotom spod lodu:

*O wiewajże, wiewaj, wietrze wieczorowy,  
Wywiewaj, wywiewaj smutne myśli z głowy...*

I tak jak we śnie, który nie tak dawno śniła, Oda wyciągnęła pomalą rękę, żeby dotknąć lodu i tych dłoni, które czekały pod spodem...

Twarde, czarne szpony wpiły się bezlitośnie w jej ramię, przebijając materiał zimowej kurtki, docierając aż do ciała, do krwi. Szarpnęły.

Gniew i ból eksplodowały jednocześnie. Oda krzyknęła, a istoty z głębin stawu zawtórowały jej tak tęsknie, tak żalobnie, z boleścią,

od której zatrzeszczał gruby lód. Lecz zanim na nowo rozbrzmiał ich śpiew, wiła była już daleko, między drzewami, bez najmniejszych ceregieli wleczona po śniegu.

– Pusz... puszczaj! Puszczaj, słyszysz?! – wydarła się, wciąż zdezorientowana, lecz z każdą chwilą coraz trzeźwiejsza. Po pierwszym szoku przyszło zrozumienie. Rozpoznawała tę aurę, wiedziała, kto ją ciągnie coraz głębiej i głębiej w las. Mimo to ani myślała prosić. Zamiast tego usiłowała walczyć, chwycić się czegoś, zaprzeć piętami, cokolwiek, byle wstać o własnych siłach, ocalić może już nie tyle skórę, ile resztki osobistej godności. Bez skutku. Poczucie bezsilności na nowo podsyciło w niej gniew.

– Ossa, puść mnie, do cholery!!! – ryknęła.

Po następnych kilkunastu metrach jej prośba została spełniona. Czarne szpony zwolniły uścisk i Oda uderzyła o ziemię.

Poderwała się zaraz, prychając, kaszłąc i dysząc wściekle. Miała śnieg za kołnierzem, pod kurtką, w butach, wszędzie, nawet w nosie i w uszach, bo gdzieś po drodze zgubiła czapkę. Przycisnęła dłoń do zranionego ramienia i syknęła – tętniło bólem, rękaw kurtki zdążył w tym miejscu przesiąknąć krwią, ale rany chyba nie były zbyt głębokie. Uspokoilo ją to na tyle, że powściągnęła chęć rzucenia się cmentarnemu demonowi do gardła, tu i teraz. Zresztą bezpośrednie starcie prawdopodobnie skończyłoby się dla niej dużo, dużo gorzej. Tym razem nie zabrała szufli.

– Oszalałaś?! – wrzasnęła zamiast tego. – Co ja jestem, worek kartofli, żeby mnie tak ciągać?! Co ty sobie wyobrażasz?!

Czarna, potężna Ossa milczała i tylko przypatrywała jej się z góry, czekając cierpliwie, aż wiła i jej wiatr ucichną.

– Póki nie minie czas przesilenia – odezwała się w końcu, niewzruszona jak nagrobek – trzymaj się z dala od tej polany. A zwłaszcza od tego stawu.

– Dlaczego? Co to za staw? Kto to był? Tam, pod lodem, kto to był? Czekaj, stój! – zawołała, bo demon szedł już dalej. Chciała puścić się za nim biegiem, gdy coś do niej dotarło. Ossa utykała – i zostawiała na zaśnieżonej ścieżce krwawy ślad.

Czy te przeklęte sny mogłyby przestać się spełniać...?

– Co się stało?! – Paroma susami, od których aż zaszumiało jej w skroniach, wiła dogoniła Osę i zagroziła dalszą drogę między drzewami. – Rany boskie... – jęknęła, ujrawszy udo demona. Opatrunek, który tak starannie zmieniała, teraz zniknął, podobnie jak paski spajające trzy największe rany. Tylko czwarta wyglądała dobrze, pozostałe rozeszły się na nowo. I znowu krwawiły, na dodatek mocno.

– Co się stało? – powtórzyła już nie zła, lecz szczerze zaniepokojona. – Homen? Ludzie? Jak... jak... Do jasnej cholery, czy ty mogłabyś choć raz tak po prostu odpowiedzieć na moje pytanie?!

Matowych oczu Ossy nie ożywił najmniejszy nawet błysk, gdy nachyliła się nad Odą i wycedziła z niskim warkotem, w którym pobrzmiwał ten niepokojąco ptasi trel:

– Nic ci do tego, wiło. A tam, w stawie, to były wodnice. Nie zbliżaj się do nich. Nie słuchaj ich śpiewu. I nigdy, przenigdy im nie wtóruj. Rozumiesz?

– Bo?

– Bo za trzecim razem mogę już nie zdążyć, wiło.

– Wcale nie prosiłam, żebyś... – zaczęła Oda i naraz urwała, gdy głos uwiązał jej w gardle.

Bo na mgnienie oka przed tym, jak cmentarny demon, obróciwszy się na kopycie, zniknął pośród cieni, dostrzegła na jego prawym barku siateczkę drobnych, świeżych oparzeń. Kształtem i rozmiarem dokładnie takich samych jak te, które znaczyły jej dłoń.

\*\*\*

– Nawet nie zaczynaj! – warknęła od progu na Bazyla, który z wielce szczwaną miną przymierzał się już do wygłoszenia tyrady na temat konszefenczji, zaufanja orasz innych zasad fszpółszycza f potsztafofej komórcze społecznej f farunkach lesznych. Był naprawdę dobrze przygotowany.

Niestety, mina wiły nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, że to się może dla niego bardzo źle skończyć.

– A mjałem takje ładne argumenty... – westchnął zawiedziony czort

i podreptał zaparzyć herbatę.

Oda tymczasem wpadła do sypialni, wdrapała się do najwyższej szafki i wydobyła z niej zarekwirowaną księgę, z którą następnie pomaszzerowała do kuchni. Tomiszcze z hukiem wylądowało na stole.

– Osztroznje!!! – pisnął Bazyl, prawie upuszczając puszkę z herbatą. – To unikat, Roch tfa mjeszoncze na njom polofał!

Obejrzała się przez ramię na czorta. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała?

– A tak w zasadzie to po co?

– Czo...?

– Po co on tak na nią polował? Jeżeli miałeś ochotę coś sobie poczytać, wystarczyło powiedzieć, nie musiałeś od razu wysłać Rocha na łowy. Niedaleko przychodzi jest biblioteka z przyzwoitym księgozbiorem. Mogę skoczyć po pracy, zapisać się i coś ci wypożyczyć. Wiesz, coś z o wiele lepszą fabułą niż to – dodała i zastukała palcem w *Wielką księgę demonów i poczwar*.

Czort zastrzygł uchem i przyjrzał się Odzie spomiędzy przymrużonych powiek.

– Na pszykłat czo...? – zapytał, węsząc i sposobność, ale też i podstęp.

– Kryminały, poezję, poradniki, klasykę literatury światowej... Co tylko zechcesz.

– A takje... takje... no fjesz... sze on jom bardzo, a ona jego ne bardzo, ale potem on poznaje innom i ta pjerfsza dosztaje szpaźmóf ż fraszēja, i odkryfa, że to była miłoszcz i że terasz fszysztko f piż... żnaczy, że fszysztko sztraczone i fszyszczy umszemy, a potem sze okazaże, sze ta inna to jeszt szosztra kużynki prababki czotecznej sztryjka ot sztrony szonszada ż parteru i tak naprafde to jego nicz ż njom ne łonczy, a po drodze szom momenty i fszyszczy żyjom krótko i neszczenszlify, sza hajsz babky balujoncz...?

Oda potrzebowała chwili, żeby poukładać sobie w głowie to, co usłyszała. Nie tylko z uwagi na fonetyczne zbrodnie na polszczyźnie.

– Romanse? – odkryła wreszcie. – Chciałbyś, żebym ci wypożyczyła romanse? Ale... ale czemu akurat romanse?!

– Bo miłoszcz jeszt taka pjenkna... – westchnął Bazyl

z rozrzewnieniem. – Miłoszcz i oprópka szkrafanjem. Ne mam pojencza, czo to jeszt, ale bszmi faszczynujonczo. I gjeologja. Szafsze chciałem szobje pogjeologofacz. No fjesz, f folnych chfilach.

Czajnik wydał z siebie pierwszy nieśmiały gwizd i mały czort wziął się z powrotem do parzenia herbaty. Oda tymczasem zaczęła na stojąco wertować księgę. Z zamyślenia wyrwało ją dopiero nieśmiałe pytanie:

– Mosze ja pomoge...?

Zerknęła z ukosa. Postawiwszy na drewnianym stole dwa kubki i talerz tostów z samym masłem, Bazyl przycupnął tuż obok na ławie i z niepokojem przypatrywał się, jak obcesowo obchodziła się z jego bezcennym skarbem.

– Szukasz czegoś konkretnego?

– Tak, czegoś o wodnych... wodnym czymś tam, zapomniałam, jak to się dokładnie nazywa. W każdym razie mokre, płci żeńskiej. Raczej gołe.

– Ach, masz na myszli fodnicze? – Bazyl aż się wzdrygnął, po czym otworzył księgę od końca i zaczął przewracać kartki. – Paszkudy. Proszę bardzo, szama szprafdź.

Oboje nachylili się nad księgą.

– „Wodnica, zwana też topielicą, utopicielką” – przeczytała Oda. – „Demon akwatyczny, z duszy młodej dziewczyny lubo też mężatki świeżo poślubionej, śmiercią tragiczną zmarłej powstały na zgubę męskiego plemienia. W gieżle białym albo i bez gieżła całkowicie, blade te widma, siostrzycami się zwące, wołaniem tęsknym i śpiewem młodzieńców wabiły, ażeby w odmęty ich wciągnąć i tam na wieczność utopić”. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Przecież to nie ma sensu – mruknęła do siebie.

– Czy ja fjem? Młodzi menszczyźni czenszto głupjejom na fidok beszgjeźła. Doszczentnje.

– Ano właśnie, Bazylku. Ano właśnie...

Pał sześć z tym gieżłem, pewnie by się jakieś znalazło od biedy, chociaż zawsze wołała porządne dzinsy i sweter, ale mężczyzną z pewnością nie była, ani młodym, ani starym. Czego zatem chciały od niej wodnice? I dlaczego Ossa ją stamtąd odciągnęła?... Aż

zadrżała na samo wspomnienie zimnej furii, jaką tchnął wtedy cmentarny demon.

Jedno wspomnienie pociągnęło za sobą drugie, raz jeszcze zdejmując Odę głębokim niepokojem. Tym razem nie mieli świadków, mogła zapytać. Zamknęła więc księgę, usiadła i spojrzała z uwagą na Bazyla. Odpowiedział jej nieśmiałym uśmiechem znad brzegu kubeczka.

– Mógłbyś jeszcze raz opowiedzieć, jak wyglądało to... to stworzenie, na które wczoraj natknęliście się w lesie?

– My sze na ne fczale ne natkneliszmy – poprawił Bazyl. – To ono nam sze narzuczało. Na tfasz sze narzuczało! No, pszynajmnej Michałcze, bo Rochofi to tak ogólniej, na czaloszcz szylfetki. A mnje fczale. Chyba mnje nafet ne żaufaszyło...

– Było ogromne, prawda?

– Prafda.

– Wyższe ode mnie? Od Rocha?

– Och, duszo, duszo fyszszsze – przytaknął czort. – I czale czarne. Mjało takje szponaszte łapy i rogi, takje długje i żakrentaszofe, fjuuu, fjuuu...

– Tak, fiuuu akurat pamiętam. A tak bardziej z tyłu czy z przodu? Gdzie miało to całe fiuuu?

– Sz tyłu – odrzekł po namyśle. – Fjesz, ne fidzałem tego szbyt topsze, tyle czo nam mignęło f blaszku lampy, żanim czalkjem szgaszła. A migalo doszcz szycko – przyznał czort – bo Roch sze ne czaczkał. Tyle że...

– Tyle że co?

– Tyle że to czosz tesz sze ż nim ne czaczkało. Och, Odżinko, to było takje sztraszne...

Aż ją ścisnęło w gardle, bo po tych słowach uszka małego czorta oklapły, uśmiech zniknął z paszczy i nawet ogonek, zawsze skory do wesołego dyndania, naraz opadł bezradnie. Bazyl skulił się cały, jakby próbował zapaść się pod ziemię. Niewiele myśląc, wiła przygarnęła go do siebie i zamknęła w mocnym uścisku.

– Roch mjał szekjere – podjął po chwili, wtulony w swoją ukochaną Odżinkę. – Ale ne tom, czo żafsze, kjedy do nasz pszyjeszdża, tylko



takom... dżifnom. Asz mnje fszyszko szfendżało f głoŃje, kjedy na njom paczyłem, fjencz... fjencz sztaralem sze ne paczeć ła bardzo...

– A czy Roch... czy on zabił to coś? To stworzenie? – zapytała cicho, cichuteńko, jak najciszej, jak gdyby w nadziei, że czort nie usłyszcy i nie odpowie. Nie potwierdzi. Nie zaprzeczy.

Lecz on usłyszał. I ku jej rozpaczy ani myślał zaprzeczać.

– Ne, Odżinko. Ono uczećło... i fcionsz gđesz tam jeszt.

## Rozdział 13

Mimo dynamicznego wstępu święta upłynęły im leniwie. Wigilijny wieczór spędzili przy kuchennym stole – Oda ustrojona we flanelową piżamę i wełniane skarpety, z kolei Bazyl z kudłami zebranymi na czubku głowy dla odmiany nie w jeden, lecz w dwa koczki, przez co wyglądał, jakby dorobił się nowego poroża. Aż do północy grali w pociągi, dojadali resztki pierogów oraz ciasta od pani Kusej i kubek za kubkiem sączyli aromatyczną herbatę z goździkami, imbirem i plasterkami pomarańczy. Za oknem coraz wyższe zasy śniegu iskrzyły się w blasku księżyca.

Następnego dnia, uznawszy, że jak świętować, to na całego, usmażyli furę faworków z cukrem pudrem i zjedli zamiast obiadu, co do okruszka. W ramach deseru otworzyli sobie kompot z wiśni i siedzieli przy oknie, rozmawiając o wszystkim i niczym i wydłubując słodkie, wydrylowane owoce łyżeczką prosto ze słoika. Również ostatni, drugi dzień świąt spędzili niespiesznie, tym razem na układaniu sielskiego górskiego widoczku z czterech tysięcy puzzli, które razem z korzennymi ciasteczkami, butelką gęstej porzeczkówki oraz puszką herbatników dla kozy („zoologiczny był zamknięty, ale podobno koza to zeżre wszystko, więc herbatniki chyba też...?”) niespodziewanie przywiózł im Krzyś. Wieczorami, gdy na zewnątrz znów szalała śnieżycą, w kominie zawodził wiatr, a pod kuchenną płytą wesoło trzaskał ogień, każde zagrzebywało się z ledówką i książką w swoim kocykowym kokonie. Może nie mieli prezentów ani choinki, ani telewizora, w którym mogliby wałkować odwieczne świąteczne hity, ale byli razem, byli po swojemu i było im dobrze. Na ten krótki czas prawie zapomnieli o świecie poza ich przytulnym domem. Jedynie ten jeżący włos niepokój, który ruszał razem z nimi, ilekroć wybierali się na krótki spacer z Kuleczką, przypominał im, co czaiło się w leśnych ostępach.

Niepokój... oraz sny – o stawie, o śniegu i nadciągającej śmierci, bo te przychodziły teraz noc w noc. I noc w noc Oda budziła się ze

ściśniętym gardłem, drżąca i mokra od potu.

Aż wreszcie nastał dzień, na który długo czekała.

Wcale nie musiała wstawać aż tak wcześnie, lecz na samą myśl o upragnionym końcu uwięzienia i beczynności pościel zaczynała ją parzyć. Tym sposobem świt zastał Ode, wykąpaną już i ubraną, na zacieklej walce z włosami, odzwyczajonymi od prób okiełznania na tyle, by mogła się pokazać ludziom, nie budząc przy tym niezdrowej sensacji. Gdzieś w międzyczasie, popijając stygnącą kawę, obudziła Bazyla, sprawdziła, czy spakował torebałkę, obudziła go znowu, tym razem skuteczniej, i przyszykowała mu kanapki z serem, rzodkiewką i sałatą.

Michałko stawiał się punktualnie i równie punktualnie zajechał pod przychodnię.

Przez całą drogę telefon w kieszeni jej kurtki nie tyle wibrował, ile wpadł w drgawki od niekończących się powiadomień. Gdy tylko znaleźli się w zasięgu telefonii komórkowej, zaczęły napływać dziesiątki zdjęć i filmików, które przez święta przysyłała jej Agnieszka. Portrety, selfiki, pejzaże. Halszka na tle gór, Agnieszka na tle gór, Tomek na tle gór, góry na tle Tomka, cała trójka razem w przeróżnych pozach i konfiguracjach – a to przy choince, a to na nartach, a to po nich, przy parującym na mrozie grzańcu. W drodze do przychodni Oda, puszczając mimo uszu paplaninę Michałki i czorta, którzy próbowali ustalić, na jakim poziomie trudności będą grać, eksperckim, mistrzowskim czy katorżniczym, przeglądała kolejne ujęcia i wyobrażała sobie, jak wyglądałaby fotorelacja z ostatnich dwóch tygodni jej życia. Oda z szuflą, selfie, w tle malowniczy zachód słońca ponad czubkami drzew. Oda z antybiotykiem, zagrzebana w pieleszach i uroczo rozczochrana, odpowiednio dobrany filtr maskuje chorobliwą bladość i przekrwione od kaszlu oczy. Oda pochylona nad rogotym demonem, dwie kontrastujące postacie, czarna i barwna, na zimowym cmentarzu. Oda zakładająca kolejne szwy półnagiemu planetnikowi...

Śnieżna firana, która dotąd statecznie opadała z zachmurzonego nieba, naraz skłębiła się i wzburzyła, jak gdyby tarmoszona niewidzialną ręką. Oda zacisnęła powieki i potarła mocno nasadę

nosa. W miarę jak jej zmarszczone czoło pomału się wygładzało, serce zwalniało, a oddech uspokajał, wiatr na zewnątrz również powoli wytracał impet. Tego nie ująłby żaden aparat, nawet milionem pikseli. Wiszący w powietrzu niepokój, gniew co rusz wzbierający w duszy... i strach, tak wiele strachu...

Wycieraczki bez trudu zmiatały śnieg z przedniej szyby, ale na pytania i wątpliwości, które coraz grubszą warstwą oblepiały umysł wiły, nie mogły już nic poradzić. Odpychała je od siebie, póki mogła, póki znajdowała jakiegokolwiek zajęcie. Przecież nie zносиła puzzli, do krośset, ale była gotowa ułożyć ich choćby pół hektara, byle ukryć się gdzieś przed własnymi myślami. I przez tych kilka dni nawet jej się udawało. Tyle że teraz wracały, wszystkie naraz. Myśli o demonie i planetniku, który na demony polował.

Na własne oczy widziała ślady na opalizującej czarnej skórze – wyraźną siateczkę świeżych ran, wypalonych, tak jak i te na dłoni Ody, dotykiem starego żelaza. Pamiętała, jak mały czort opisywał stworzenie, które tak okrutnie sponiewierało planetnika i któremu planetnik ledwo dał odpór. I co mówili kolejni pacjenci w zaciszu zabiegowego, gdy wyciągała z nich szew za szwem. Tamte słowa i obrazy składały się pomału w splątana, ponurą całość.

Ossa ją zwiodła. Wykorzystała. Ale czy aby na pewno tylko ten jeden raz? Czy wtedy, na ścieżce, Odę rzeczywiście zaatakował homen, czy jednak ona? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym więcej gryzło ją wątpliwości – czy to przypadek, że cmentarny demon zjawił się w okolicy w tym samym czasie co homen? Nie, nie wierzyła w przypadki. Zapewne Ossa stanowiła jego część. Może to jej rogi, jej szpony raniły tamtych ludzi, którzy samotnie zapuścili się do lasu lub w jego pobliże. A przed paroma dniami raniły także Rocha...

Aż zgrzytnęła zębami. Roch też ją oszukał. Z rozmysłem ukrywał przed nią ten najbardziej newralgiczny element układanki – prawdę o homenie. O czym jeszcze? Stopniowo odsuwał się coraz bardziej od Ody, a teraz odciął całkowicie. Nie odbierał, nie odpisywał. Spośród dziesiątek wiadomości, które zapychały teraz pamięć jej telefonu, żadna nie przyszła od niego.

Zacisnęła mocno powieki. Za mocno, aż łzy napłynęły jej do oczu.

– Eee...? – usłyszała tuż obok i oprzytomniała gwałtownie. Od paru minut stali na zaśnieżonym parkingu. Silnik wciąż pracował, szyby nieco zaparowały.

– Przekaz w końcu dotarł czy wymaga powtórzenia? – zapytała sucho, zanim wysiadła. Chłopak pociągnął nosem i mimowolnie musnął czoło, na którym wciąż pysznił się imponujący guz w otoczeniu zasinień i przyschniętych zadrapań.

– Ni chu... no, w sensie, że nie wymaga, psze pani.

– Dotarł? – zapytała ponownie, zerkając na tylne siedzenie.

– Tak, psze Odżinko – odparł Bazyl ze swego fotelika. Na kolanach trzymał Kuleczkę w ocieplanej psiej kurteczce i szelkach, niezmiernie zaafetowaną tą nieoczekiwaną wycieczką poza znany jej skrawek świata. – Będzemy szedłecz f domu i gszesznie grać f *Djabolo*.

– Grzecznie.

– No fłasznie tak pofjedzałem. Gszesznie.

– I tym razem naprawdę żadnego wchodzenia do lasu. Ani niezobowiązującego spacerowania tuż obok, przypadkowego przemykania skrajem czy szybkich przebieżek tylko przez ten miły zagajnik o tam – uściśliła na wszelki wypadek.

– O, w życiu, po moim trupie! – zarzekł się Michałko. – Eee... eee... znaczy...

– Żadnych trupów, żadnych obrażeń – ucięła Oda i na pożegnanie uśmiechnąwszy się blado do czorta i psiny, wysiadła z samochodu.

Tak jak przypuszczała, praca zrobiła jej dobrze na nadmiar myśli, chociaż przez następne godziny Oda nie wiedziała, w co ręce włożyć. Znajome twarze, znajome miejsca i dźwięki wywarły na nią kojący wpływ. W głębi ducha błogosławiła koleiny, którymi mogła znów poruszać się bez obaw, że zboczy w złą stronę. Tego właśnie potrzebowała – formułek i druczków, wytycznych i zaleceń, dziesiątek pytań, objawów i kodów, które bez udziału woli podsuwała pamięć. Rytuałów, które przywracały utracony ład. Cóż, przynajmniej w tej jednej kwestii mogła się zgodzić z Rochem. Rytuały były bardzo ważne.

Po świętach w przychodni roiło się od dzieci ze świeżym gilem do pasa oraz przede wszystkim dorosłych z niestrawnością i zgagą. Oda

szybko straciła rachubę, który to już wydęty brzuch obmacała. Wygłaszając mowę na temat zdrowego żywienia, zbilansowanej diety i babcinych sposobów na przejedzenie, zerknęła przelotem na zegar i jak na znak poczuła zew pęcherza. Pora na krótką przerwę.

– Proszę zaczekać – rzuciła do następnego pacjenta, który już zaglądał do środka. Drzwi zamknęły się posłusznie.

Naskrobała ostatnie zdanie, przybiła pieczętkę i właśnie miała złożyć podpis, kiedy to poczuła. Stalówka zawisła parę milimetrów nad kartką, uwięziona w znieruchomiałej dłoni.

Oda знаła to uczucie. Obezwładniające, przyprawiające o mdłości, zniechęcające. Tyle razy ją opadało... zdecydowanie zbyt często. Przychodziło, zwiastując dni pełne lęku i noce bez snu – i za każdym razem kończyło się tak samo. Kiedyś o tym rozmawiali, ona i jeszcze troje innych lekarzy na jednej z misji w jakimś zakątku świata. Ledwo pamiętała ich twarze. Była to rozmowa długa i wyboista od półsłówki i milczenia, jak gdyby nie umieli inaczej z siebie tego wydusić, przyznać się do bezradności i grozy, pełzającej przez mrok niczym wąż w poszukiwaniu ofiary. Przez lata Oda nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego wyczuwała ją wcześniej. Dlaczego, kiedy inni wciąż spali spokojnie, ona już wiedziała, że lada moment przyjdzie im stawić czoło najgorszemu. Dziś znała odpowiedź przynajmniej na to jedno pytanie. Była wiłą. Małą wiłą-szaławiłą...

*Nim skończy się czas przesilenia, weźmiesz w objęcia śmierć.*

Poderwała głowę, rozglądając się z trwogą. Ale nie, żaden kąt lekarskiego gabinetu nie krył tatusia. Drwiący głos poniósł się echem tylko po jej myślach. Jednak znajome uczucie wciąż jej nie opuszczało.

– Więc już? – szepnęła i spojrzała na kalendarz, licząc pospiesznie. W tym roku przesilenie zimowe wypadło dwudziestego drugiego grudnia. Dziś był dwudziesty siódmy, co oznaczało, że z dwunastu dni wróżebnych został jeszcze tydzień.

Szybko zgarnęła naręczę kart i wyszła na korytarz, uważnie wypatrując węża.

Ku swemu zaskoczeniu dokładnie na wprost gabinetu ujrzała Marzenkę Drzemotę. Kobieta śmiała się perliście. Obok niej, na

kolanach młodej kobiety, kiwał się łysy niemowlak w welurowym pajacu w czarno-białe paski. Wyglądał w nim jak najmłodszy i najgrubszy z braci Daltonów. Prychając, parszkając i puszczając imponujące bańki ze śliny, majtał na wszystkie strony krańcem apaszki, zwisającym tak kusząco na ramieniu Marzenki, aż trzeszczała czerwona, półprzezroczysta materia.

– O, cześć! – przywitała się Oda, zdjęta niewyobrażalną ulgą. – Ty do mnie?

– Ach, nie, ja tam. – Marzenka machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku, nie przestając się uśmiechać do malca. Berbec w pasiaku zbulgotał i gibnął się gwałtownie niczym Humpty Dumpty na szczycie muru, czym przyprawił swoją matkę o stan przedzawałowy, Marzenkę zaś i pół poczekalni o kolejny przypływ wesołości. – Wpadniesz dziś po pracy? – zawołała za Odą, która zdążyła przekazać karty pani Gieni i właśnie zmierzała do łazienki.

– Wpadnę, wpadnę! Muszę w końcu rozruszać te stare gnaty... i choć trochę odetchnąć.

Kiedy Oda wróciła do gabinetu, na korytarzu nie było już ani Marzenki, ani małego Daltona, którego bulgot dobiegał zza następnych drzwi wespół z radosnym pohukiwaniem Krzysia Lewczyńskiego. Przyczajony pacjent nie zabawił u niej zbyt długo, podobnie następni. Niestrawność, zgaga, przeziębienie, stłuczony palec – nic wielkiego. Lecz Odzie przez cały ten czas towarzyszyło uczucie, że wąż był coraz bliżej.

– Co pana sprowadza? – zapytała zgodnie z rytuałem, gdy na biurku zostały już tylko trzy karty, a po drugiej stronie blatu przysiadł facet w tweedowej marynarce. Łysiejący, gdzieś między trzydziestką a czterdziestką, o bardzo głęboko osadzonych oczach, przez co zdawał się spoglądać ciągle spode łba.

– W zasadzie to żona... – mruknął.

„Ach, klasyczny mąż żartobliwy”, pomyślała Oda i odparowała, podejmując grę:

– Aż tak dokucza?

– Życie nie daje. Powiedziała, że jak nie pójde do lekarza, to mnie zadusi poduszką.

– A za co tym razem?

Tak jak przypuszczała, facet parsknął śmiechem i przestał nerwowo miętosić chusteczkę w dłoniach, za to zaczął mówić. Z wprawą wyławiała kluczowe informacje – od dwóch dni lało mu się z nosa i łzawiły oczy, no ale wiadomo, pani doktor, jak nasz młody ma katar, to też mu się zawsze na oczy rzuca, różowe ma takie i światło go razi, i trze, no to łzawią. Zresztą katar to nie choroba. Kaszleć, owszem, kaszle. Gorączka? No, trochę, rano mu wyszło trzydzieści dziewięć i dwa, ale wiadomo, te bezdotykowe termometry to szajs, jeden pokazuje, że gorączka, a drugi, że wszystko gra, i weź tu bądź mądry, człowieku. Ogólne samopoczucie? Mogłoby być lepiej, pani doktor, ale wiadomo, święta, dzieciaki szalały, teściowa też, każdemu by sił brakowało... Oda słuchała uważnie i zapisywała w karcie wszystkie wiadome, po czym poprosiła faceta, żeby się rozebrał.

Gdy stanął przed nią, trochę skrępowany własną nagością, Oda sięgnęła po szpatułkę i poprosiła, żeby najpierw otworzył usta.

Wystarczył jeden rzut oka i już wiedziała, skąd tym razem wypełznął wąż.

\*\*\*

Dźwięk wiadomości przychodzącej poniósł się po opustoszałej przychodni.

– Pani doktor.

Oda, ubrana w kurtkę, siedziała po turecku na plastikowym krześle i ze zwieszoną głową wpatrywała się w książeczkę, którą trzymała w dłoniach. Oswobodzone włosy opadały jej na twarz ciemnymi puklami i cieniem. Skórę między palcami miała przesuszoną od mydła antybakteryjnego. Za często dziś myła ręce.

– Pani doktor.

Kciukiem bezwiednie głaskała wysłużoną okładkę z pomarańczowego plastiku. Imponujące, przyznał Krzyś, gdy pokazała mu książeczkę, którą z przyzwyczajenia zawsze nosiła przy sobie. Z pozoru niby nic, ot, plik pożółkłych kartek, w rzeczywistości zaś przepustka do każdego zakątka świata. W tym, jak się okazało, na



ulice miasteczka. Między ludzi. Albo do własnego domu.

– Pani doktor.

Z wysiłkiem podniosła głowę. Miała wrażenie, że ciąży jej ołowiem.

– Tak, pani Gieniu? – zapytała ochryple. Za dużo dziś mówiła. Choć mogło być gorzej, dużo gorzej. Bo tak naprawdę miała ochotę krzyczeć.

– Telefon.

Oda przesunęła wzrok na sąsiednie krzeselko i w tym samym momencie komórka znów zawibrowała na siedzisku. Godzina osiemnasta trzynaście. Trzy nieodebrane połączenia, siedem nieprzeczytanych wiadomości na WhatsAppie. Treść najnowszej, która przyszła właśnie teraz, wyświetliła się na ekranie telefonu, by po chwili zgasnąć razem z nim.

„Hej, co tam? Żyjesz?”, dopytywała Agnieszka. No tak, od rana nie zdążyła jej nic odpisać na te wszystkie zdjęcia.

„Żyję, Aguś, żyję”, westchnęła Oda w myślach. „I raczej będę żyć, bo mam imponującą kolekcję aktualnych szczepień, wiesz? Tak samo pewien pacjent, ojciec dwójki małych dzieci, który udawał przed samym sobą, że nic mu nie dolega. Żona truła mu i truła, więc poszedł do tego lekarza. Po części dla świętego spokoju, a po części dlatego, że to udawanie wychodziło mu jakby coraz gorzej. Przez czterdzieści minut kaszlał na korytarzu pełnym ludzi, czekając na swoją kolej. On z tego wyjdzie, nie wiem tylko, co z emerytami, co ze stadem przedszkolaków i najmłodszym Daltonem, którzy siedzieli tam razem z nim. Krzyś mi powiedział, że najmłodszy Dalton tak naprawdę ma na imię Antoś i liczy sobie niecały rok. Trochę za mało, żeby się zaszczepić przeciwko temu, co przywłókł do przychodni ten miły chory pan”.

„Uwierzysz, Aguś, że Sroka z początku się obruszył? Fuknął na mnie, że na pewno się pomyliłam i że w ogóle o co ta cała histeria. Fakt, miałam ochotę mu urwać łeb, ale jakoś się powstrzymałam. Krzyś zaraz mu wytknął, że w przeciwieństwie do mnie żaden z nich nie widział odry na oczy, a już na pewno nie w ciągu ostatnich piętnastu lat, i wtedy Sroka zamknął dziób”.

„Odra, Aguś, uwierzysz? Odra. Nie gdzieś w górskich ostępach

Ekwadoru czy Wenezueli, gdzie lekarza ostatni raz widziano w zeszłym październiku, gdy akurat przejeżdżał z wycieczką i robił ładne zdjęcia malowniczym tubylcom, żeby się potem chwalić znajomym, jaki to on obyty z kulturami. Tu, w cywilizowanym kraju w sercu cywilizowanej Europy”.

„Ale naprawdę ciekawie zrobiło się dopiero potem. Wiesz, Aguś, niby wirus odry nie powoduje długotrwałej kontaminacji pomieszczeń, ale trzeba je dobrze wywietrzyć i naświetlić lampami UV. Zdezynfekować. Poinformować ludzi, którzy siedzieli w naszych gabinetach i na korytarzu, że przyszli tu z katarem i zgagą, a być może wychodzą z potencjalnie śmiertelną chorobą zakaźną. Po rozmowie z matką najmłodszego Daltona Krzyś był blady jak śmierć na chorągwi i nawet kasztanki nie przywróciły mu kolorów. Zaraz potem wziął i pojechał do powiatowej stacji sanepidu, żeby zgłosić przypadek, a pani Gienia zamknęła przychodnię i zaczęła wydzwaniać po kolei do pozostałych pacjentów, którzy byli zarejestrowani na dzisiaj, żeby ich ostrzec. Siedzimy teraz w kurtkach, przemarznięte na kość, bo na wszelki wypadek już trzeci raz wszędzie wietrzymy”.

Schowała książeczkę z powrotem do plecaka, po czym przetarła zmęczone oczy. „Co tam?”, chciała wiedzieć Agnieszka, a sto sześćdziesiąt znaków mogło nie wystarczyć, żeby jej odpisać.

– Pani doktor, jak się nazywała ta pani koleżanka? – zapytała pani Gienia zza okienka. – Ta, która dziś u nas była?

– Drzemota. Marzena Drzemota.

Pielęgniarka przesunęła wzrokiem po ekranie komputera, a potem wstała i podeszła do rzędu szaf kartotekowych, które zajmowały całą ścianę rejestracji.

– Nie widzę tu nikogo o takim nazwisku – przyznała po paru minutach, gdy po raz trzeci przewertowała wszystkie karty pod literą D. – Na pewno jest naszą pacjentką?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, pani Gieniu, naprawdę... Ale wiem, gdzie pracuje – dodała, sięgając po telefon. – I zaraz do niej podejść.

– Pani doktor powinna się oszczędzać – wytknęła jej pielęgniarka.

– Następnym razem, pani Gieniu. – Wzięła głęboki wdech i szybko wysłała SMS-a Michałce, że potrzebuje jeszcze godziny. Nie zdążyła

nawet wyjść z aplikacji, kiedy przyszła lakoniczna odpowiedź: „Luz”.  
No to luz. – Obiecuję.

Uśmiechnąwszy się blado, pielęgniarka wróciła do dzwonienia. Oda zapięła kurtkę, upchnęła włosy pod czapką i z plecakiem na ramieniu ruszyła w stronę wyjścia. Tuż przed przeszklonym wiatrołapem, obok wieszaka na kurtki, wisiała na ścianie plastikowa kieszonka na przeróżne broszury i ulotki. Reklamy suplementów i sklepów medycznych, broszury informacyjne. Makulatura, a teraz na dodatek makulatura potencjalnie skażona, stwierdziła Oda i bez ceregieli wygarnęła zawartość kieszonki, żeby ją wyrzucić. Kilka lśniących karteluszków wymknęło się jej ręką i zgrabnym ślizgiem wylądowało pod najbliższym krzesłem.

Oda kucnęła, pochyliła się i z cichym stęknięciem sięgnęła do pierwszej uciekiniarki. I w tej pozycji została na dłużej.

Od razu było widać, że ulotka w jej dłoni różniła się od pozostałych. Każdym wykrzyknikiem, dużą literą i efektami tekstowymi, których grafik nie oszczędzał, uderzała w najwyższe tony niczym w cymbały grzmiące.

## **LEKARZE BOJĄ SIĘ PRAWDY!!!!!!!!!!!!**

Leczą, lecz nie potrafią wyleczyć.

Metody stosowane w wielu polskich przychodniach i szpitalach

**PRZECZĄ**

aktualnej wiedzy z publikacji naukowych!!!

## **PACJENCIE, WEŹ ZDROWIE WE WŁASNE RĘCE!!!**

Powiedz stanowcze **NIE!!!**

aluminium i innym metalom ciężkim

formaldehydowi

fluorowi

grzybiczy i pasożytom

stresowi komórkowemu  
antybiotykom, szczepionkom i lekom chemicznym  
zmieniającym naturalne struktury genetyczne!!!

## **WYBIERZ ŻYCIE!!!**

Pod tymi hasłami ulotka zapraszała, już spokojniejszym, drobniejszym drukiem, do rejestracji telefonicznej i korzystania z szerokiej oferty naturalnych metod terapeutycznych – dwadzieścia pięć procent taniej po okazaniu ulotki.

– Pani Gieniu...? – zawołała Oda. Podniosła się pomału, niepewna, czy zaraz nie zawiodą jej nogi. I głowa, zwłaszcza głowa, w której szumiało osobliwie i świstało, i szemrało, tak szemrało, że ledwo zbierała myśli... – Pani Gieniu, co... co to jest...?

Pielęgniarka podniosła się zza wysokiego kontuaru recepcji, żeby lepiej widzieć.

– Znowu przynieśli? – mruknęła, zobaczywszy znajomą ulotkę. – Sroka już ich stąd raz pogonił. Pani doktor wie, że on się nie certoli z oszołomami. Aż myśleliśmy, że apopleksji dostanie, tak się za nimi darł. A oni i tak wracają i podrzucają tu ten swój chłam. Liczą, że ludzie, jak to ludzie, sięgną z nudów, żeby jakoś zabić czas. – Machnęła ręką lekceważąco. – Pani doktor niech tego nawet nie czyta, szkoda oczu.

– Że szkoda, to właśnie czuję, ale co to jest?! Uzdrawianie praniczne? – czytała, choć nie dowierzała własnym oczom, a w głowie wciąż jej szumiało i szemrało. – Psychobiologia? Kąpiele magnezowe? Suplementacja... polem magnetycznym?!

– Taka już ludzka natura, że wierzą w różne rzeczy, pani doktor – stwierdziła pani Gienia bez większych emocji, acz cierpko, i usiadła z powrotem na krześle.

– Przecież to nie jest kwestia wiary, tylko wiedzy! Faktów! Co ma do tego wiara?!

Pani Gienia westchnęła i raz jeszcze oderwała się od grubego kajetu, w którym dzień po dniu, tydzień po tygodniu zapisywano wszystkie planowane wizyty w przychodni Lew-Med – choć komputer

był błogosławieństwem, które nauczyła się doceniać, w codziennym rozgardiaszu wciąż najlepiej sprawdzały się zeszyt w kratkę, długopis i korektor w taśmie. Przez chwilę wpatrywała się w tę nową, jak po cichu mawiały pielęgniarki o doktor Kręciszewskiej, odkąd się u nich zjawiała z tą swoją nieokiełznaną fryzurą, piegami i przekorą w zielonych, błyszczących oczach. Wpatrywała się w nie i wpatrywała, szukając w nich znajomej radości i czupurności, którą przez pierwsze dni mylnie brała za zarozumiałstwo i bufonadę, niejednokrotnie dopadające lekarzy, a która okazała się zdrowym dystansem do świata i samej siebie. Wszystko to zastąpiły teraz szok i złość.

Nie, nie złość. Gniew, którego z obawy przed eksplozją wołała nie ruszać.

– Jakby się tak dobrze zastanowić, pani doktor, to gdzieś u samego sedna to zawsze jest kwestia wiary – odparła łagodnie pielęgniarka. – Wiary w naukę albo wiary w cuda.

## Rozdział 14

Przez kolejne noce Oda znów śniła o stawie w głębi lasu. Siedziała na brzegu, z kolanami przyciśniętymi do piersi, do brody, mocno, jak najmocniej. Wzrok utkwiała w zdartych czubkach czerwonych trzewików. Traciła już czucie w palcach, w pośladkach, w zmarzniętym nosie, policzkach i uszach, lecz ani drgnęła. Wiedziała, że jeśli puści, choć trochę poluzuje uścisk, w mgnieniu oka rozsypie się na kawałeczki. Strzępy. Iskierki ludzkiego jestestwa.

*Mamo, a co to jestestwo?*

*Mamo?*

Nie wołała. Nie płakała. Już nie. Wyszła ostatnia łąza, pozostawiając w niej wydrażoną pustkę bez dna, w sam raz na samotność i lęk.

Więc siedziała, pusta i cicha, i powolutku sobie zamarzała.

Aż usłyszała plusk.

Wyłaniały się powoli, z widocznym rozmysłem i zaciekawieniem. Tu jedna, tam druga, trzecia, czwarta. Wreszcie piąta, kawałek dalej, skryta w cieniu drzew, które rosły na cyplu. Długie włosy, ciemne i ciężkie od wody, oblepiały nagie ciała. W blasku słońca ich skóra mieniła się i lśniła, zupełnie jak guziczki z macicy perłowej, które Oda po kryjomu wygrzebywała mamie z przybornika, żeby się nimi bawić.

Rozplotła dłonie. Były takie piękne, takie dobre. Uśmiechały się do niej i ach, jak pięknie, jakże pięknie śpiewały...

Wodnice, siostrzyce, cudne krasawice.

A śnieg wokół stawu był czerwony od krwi.

\*\*\*

Po każdej takiej nocy Oda przez cały dzień chodziła jak struta, z głową pękającą od pytań, wspomnień i sennych majaków. A była jej ta głowa teraz potrzebna jak nigdy, choć głównie na urwanie.

Pani Gienia, uporawszy się z telefoniczną misją, skupiała się na dokarmianiu Krzysia, którym targwały wielkie emocje. Z jednej strony skrzydeł dodawał mu bezbrzeżny zachwyt, gdyż na wieść o odrze w miasteczku dotąd sceptyczni pacjenci zaczęli walić drzwiami i oknami, żeby się jak najszybciej zaszczepić – przeciwko odrze, przeciwko grypie, a trafiali się nawet i tacy, którzy z rozpędu dopytywali o inne choroby, dotąd znane im wyłącznie z opowieści o czasach tak zamierzchłych, że niemal baśniowych, a ni stąd, ni zowąd znów przerażająco realne. Lecz ze strony drugiej... Ktoś tych wszystkich ludzi musiał przecież zaszczepić. I choć dorośli z zasady, acz nie bez wyjątków, które by ją potwierdzały, znosili tę procedurę o niebo lepiej niż dzieci, a już z pewnością robili to znacznie ciszej, nieustanny stres przed-, w trakcie i poszczepienny doprowadził zbilansowaną dietę doktora Lewczyńskiego do ostatecznej ruiny.

Dlatego też Oda nie była szczególnie zaskoczona, gdy w piątkowe przedpołudnie, jadąc z Michałką i Bazylem do miasteczka, odebrała telefon i po drugiej stronie usłyszała stanowczy głos pani Gieni:

– Pani doktor, pilna sprawa. Mamy pustki w zasobach.

– Ludzkich?

– To też, bo znów kocioł od rana... ale głównie to kalorycznych. Znowu był telefon z sanepidu. Pani doktor kojarzy, doktor Lewczyński ma tam kolegę, no i ten kolega...

Nie zdążyła dokończyć, bo Oda w mig domyśliła się, o co chodzi.

– Ilu?

– U nas, w gminie? Czwororo. W tym kilkulatek. W powiecie jeszcze paru.

– Jasny szlag...

– Ano jasny, jasny. Doktorostwo zaraz mi tu wpadnie w hipoglikemię.

– Doktoro... znaczy, co, Sroka też spazmuje?

Pani Gienia westchnęła ciężko, nie kryjąc szczególnie rozdrażnienia. A może to było zwykłe ludzkie zmęczenie. Ten tydzień przebiegał zdecydowanie zbyt dynamicznie.

– Doktor Sroka miał przed godziną dość... – tu nastąpiło kolejne westchnienie – ...szczególnego pacjenta. Doktor wspomniał o odrze

i szczepieniu, na co pacjent zaczął się burzyć i mu tłumaczyć, że jest skandalicznie niedouczony, bo szczepionki zawierają metale ciężkie i przez nie człowiek działa potem jak magnes.

– Człowiek – powtórzyła osłupiała Oda. – Jak magnes.

– Uhm. A potem wyciągnął ulotkę. Pani doktor kojarzy...

– Rany boskie... – Oczywiście, że kojarzyła. Wypisane z typograficznym rozmachem bzdury wraz z wykrzyknikami od razu stanęły jej przed oczami. Znała temperament Sroki, więc i tak dobrze, że skończyło się tylko na zwiększonym zapotrzebowaniu na słodkości, a nie rękoczynach. To by dopiero była woda na niejeden młyn... – Dobrze, pani Gieniu, zaraz wstąpię po drodze po coś słodkiego. Bardzo słodkiego.

– Najpierw cukiernia? – podchwycił Michałko, gdy tylko się rozłączyła, a Bazyl z miejsca mu przyklasnął:

– Och, tak-tak-tak! – zaterkotał, mało nie zwichnął sobie szczęki, po czym zakrzyknął: – PONCZKI!

Oda najpierw pokręciła głową, głęboko przeciwna takim dawkom cukru, zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że od paru dni te dwa ancymony były jedynym w miarę przewidywalnym żywiołem, jaki panoszył się ostatnio w jej życiu. Podczas gdy wiła pracowała, robiła zakupy albo wykręcała brzuchem – rzecz jasna, przez wzgląd na kręgosłup – podstawowe figury tańca orientального, mały czort i jego niańka z przypadku spędzali czas w mieszkaniu z widokiem na zakład pogrzebowy, przyklejeni do swoich padów. Może nie miała z nich wiele pożytku, ale też nie dokładali do już i tak rozbuchanego pieca. I wyjątkowo nic nie kombinowali.

– Dobrze, kupię wam te pączki – orzekła w końcu. – Tylko jakie?

– Ż różom, oczyfiszczcie!

– Albo ż toffi... – rozmarzył się Michałko. – Znaczy, z. Zyyy. Zyyyyyyy...

– Tak, załapałam.

– ...yyy. A. No... to luz.

Dopiero gdy przekroczyła próg cukierni, pod którą podjechał Michałko, zorientowała się, że przecież już tu była. Ledwo co przed tygodniem siedziała tam, przy stoliku w kącie, i gawędziła



z Marzenką. Fakt, kawę tu mieli lurowatą, pianka na cappuccino przypominała raczej zapadlisko niż czapę, za to ciasto rzeczywiście pierwsza klasa. Oda ustawiła się za ostatnim klientem. Zanim przysła jej kolej, zdążyła przyjrzeć się słodkiej zawartości dwóch lad chłodniczych i podjąć tę niełatwą decyzję.

– Poproszę dwa... hm... trzy pączki z różą, trzy z toffi, cztery eklery, cztery tartaletki z owocami i pół... kilogram tych kruchych z marmoladą. I tort czekoladowy.

– A ile kawałków? – zapytała sprzedawczyni, sięgając na półkę, na której piętrzyły się pudełka z białej tektury.

– Tort – powtórzyła Oda i nakreśliła przy tym dłonią koło, żeby rozwiąć już wszelkie wątpliwości. – Cały. Chyba przyda się pani ciut większe pudełko.

Podczas gdy sprzedawczyni uwijała się za witrynami, pakując i ważąc, a na ladzie wyrastały kolejne pudełka ze słodkościami, Oda syciła zmysły zapachem świeżego pieczywa i w zamyśleniu błędziła wzrokiem po piekarni-cukierni.

W pierwszej chwili nie załapała, na co patrzy. Zmarszczyła brwi. Niewielki ekspozytor z przezroczystego plastiku stał na końcu trzeciej witryny, latem zapewne pełnej lodów w najrozmaitszych smakach, obecnie zaś pustej i odłączonej od prądu. A w nim...

Oda zacisnęła zęby. Nie zastanawiając się nawet, podeszła do ekspozytora i wyszarpnęła z niego plik ulotek.

– Przepraszam, co to jest? – zwróciła się ostro do sprzedawczyni. Kobieta znieruchomiła z woreczkiem kruchych z marmoladą, które właśnie miała zważyć.

– No... takie ulotki... Klienci czasem biorą, wie pani. Ja tego nawet nie czytałam, to szefowa je tu...

– Szefowa, tak?

– Tak, szefowa. To może ja... pani Sylwio, pani przyjdzie! – zawołała w stronę zaplecza. – Klientka prosi.

Na widok szefowej stojącej w drzwiach Oda wyprostowała się, jak gdyby coś ją nagle ubodło. Jak gdyby całe jej ciało, jeszcze zanim rozum cokolwiek postanowił, już szykowało się do walki. Od stóp do głów pokryła ją gęsia skórka, włosy stanęły dęba, czoło ściągnęły

zmarszczki. Gwałtownie wciągnęła powietrze przez nos.

– Och, dzień dobry. – Młoda kobieta z tatuażem splotła ręce na piersi. – W czym mogę pomóc... pani doktor?

– Proszę sobie darować ten przekąs, bo nie robi na mnie wrażenia – odparowała Oda i niemal podetknęła jej ulotki pod nos. – Rośnie nam w powiecie pierwsze ognisko odry, potencjalnie śmiertelnej choroby zakaźnej, a wy rozprowadzacie te bzdury?! Jak wam nie wstyd?!

– Po-ten-cjal-nie śmier-tel-nej? – Sylwia powtórzyła z emfazą na granicy szyderstwa. – Wysypka? Katar, kaszel potencjalnie śmiertelne? Pani doktor, nie wiem, skąd pani bierze te rewelacje, ale może czas zmienić źródła na bardziej aktualne.

– Na przykład z podręcznika *Medycyny rodzinnej*, a nie z *Lecznictwa ludu polskiego* do spółki z *Zielnikiem czarodziejskim*, jak niektórzy – prychnęła Oda. – W szczególności polecam rozdział o chorobach zakaźnych, bo ma pani poważne braki.

– Tak, tak. – Szefowa machnęła wytatuowaną ręką. – Niech mi tu jeszcze pani przytoczy te pożał się Boże statystyki, według których człowiek z psem na spacerze mają po trzy nogi. Siejecie panikę, bo szukacie naiwnych, którzy polecą nafaszerować siebie i dzieci nie wiadomo czym i nie wiadomo po co, byle za ciężkie pieniądze. A silny, zdrowy organizm sam sobie poradzi z banalną chorobą wieku dziecięcego, naprawdę. Wystarczy go odpowiednio wzmocnić, a nie od pierwszego dnia życia obciążać chemią.

– Proszę to powiedzieć tym pięciu chorym, czy im teraz lżej.

– Aż pięciu? Och, no rzeczywiście, epidemia!

Oda syknęła. Z każdym słowem tej bezczelnej smarkuli coraz mocniej wzbierała w niej furia. Bolesny prąd przeszył jej ramię, poczynając od miejsca, w którym zraniły ją szpony cmentarnego demona, aż po palce, które zacisnęły się mimowolnie na pliku ulotek. Kredowy papier rozciął skórę i zaczął chłonać krew.

– Ach, za mało, żeby robiło wrażenie, tak? – warknęła. Zmrużone zielone oczy raz po raz iskrzyły się w blasku lamp, zamię na nosie czerwieniło jeszcze intensywniej na tle pobladłej twarzy. – A ile pani łaskawa sobie życzy, pięćdziesiąt? Na miejscu czy na wynos, z dostawą do izolatki na OIOM-ie?

– Ale o co pani tak dokładnie chodzi? – Kobieta najeżyła się jeszcze bardziej. – O to, że ludzie zadają pytania? Że sami szukają odpowiedzi, zamiast wierzyć na słowo byle konowałowi, bo on ma biały fartuszek, a oni nie?

Nagły łoskot za plecami sprawił, że podskoczyły wszystkie trzy – szefowa, sprzedawczyni i wiła. Wiatr już szarpał, już łomotał o przeszklone drzwi piekarni, szukając szczelin, którymi mógłby się wdrzeć do środka.

Uspokój się.

Uspokój, zanim będzie za późno.

– Na przykład o to – podjęła Oda po kilku głębokich oddechach – że przysięgałam służyć życiu i zdrowiu ludzkiemu, a teraz przez takich jak wy...

– Takich jak MY? – z impetem weszła jej w słowo młoda kobieta. – Pani doktor, jak widzę, ma potężny problem...

To wtedy pękła.

Pękła szyba w drzwiach piekarni, smagnięta przez rozwścieczony wiatr. Setki drobnych kawałeczków z brzękiem posypały się na podłogę i śnieg, iskrząc się i mieniając w blasku lamp. A wraz ze szkłem pękła Oda.

\*\*\*

– Nie! – odparł Michałko z całą stanowczością, jaką tylko zdołał z siebie wycisnąć.

Od godziny gapili się w ekran telewizora, śledząc postępy, z jakimi wyścigi samochodowe wzbogacały się o kolejną aktualizację, co nie było szczególnie pasjonującym zajęciem. Nic dziwnego, że Bazyl odruchowo zaczął kusić. Najpierw z umiarem, czyli od napoczęcia dziennego zapasu niezdrowych przekąsek. Następnie gdzieś między jednym kęsem mordoklejkowego batonika a drugim napomknął, że może daliby sobie spokój z tym czekaniem i zamiast wyścigów zapuścili coś bardziej dynamicznego – „na pszyklat jakisz szymulator ruchu drogofego f okresie okołoszfjontecznym, połofu ryp szłotkofodnych albo plonofanja kukurydzy pszy filgotnoszczy

oszemnaszcze procent... no fjesz, szeby było tak ekstremalnje”. A gdy zrezygnowany Michałko buszował na półce z grammi w poszukiwaniu czegoś satysfakcjonującego, mały czort skorzystał z okazji i przystąpił do właściwego uderzenia.

– A szkoro jusz tu szobje tak uroczu konferszujemy – zagaił niewinnie znad paczki kokosowych draży – to ja mam taki malutki interesz... No, jusz, jusz, ne ma sze czo tak fszdrygacz. Pszczesz obaj topsze fjemy, jak to sze szkonczy – stwierdził filozoficznie, obdarowując chłopaka najczarowniejszym ze swych uśmiechów. Bardziej niż zwykle przypominał wtedy Michałce wczesnego Freddiego Mercury’ego – jeszcze bez wąsów, za to z włochatą kłatą w pełnej krasie, tylko skompresowanego mniej więcej tak do metra dwudziestu. Michałko z trudem uwolnił się od wizji małego czorta pląsającego we frywolnym fartuszk, z odkurzaczem w łapce i pieśnią na paszczy. Tyle że w przeciwieństwie do oryginału śpiewał *I Want to Break Free* z wyraźnym szkockim akcentem, co dodatkowo potęgowało efekt grozy.

– Czyli jak?

– Jak szfykle, Michałko, jak szfykle...

– Spadaj na drzewo, piekielny capie. Ty wiesz, ile mi babka o to truła?! – zapytał, pukając palcem w resztki guza na czole. – Całe święta miałem przekichane, bo polazłem za tobą do tego durnego lasu.

– I pszeszyłeś pszygode życza!

– Z trudem przeżyłem!!! I ciągle mi się śnią koszmary!

– Och, takje koszmary, że idziesz pszesz mjaszteccko i jesz fate czukrofom, i masz czale lepkje paluszki, i nagle odkryfasz, że ne masz majteczek i że koszulinka letfo czy zakryfa pupczę, i fszyszczy sze gapjom na tfój... no fjesz, dyndałek?

– Eee... nie.

– Och... To... to ja tesz ne. – Bazyl uniósł kolorową paczuszkę i wsypał sobie ostatnie draże prosto do paszczy. Chrupnęła cukrowa otoczka. – Szłuchaj, może ne traczymy czasu i po prosztu uznajmy, sze jesztesz beszfolnym narzendźem f mych czortofskich łapach, czo? Takom mjentkom czasztolinom, ż której lepje i fyczynam fedle

uznanja fantazyjne kształty.

– Sam się lep i wycinaj – burknął Michałko, nieco dotknięty.

– Pogódź się z tym. Ja jestem czortem, a ty jesteś podatny na me mroczne fpyfy. To szilniejsze ot czebje.

– W sensie, że jestem takim twoim... no, tym tam... przydupasem?

– Pszytupasz. Pszytupasz... – powtórzył Bazyl, delektując się słowem szeleszczącym mu w ustach. – Tak. Podoba mi się to szłofo, trafnie ottaje szkomplifikofany charakter naszych sztoszunkóf.

– Chryste Panie...

– Chytre panje, chytre panje, fszyszczyc tylko chytre panje... Kopsznesz czypsa? – poprosił, by po chwili zręcznie pochwycić rzuconą mu paczkę. – Dżemkujem!

Nachmurzony chłopak klęczał przy konsoli, skąd patrzył spode łba na czorta, który ledwo uporał się z mdląco słodkimi drażami. Teraz jak gdyby nigdy nic nasypał sobie solonych czipsów do miseczki i przystąpił do konsumpcji, przeżuwając starannie i z nieskrywanym upodobaniem. A gdy tak patrzył i patrzył, coś, co Michałce wcale się nie podobało, powtarzało mu z wielkim przekonaniem, że jedyną siłą zdolną odwieść Bazyla od raz powziętego planu byłaby chyba tylko wystrzałowa niestrawność.

Trzeba było kupić więcej czipsów...

– No. Roszchmusz się, Michałko – wychrupał czort w połowie miseczki. – Objeczuj, się tym razem nicz nasz ne bendże bodło ani nicz. Żadnych obrażeń... f każdym raże żadnych, które żaufaszyłaby tfoja babcza. No? Fjencz jak bendże?

– Pewnie jak zwykle... – mruknął Michałko z rezygnacją. Słyszając to, Bazyl aż klasnął w słone łapki.

– Fantasztycznje! – Odstawił miszkę z czipsami i sięgnąwszy po torebałkę, którą przewiesił sobie przez oparcie krzesła, zaczął w niej grzebać z zapalem. – Tym razem poczebuje paru akczeszorjóf.

– Jakich?

– Doszcz... fymyszlnych. To czo, żałatfisz?

Michałko wzruszył ramionami.

– Żałatwić można wszystko. Od ręki czy tam z dostawą... Kwestia kasy.

Czort zastrzygł uszami.

– Fszysztko, pofjadasz...? Ale tak fszysztko... fszysztko?

– No... w sensie... że bez zboczeń, nie?

– A ne, ne, ja proszty czort jesztem. Czekał, mam tu liszte.

Michałko wziął z czortowskiej łapki pomiętą karteczkę i nie bez trudu odcyfrował, co na niej nabazgrołono.

– Srogo.

– Szrogo, szrogo – zgodził się Bazyl i odwiesiwszy torebkę z powrotem, umościł zadek nieco wygodniej na obrotowym krześle. – A terasz otpalaj to czałe *Djabolo*.

– *Diablo*.

– Jeden czort.

## Rozdział 15

Och, ile ja tu dziś widzę pasji, ile energii do rozładowania! – zakrzyknęła Marzenka żywo, gdy po skończonej pracy Oda wpadła jak wichur do szkoły tańca. Oczywiście, jak zwykle spóźniona. Kobiety z niewielkiej grupy początkującej, do której mimo chęci wciąż nie udawało jej się dołączyć, właśnie zakładały kurtki i płaszcze, zbyt pochłonięte rozmową, żeby poświęcić jej więcej niż kilka przelotnych spojrzeń. Z głośniczków dobiegała przyciszona muzyka.

– Nie mów do mnie przez chwilę, dobrze? – rzuciła Oda przez zęby.

– Ale...

– NIE MÓW.

Cisnęła z furją plecak w kąt. Czapka, szalik. Kurtka, z której ledwo sprąła własną krew – rękaw wciąż straszyl nieudolnie zacerowanymi dziurami. Sweter. Jeden but, potem drugi. Kolejne rzeczy lądowały w kącie, aż została w samych dżinsach, skarpetkach i koszulce. Mimo to wciąż miała wrażenie, że zaraz ją rozsadzi od tego wewnętrznego gorąca, które w niej buzowało. Jak gdyby miała w sobie wulkan, który właśnie obudził się do życia. Ledwo za grupą zamknęły się drzwi, Oda okręciła się na pięcie i spojrzała w twarz zaintrygowanej Marzence.

– Powiedz, czy mnie coś ominęło? – zapytała bez ceremonii. – Bo wiesz, w świecie, w którym obracałam się przez ostatnie lata... wiesz, tym rzekomo zacofanym, bez prądu i bieżącej wody, może kojarzysz?...

– Aha... – przytaknęła Marzenka, czekając na ciąg dalszy.

– ...więc tam na hasło, że dzięki jednemu ukłuciu można oszczędzić sobie śmierci w dość przykrych okolicznościach, w kolejce do szczepienia ustawiała się cała wieś. Bo cała wieś dokładnie kojarzyła, jak wyglądają te okoliczności i że może jednak lepiej nie... Ach, właśnie. Czy ty się szczepiłaś przeciwko odrze? Bo jak mi powiesz, że nie...

– Pytałaś mnie o to już cztery razy – odparła niewzruszona Marzenka. – Nie, nie szczepiłam się, lecz bez obaw. Miałam styczność z każdą chorobą zakaźną wieku dziecięcego. Możesz angstować dalej.

Oda uniosła rękę, lecz zaraz opuściła je bezradnie.

– A tu się nagle okazuje, że fakty, badania i analizy nic nie znaczą. Albo taki konsensus naukowy. Bzdura, nie konsensus! Albo to, że jestem lekarzem, że latami zdobywałam wiedzę i doświadczenie, że robię to nieustannie, że składałam przysięgę! Przysięgę! Służyć życiu i zdrowiu ludzkiemu według najlepszej mej wiedzy... – Urwała, jak gdyby zbierając siły, żeby powiedzieć na głos to, co w głębi duszy nie dawało jej spokoju od dawna. – Tyle że tutaj to wszystko jest warte tyle, co brud za paznokciem. Cały mój trud, nauka, starania. Bo jedna pani drugiej pani powiedziała, że lekarze to banda chciwców i konowałów, że chemioterapia nie leczy, tylko dobija, a chorób wcale nie powodują patogeny, mutacje genetyczne czy zaburzenia hormonalne, tylko, uwaga, długo tłumione emocje!

– Cóż... Lekarze chyba są zgodni, że długotrwały stres może prowadzić do pewnych schorzeń?...

– Tak, ale nie do krztuśca!!! – wrzasnęła Oda, a potem aż złapała się za głowę. Jej dłonie na moment utonęły w płataninie ciemnych, ciężkich od wilgoci pukli. Nie było widać, jak bardzo się trzęsły. – Nie rozumiem. Nie rozumiem. No nie rozumiem i już!

– Właśnie widzę, że nie rozumiesz, ale czego dokładnie?

– Ludzi! – zakrzyknęła. – Nie rozumiem ludzi, co się z nimi dzieje? To... to jakiś zbiorowy amok czy co? Potruli się sporyszem? Gaz się gdzie ulatnia? Dwudziesty pierwszy wiek, przeszczepiamy twarze, drukujemy protezy kończyn na drukarkach 3D, operujemy dzieci jeszcze w łonach matek, ale szczepić nie, nie będziemy, po co szczepić, organizm sam sobie poradzi! No, może nie każdy, ale mówi się trudno, w końcu producenci trumien też chcą z czegoś żyć. Co się, do jasnej cholery, wyprawia z tymi ludźmi?!

– Obawiam się, że nic nowego... – odparła Marzenka w zamyśleniu. Po chwili otrząsnęła się jednak, klasnęła energicznie w dłonie i uśmiechnęła się do wzburzonej Ody. – No, nie ma co stać, trzeba brać się do dzieła. Bo zaraz mi się tu zepniesz tak, że cię do końca



świata nie rozluźnię. Raz-raz!

Podkreśliła głośność i brzękliwe, płomienne dźwięki znów wypełniły niewielką salę.

– Widzisz, z ludźmi to jest tak – zaczęła Marzena, rozprostowując wielobarwną chustę, którą przy skraju zdobiły dziesiątki małych dzwoneczków, podczas gdy Oda dreptała, gięła się przy drabince i rozgrzewała mięsień za mięśniem. – Wydaje im się, że posiadli już całą mądrość tego świata. W końcu polecili na Księżyc, sklonowali owcę i okiełznali atomy, prawda? A tak naprawdę, tak w głębi ich kruchego, splątanego jestestwa, wciąż rządzą nimi dokładnie te same mechanizmy co pięćset czy tysiąc lat temu. Gdy nie wiedzą, co kryje cień, pozwalają wyobraźni zapełnić go potworami. Tyle że kiedyś były to różne rogate lica i zwidy, a dziś... – Machnęła ręką. – Zresztą pora też nieszczególnie sprzyja rozumowi, widzę to nawet po tobie.

– Co masz na myśli?

– Zima. Ciemność... – Wskazała za okno, po czym dodała: – Rozumiana metaforycznie, ale i dosłownie.

– Błagam. No... no błagam! – powtórzyła Oda, truchtając, czym wzbudziła wesołość Marzenki.

– Nie błagam mnie, tylko słuchaj – odparła ze śmiechem kobieta. – Niegdyś wierzono, że podczas zimowego przesilenia, kiedy słońce zostaje pożarte przez ciemność, do głosu dochodzi największe zło. Klasyczny przesąd, prawda? Ale jak się tak zastanowić... może tak naprawdę nie chodzi wcale o żadne tam diabły, smoki, upiory czy wiedźmy, tylko o tę mroczną stronę ludzkiej natury? Tę, którą Jung nazywał Cieniem.

– Podświadomość?

– Popędy, negatywne uczucia, myśli i czyny. Czyli to, co w życiodajnym blasku słońca z powodzeniem wypieramy, umiemy okiełznać, podporządkować rozumowi, lecz gdy zapada ciemność... Stany lękowe, stany depresyjne – zimą, im krótszy staje się dzień, tym bardziej to wszystko przybiera na sile, prawda? Czujemy się wtedy słabi, chorzy, atakowani przez dziwną, złowrogą obecność, która czai się w mroku. A mrok jest wszędzie. Wstajemy rano – ciemność, wychodzimy z pracy – ciemność, wokół nas, ale też i w nas. Co rusz

zalewa nas nieuzasadniony gniew, agresja, mamy ciągle pretensje do świata.

Oda parsknęła, przerywając rozgrzewkę.

– Przecież to żadna magia, tylko czysta fizjologia. Naukowy fakt. Mówimy o naturalnych skutkach niedoboru światła słonecznego. Senność, przewlekłe zmęczenie, spadek odporności – wyliczała – pogorszenie nastroju, problemy z koncentracją, nadmierna drażliwość... Nawracające epizody reakcji depresyjnej, depresji psychogennej, depresji reaktywnej, zaburzenie depresyjne zależne od pory roku, kod ef trzydzieści trzy.

– Mówimy o czasie przesilenia – poprawiła Marzenka. – Na to już kodu nie znajdziesz.

– Więc... co? Jak się temu przeciwstawić?

– Przeciwstawić? Och, nie, dlaczego mielibyśmy się przeciwstawiać temu, co leży w naturze człowieka? W naturze świata? Nie, nie, Odo. Już ci to kiedyś tłumaczyłam. Wcale nie chodzi o to, żeby się przeciwstawiać naturalnemu porządkowi rzeczy, tylko do niego powrócić. Dopuścić do głosu, pamiętasz? Z całym jego dobrodziejstwem.

– Dobrodziejstwem?! A co to za „dobrodziejstwo”, kiedy ludzie odrzucają wiedzę, do której przez stulecia z takim mozółem dochodzili, żeby nie mrzeć jak muchy?!

– Nie ma dymu bez ognia. Czy tego chcesz, czy nie, komuś zawsze przypadnie rola muchy... No ale sama pomyśl. Zamiast mieć się sztucznym blaskiem żarówek, żyć wedle dyktatury wskazówek, zrywać się i zasypiać na bezwzględny rozkaz budzika i borykać się z sezonowymi zaburzeniami za pomocą pigułek, czy nie lepiej by było odzyskać ów rytm, który w ludzkich ciałach zapisał wszechświat? Dzień i noc, światło i ciemność, życie i śmierć... To naprawdę bardzo proste.

Oda uniosła brew.

– Krótko mówiąc, chciałabyś postawić cały cywilizowany świat na głowie?

– Nie byłby to wcale pierwszy raz, Odo urocza – odrzekła Marzenka z powagą. – Natura dość regularnie przypomina ludzkości,

gdzie jej miejsce, stawiając na głowie świat. I ten cywilizowany, i ten barbarzyński, i wszystko pomiędzy. Niestety, ludzkość wciąż nie wyciągnęła z tego żadnych głębszych wniosków na przyszłość.

– Bez przesady. Kilka zagrożeń udało nam się jednak wyeliminować. Na przykład polio. Albo ospę prawdziwą. Albo azbest! Poza tym zapinamy pasy, wozimy dzieci w fotelikach, przewidujemy ekstremalne zjawiska pogodowe, przetwarzamy coraz więcej śmieci...

– Och, tak, to wszystko prawda, co mówisz – przerwała jej Marzenka. – Sęk w tym, że ludzie wciąż nie pogodzili się z samą istotą swego istnienia.

– Czyli z czym?

– Z tym, że przeznaczeniem człowieka, czy sięgnął dna, czy gwiazd, zawsze była, jest i zawsze będzie śmierć. A to, co wydarzy się po drodze, w ostatecznym rachunku tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Z prochu powstałeś... i tak dalej.

Zapadło milczenie. Długo stały naprzeciw siebie, tak podobne, a przy tym tam różne jak ogień i lód, dwa żywioły z dwóch skrajów jednego spektrum. Muzyka w tle, wielobarwny blask lamp i spokój Marzenki działały kojąco na wzburzoną Odę.

– No? Wydusisz z siebie, co cię tak dzisiaj ubodło, że masz serdecznie dosyć ludzkości, chociaż wyeliminowała polio i azbest?

– Zrobiłam awanturę w miejscu publicznym – przyznała w końcu wiła. – Naprawdę, naprawdę karczemną...

– Jesteś tylko człowiekiem – stwierdziła Marzenka. Z wprawą przewiązywała Odę w pasie kolorową, pobrzękującą chustą.

– Nie, ja nie... Nieważne. Nie wytrzymałam. Zawiodłam. Straciłam nad sobą panowanie i...

Marzenka spojrzała na nią ze współczuciem.

– Och, Odo urocza, siostrzyco ty moja cudowna... – Potrząsnęła białowłosą głową, po czym sięgnęła pod kontuar. – Ostrzegałam cię przecież, że to, co ujarzmione, w końcu musi wyrwać się spod kontroli. Pogódź się z tym wreszcie.

– Z czym?

– Z tym, że ty również czegoś nie rozumiesz, nie pojmujesz, nie ogarniasz. – Gestem łagodnym, niemalże czułym, Marzenka ujęła jej

nadgarstek i zapięła na nim bransoletkę ze starego mosiądzu. Do prostego łańcuszka doczepionych było pięć dzwoneczków. Choć tu i tam ich powierzchnia była zmatowiała i porysowana, wciąż brzęczały dźwięcznie. – Z tym, że rządzi tobą coś więcej niż rozum, coś o wiele potężniejszego. Z tym, jak w rytm natury i upływającego czasu zmieniają się twoje ciało i duch. Zaufaj im. One dobrze wiedzą, co robią. A teraz przestań walczyć... i tańcz.

Głośniki umilkły ledwie na ułamek sekundy, by naraz eksplodować brzękliwym, jękliwym dźwiękiem.

Odeń aż przeszył dreszcz. Czują go w palcach dłoni, w podeszwach stóp, czują, jak się rozprzestrzeniał, jak wnikał w jej ciało, budząc komórkę za komórką, porywając do tańca.

Ruszyła.

Tak jak wtedy, późnym latem, na leśnej polanie, przy dźwiękach hipnotyzującej czortowskiej muzyki, gdy obudziła się w niej wiła.

Tak jak wtedy – lecz zupełnie inaczej.

Bardziej.

Mocniej.

Szybciej.

Rytm, rytm, rytm.

Dudnił w uszach, w skroniach, w sercu, dudnił i tętnił, tętnił, tętnił życiem, wiatrem i furją.

Niepohamowaną, nieprzemogłą, nieokiełznaną.

Tańcz, Odo.

Tańcz, wiło.

Mała wiło-szaławiło.

Brzęczały dzwoneczki u pasa i dłoni, brzęczała muzyka, brzęczało szkło, szkło chrzęszczące pod stopami, chrzęszczące wraz ze śniegiem, śniegiem roziskrzonym, pięknym i czerwonym jak krew.

Szybciej.

Mocniej.

Bardziej.

Jęk i tęsknota, brzęk i moc. Jeden po drugim puszczały hamulce, puszczały tamy, obnażając czyste, nagie emocje.

Namiętność.

Gniew.

Pasję.

Szał.

Widziała, że Marzenka też tańczy bez pamięci, z czerwoną apaszką rozpostartą wysoko nad głową. Lśniły srebrne i złote nici, a czerwień to wiła się, to łopotała. A ona wirowała wciąż i wciąż, chłonąc łąpczywie kaskadę dźwięków i barw. Wirowała, aż zaparło jej dech, lecz nie przestawała, bo nie mogła, nie chciała przestać. Nie była już człowiekiem, nie była już wiłą, lecz szalała o oczach urocznych, oczach ognistych, roziskrzonych, mieszających zmysły.

Tańczyły więc siostrzyce tanecznicze, tańczyły ile sił w nogach, w sercach, w duszach, aż w końcu przyszło wyzwolenie. Iskra i wiatr, który rozbuchał płomień.

Oda zadarła głowę i roześmiała się w głos.

Niech kłamią.

Niech zwodzą.

Ludzie. Demony.

Ossa i Roch.

Niech polują na siebie w ciemnościach, aż popłynie krew. Aż ostatni dech wraz z ostatnim krzykiem zamrze na ustach.

Czyich?

Nieważne.

Skoro chcą, niech i tak będzie.

Ona nie będzie się wtrącać.

Już nie.

W końcu muzyka umilkła. Po niej umilkły dzwonki i Oda poczuła, że całe jej ciało aż drży z wysiłku. Jak długo tańczyła? Nie potrafiła powiedzieć, bo wraz z opamiętaniem straciła także poczucie czasu. Lecz gdy w końcu się zatrzymała, zdyszana i zgrzana, podniosła głowę i ujrzała swe odbicie w lustrze. Znamię czerwieniące się na twarzy, która jaśniała niezwykłym blaskiem. A w niej – oczy zielone, roziskrzone, oczy uroczone, w nich zaś triumf, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała.

Zerwała z siebie chustę, po czym sięgnęła do nadgarstka, żeby zdjąć też bransoletkę z dzwoneczkami, lecz wtedy Marzenka złapała

ją za dłoń. Spojrzały na siebie w lustrze.

– Zostaw – rzekła z uśmiechem w oczach jasnych jak lód. – Teraz należy do ciebie, moja ty roztańczona Odo. Będzie ci przypominać o tym, co czułaś, gdy znów dopadnie cię ef trzydzieści trzy.

\*\*\*

– To ne jeszt tak, jak myszysz! – uprzedził Bazyl, kiedy Oda stanęła w drzwiach i wzięła się pod boki.

Pochłonięci swymi knowaniami, czort i jego niańka nie usłyszeli ani dzwonka, ani pukania, nawet gdy przeszło w energiczny łomot. Jakimś cudem umknęło im również, że Oda w końcu sama wprosiła się do mieszkanka i przecisnęła zagraconym korytarzem, podążając za ich podekscytowanymi głosami.

Kuchnia przypominała teraz coś pomiędzy pracownią szalonego alchemika z awersją do organizacji przestrzeni a królestwem niezrównoważonego mistrza sztuki kulinarnej typu *chaotic evil*. Stolik pod oknem zawalony był dziwnymi wężykami, rurkami i naczyniami, spośród których dumnie sterczało coś, co wyglądało trochę jak maszynka do mielenia mięsa. Wszędzie na podłodze walały się puste papierowe torebki, a nad całym pobojowiskiem unosił się dziwny pył. Ustrojony w fartuch z falbaną Michałko mieszał drewnianą łyżką w wielkim garze, który ledwo mieścił się na kuchence gazowej, podczas gdy Bazyl, przykucnąwszy obok na szafce, mierzył właśnie z uwagą temperaturę zawartości. Wystarczyło, że Oda raz pociągnęła nosem. Woń goryczkowego chmielu, słodu i drożdży nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do charakteru tego przedsięwzięcia.

– Sądząc po woniach i osprzęcie, myślę, że warzycie tu piwo – odparła sucho.

Bazyl cmoknął, zafrasowany.

– A. Aha. No... no to f sumje nafet topsze myszysz... Lemon ipa! – dodał z dumą, w okamgnieniu odzyskawszy rezon. – Ż fyrażnom goryczkom, acz orzeźfajonce – podkreślił.

– Ipa sripa, czy was już doszczętnie pogrzało?!

– A czo, wolałabysz kofi ształta? Nafet mamy takom mjeszanke!

– No... ja się trochę oparzyłem – przyznał Michałko znad gara. Odwrócił się do Ody i zaprezentował czerwony ślad wzdłuż kantu prawej dłoni. – Ale już prawie nie boli i... i... iii...

I na tym koniec – trybiki znieruchomiały, jak gdyby ktoś odciął zasilanie całej tej maszynerii, która odpowiadała za procesy myślowe Michałki Rudnickiego. Fakt, może nie były to procesy zbyt skomplikowane ani też natężone, może też zawiodły niejedne nadzieje, zwłaszcza w okresie szkolnym, jednakże były. A przynajmniej były aż dotąd, gdyż wystarczyło jedno spojrzenie, by nie został po nich choćby ślad.

Gapił się na ten cud wcielony, na tę krasawicę – choć gdyby go zapytać, co to w ogóle takiego ta krasawica, pewnie by się oburzył, że krasawicę to on ostatnio miał w przedszkolu i od tamtej pory myje głowę już naprawdę codziennie! Patrzył tak więc i patrzył, i leży się w nim myśli otumanione, myśli bez ładu i składu, co do jednej urzeczona Odą, dotąd całkiem zwyczajną, choć bardzo sympatyczną, a nagle tak promienną i zjawiskową – nade wszystko zaś urzeczona jej wielkimi oczami o kształcie migdałów, zieleńszymi niż najzieleńsze szmaragdy. Oczami, które zamiast iskier zdawały się teraz kryć w sobie błyskawice...

– Naaa... aaa... – wyrwało się wreszcie z ust chłopaka.

Skonfundowany Bazyl pomachał mu przed twarzą termometrem, próbując jakoś wyrwać Michałkę z niezaprzeczonego otępienia.

– Eeee... Michałko? Michałko, co tobje?... Och, Odżinko, czy to pszesz tokszyczne opary? Może... może on ne toleruje glutenu?

– Naaaa... – stęknął chłopak raz jeszcze, po czym spurpurowiał i naraz eksplodował poezją, acz na wyraźnie muzyczną nutę: – „Naaa głowie ma kraśny wiaaaneek, w rękę zielony badyyyleek, a przed nią bieży baraaaneek, a nad nią leci motyyyleek!”

Mały czort obrzucił swego kompana kolejnym podejrzliwym spojrzeniem, rozważając, czy obrazić się za tego baranka, czy jednak nie, bo coś mu mówiło, że to o nim, ten zaś kontynuował, wciąż z tym samym otumanieniem w głosie i wzroku:

– „Na baranka bez ustanku woła: baś, baś, mój baranku...”

– Oszalał – orzekł Bazyl stanowczo, na co Oda prychnęła:

– Z tobą? Nic dziwnego, i tak długo wytrzymał. Zbierajcie się.  
– Baś, baś, baś...  
– Ale-ale-ale zaczer! – zaprotestował czort.  
– Zaraz ci dam taki zacier, że ci górna fermentacja wyjdzie uszami!  
Zbierać się, ale już!

Z tymi słowami odwróciła się i opuściła mieszkanie, ucinając dalsze dyskusje. A z Michałki jakby kto zdjął zaklęcie. Potrząsnął głową i rozejrzał się z podejrzliwością.

Pożegnawszy czule zacier, Bazyl szybko spakował torebkę i przywdział norweski sweterek, szaliczek i czapę z pomponem, po czym zeszli razem do samochodu, przy którym czekała już Oda. Przyciskała do piersi plecak i w zamyśleniu spoglądała w niebo ciężkie od chmur, a płatki mokrego śniegu lśniły w jej ciemnych włosach. Już całkiem otrzeźwiały Michałko odwiózł ich czym prędzej do domu, przez całą drogę starając się nawet nie zerkać w kierunku kobiety na siedzeniu obok. Tak na wszelki wypadek.

Gdy Oda wróciła z krótkiego spaceru ze stęsknioną Kuleczką, mały czort uwalniał się właśnie z ostatniej warstwy wełny i akrylu. Z rękami hardo splecionymi na piersi wiła stanęła przy kuchni, w której coraz żwawiej trzaskał dopiero co rozpalony ogień.

– A teraz mów – zażądała.  
– Ale czo...?  
– Najlepiej prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Chcę wiedzieć, co tu się wyprawia. Bo że się wyprawia, to pewne. Mnie nie zwiedziesz.  
– Och, ne byłbym tego taki...  
– BAZYLU!

Jak nie szurnęło! Kuleczka pisnęła i wystrzeliła przed siebie na trzech łapkach, jak najgłębiej pod stół, żeby ukryć się przed wietrzyskiem, które zawirowało ni stąd, ni zowąd. Równie zaskoczony Bazyl kwiknął i fiknął w tył, gdzie już czaił się na niego podstępny kosz. Czortowskie kopytka oderwały się od podłogi, zadek z podkulonym ogonkiem przysiadł ciężko na wiklinowym brzegu i przeciążony kosz stanął dęba, zasypując Bazyla lawiną kocyków i poduszek.

Na moment w domu zapadła głucha cisza.



– Fjesz, zrobiłasz sze osztatnjo nezmjernje gfałtofna – oświadczył Bazyl i nawet gruba warstwa tekstyliów, która go przytłaczała, nie zdołała stłumić urazy w jego głosie.

Wiła przewróciła oczami. Zamknęła palenisko i podeszła do czorta.

– Owszem – rzekła, nachylając się i pociągając za kocyk tam, gdzie wydawało jej się, że dostrzega czortowskie rogi – więc lepiej sobie ze mną nie pogrywaj. Bo jak chuchnę i dmuchnę, to źle skończysz, moje małe koźlątko. Mów w tej chwili, co kombinujesz. Bo kombinujesz ostatnio jak koń pod górę, nawet nie próbuj zaprzeczać.

Czort odpowiedział jej seria nabzdyczonych cmoknięć.

– To fczale ne są żadne kombinacje – odparł wreszcie. – Tylko poszukifanja. Takje bardziej... terenofe.

– Dobrze. A czego konkretnie poszukujesz w tym terenie?

– No... no tak najogólnej, to... szebje.

Włochate łapki wyplątały się pomiędzy kocyków i uwolniły rogaty łeb razem z zafrasowanym pyszczkiem.

– Ne fjem, kim jesztem, Odżinko. No... no fjesz. Tutaj, f szfecze ludzi. No i f tfojim życzju. F pjekle to fjedzałem, czo robicz, ale zemja to ne pjekło, zupełnie inny kontekst, okolicznoszczy, klimat, konfenansze... Ne do koncza sze f tym odnajdujem. A sze jesztem czortem bardzo uczynnym, ot pefnego czasu drenczyła mnie szilna poczeba bycza... czymysz bardziej sztefinjofanym.

– I przez tę byczą potrzebę poprosiłeś Rocha, żeby zdobył dla ciebie *Wielką xięgę demonów i poczwar*?

– Tak! – Mały czort aż zatupał z radości. – Fłasznje tak-tak-tak!

– Nie terkocz tak, bo sobie w końcu zwichniiesz szczękę. A nie wiem, czy znajdę ortodontę ze specjalizacją weterynaryjną.

– No fjencz – podjął Bazyl, kiedy już poruszył parę razy zuchwą to w jedną, to w drugą stronę i upewnił się, że zawiasy go nie zawiodą – no fjencz zacząłem szukacz dla szebje jakiejsz nofej roli. Ne jesztem szczególnie fykfalifikofanym czortem i...

– Przepraszam, jakim...?

– Fykfalifikofanym. Ofszem, oteprałem szolidne fykształczenie ogólne, fjencz umjem f to czałe tradycyjne czortofanje, czyrografy i tak dalej, ale f dzisiejszych czasach jusz ne fysztaarczy łązicz f

nemeckim fraczku i szukacz naifnych. Ten byżnesz pszejeły profeszjonalne infolinje, a tam czeba mjecz dykczej. Szama rozumjesz. Rozumjała.

– Dlatego pomyslałem szobje – ciągnął Bazyl – sze szengne do źródeł piszanych ż bardzej luczkej perszpektyfy i poszukam czegoz nofego, fjesz, bardzej akceptofalnego szpolecznje, f czym mógłbym sze tesz szpeńcz. Podobno djabły najlepej szprafdżajom sze f byżnesze, ale ja kompletnje ne mam farunkóf na byżneszmena...

Oda słuchała. Pomału, skrawek po skrawku, z wydarzeń ostatnich tygodni oraz tłumaczeń małego czorta wyłaniał się spójny, acz nie do końca jeszcze zrozumiały obraz. Sens, który była już w stanie uchwycić.

– Czyli kiedy z takim uporem łąziłeś całymi dniami po lesie, to było właśnie dlatego? Przez te twoje poszukiwania?

– Uhm. Nesztety, okazało sze, że kjepszka że mnje błędnicza... – Bazyl westchnął rozdzierająco, aż mu się wstrząśnięty koczek przekrzywił. – Prafde mófjoncz, błędziłem głófnje szam. Tylko Michałko dał sze szfjeszcz... ża to asz dfa raży! Próbofałem tesz bycz nocniczom, ale fjesz, sze ja żafsze żaszypjam f połofje fjeczornej bajeczki. Potem był pjeczuch, ale na pjeczu mi ża goronczo, żdeczydofanje fole szfój koszyczek. Na mogilnika szę ne szdeczytofałem, ża nicz ne poszetbym szam na czmentasz!

– Błędnicza, nocnica, piecuch, mogilnik... – szybko przełożyła sobie z czortowskiego na ludzki. – A dzisiaj?

– Pifosznic! Szfetna szprafa, pojmem czy, Odżinko, acz kosztofna. Fłasznie, jesztem fynjen Michałcze neczo... neczo duszo. Ża szurowjecz i szpszent.

Uśmiechnął się przepraszająco, lecz Oda nawet nie zwróciła uwagi na jego wyszczerz, bo intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– Czekaż no... a kiedy wystraszyłeś tamto stado dzików na początku listopada...?

– Paszkuda żalotnik – przyznał mały czort i dałaby głowę, że zarumienił się przy tym pod sierścią.

– Och... Och, Bazylu!

– No czo... Jesztem prafje pefjen, że ta locha puszczyła do mnje

oko! Mjała klasza raczyczki – dodał jeszcze, lecz Oda znów nie słuchała, zatopiona we własnych myślach. Odruchowo postawiła czajnik na kuchni, wyciągnęła kubki i puszkę z herbatą. Zastygła, z nieobecnyim spojrzeniem i łyżeczką w dłoni, i trwała tak, dopóki gwizd gotującej się wody nie wyrwał jej z tego stanu.

Wtedy odwróciła się do czorta, który dreptał w tę i z powrotem, usiłując jakoś poskładać swój kocyk.

– Okej. Rozumiem, ale... tak w zasadzie to po co to wszystko? – zapytała. – Przecież nie musisz tego robić. Nie oczekuję od ciebie żadnych usług. Jesteś domownikiem, a nie częścią wyposażenia. Nie musisz być przydatny.

– No jak to? Och, Odzinko, Odzinko... – Pokręcił rogatą głową. – Pszczesz to bardzo faszne, szeby fjedzecz, kim sze jeszt. Po czo sze jeszt i dlaczego fłasznie tu i terasz. Besh tego... jeszt sze tylko połoficznje.

Ode aż ścisnęło w gardle. Przez niemal całe dorosłe życie, odkąd wyrwała się z rodzinnego domu, nieustannie goniła. Nie wiadomo za czym, nie wiadomo po co, lecz goniła, gdy tylko zawiął wiatr, dręczona uczuciem, że znów nie była tam, gdzie naprawdę powinna. Aż trafiła tutaj. Tutaj znalazła przyjaciół i prawdę. Tutaj była u siebie. Odwróciła głowę i spojrzała przez okno na ciemny, gęsty las, który rósł za jej domem. Ale dlaczego tu? Dlaczego właśnie tu?

Przypomniała sobie tamten dzień, zaraz po śmierci matki. Wysyłała przez internet klepsydrę do miejscowej gazety i przypadkiem natknęła się na ogłoszenie o działce do sprzedania. Pod wpływem niepojętego, irracjonalnego impulsu kliknęła na miniaturkę zdjęcia i zobaczyła polanę pośrodku lasu. Od razu wiedziała, że to tu, nigdzie indziej. Jej miejsce na ziemi.

A wydarzenia następnych miesięcy tylko ją w tym utwierdziły. Odnalazła spokój. Poznała Rocha – ogrodnika, planetnika, przyjaciela. Uratowała kaleką Kuleczkę, porzuconą na pewną śmierć w rowie pod lasem. Potem z piwnicy – jedynej pozostałości po niesamowitym domu, który stał tu wcześniej, dopóki nie spłonął – wyszedł ten oto mały czort z wadą wymowy i rozgościł się na dłużej. Wkrótce w ślad za synkiem wychynał tatuś, równie rogaty, acz sporo większy

i nastawiony o wiele mniej przyjaźnie. Tamtego ranka obudziła się w niej wiła, by bronić swojego domu, swojej rodziny, ramię w ramię z planetnikiem.

I gdy Oda sądziła, że to już koniec niespodzianek, że może odetchnąć, bo nic więcej jej nie zaskoczy, odkryła, że ludzie, których przez całe życie nazywała rodzicami, w rzeczywistości ją adoptowali.

Ale wciąż nie знаła odpowiedzi na pytania, które postawił Bazyl. Kim była? Człowiekiem? Wiłą? Szaławiłą? Czy może jednym i drugim, i trzecim, po trochu albo na zmianę? I po co?

Drwiący głos cmentarnego demona dobiegł z głębin wspomnień i aż wprawił jej serce w drżenie. „Wyglądasz jak człowiek. Zachowujesz się jak człowiek. I myślisz jak człowiek”. Tak też zawsze się czuła, nawet gdy po raz pierwszy obudziła w sobie wiatr, aż... aż do teraz. Poruszyła delikatnie lewą ręką, brzęknęły miedziane dzwonki. Tak jak życzyła jej tego Marzenka, ich cichy dźwięk natychmiast przywołał tamten taniec wraz z ogromem emocji, które mu towarzyszyły. Poczucie pełni. Mocy. Sprawczości.

Może miała rację? Marzenka, gdy mówiła o wyzwalającej mocy tańca, o tym, że musi dopuścić do głosu tę cząstkę, która czyniła ją właśnie tym, kim była, i w końcu się z nią pogodzić. Lecz nie tylko ona, Ossa też. No i Bazyl. Może nadeszła pora uzupełnić braki, odkryć, kim była i dlaczego?

Odwróciła się od okna. Na jej ustach igrał uśmiech.

– Odżinko, a czy sz tobom fszysztko w poszontku? – zagaił ostrożnie Bazyl. – Zmjeniałasz sze osztatnjo. Tfasz czy otmłotnjała, oczy błyszczom, chodżisz czała taka lekka i nafet fłosy masz jakesz takje jakby... bardżej. I bije ot czebje taki fefnentszny blaszk... No... no sztrasznje szpszytłasz – wyrzucił z siebie.

– Szpszy... co zrobiłam?

– No... no żbżydłaż – wyzgrzytał z wysiłkiem, aż mu w stawach chrupnęło.

Śmiała się z jego słów jeszcze długo, tak serdecznie i bardzo, że rozboleła ją przepona. A gdy wieczór stał się nocą i pies wraz z czortem usnęli – rzecz jasna, w połowie bajeczki na dobranoc – Oda poszła po cichu do swojej sypialni i wdrapała się do najwyższej szafki.

Z zarekwirowaną *Wielką księgą demonów i poczwara* w objęciach usiadła na łóżku i po chwili kartkowania znalazła to, czego szukała.

Hasło – wiła.

## Rozdział 16

Sylwester w przychodni jak zwykle przebiegał dynamicznie. Na zewnątrz już od świtu szalała śnieżycą, a stojąca nieopodal rejestracji choinka zaczęła energicznie rozdziewać się z igliwia. Poczekalnia znów pękała w szwach od dzieci, tym razem tych, które postanowiły właśnie dzisiaj obudzić się z gorączką albo dudniącym kaszlem, oraz ich przygaszonych rodziców. Już godzili się z myślą, że snute od kwartału plany na tę noc właśnie poszły się bujać i zamiast szampańskiej imprezy ze znajomymi czeka ich maraton *Świnki Peppy* lub *Tomka* wspólnie z przyjaciółmi, turlania kostką w *Grzybobraniu* i „maaamooo, on mi zabrał!” średnio co kwadrans.

Krzyś Lewczyński, jedyny oficjalnie upoważniony do leczenia nieletnich w tym przybytku podstawowej opieki zdrowotnej, od ósmej uwijał się jak w ukropie, przyjmując wszystkie dzieci bez wyjątku. Pani Gienia na zmianę z drugą rejestratorką tylko donosiły mu nowe karty i słodycze i żartowały, że w gabinecie szefa przydałoby się zainstalować drzwi obrotowe, ot, dla oszczędzenia czasu. Z kolei doktor Sroka zwinął się w południe, życząc wszystkim głośno szczęśliwego Nowego Roku, w duchu zaś gratulował sobie, że poprzestał na internie, zamiast brnąć w specjalizację z medycyny rodzinnej, jak szef swego czasu, kiedy weszła reforma. Owszem, lubił dzieci, ze szczególnym uwzględnieniem wnuczki, która przyszła na świat zaledwie przed czterema miesiącami. Cieszył się nią jak wariat przez całe święta i już tęsknił niemożebnie, ale co tu kryć, miał swoje lata. Zmęczenie o wiele szybciej niż kiedyś dawało mu się we znaki i w takie dni jak ten coraz bardziej skłaniał się ku przejściu na wczesną emeryturę. Dlatego też ani Krzyś, ani Oda, na której barki spadli wszyscy dorośli pacjenci, nie mieli do niego pretensji o tę rejteradę.

Zwłaszcza Oda. Prawdę mówiąc, nawet nie zwróciła na to uwagi.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. Zamiast spać, siedziała na swoim łóżku, zapatrzona w mrok za oknem. Raz po raz z zewnątrz

dochodziło smętne zawodzenie wiatru, który przetaczał się przez leśną polanę, lecz wiła pozostawała głucha na jego zew. Zamiast tego myślała – o wszystkim, a jednocześnie o niczym. W tej nieustającej galopadzie, która przewijała się przez jej umysł, więcej było pytań niż odpowiedzi, wątpliwości niż wniosków. Nie, po tym, co odkryła, świat wcale nie stanął na głowie. To ona czuła się, jak gdyby coś wywróciło ją na drugą stronę.

Właśnie taka wyszła rano z domu, taka zjawiała się w przychodni. Zdawało jej się, że między nią a ludźmi nie wiadomo skąd wyrosła gruba szyba – byli tam, słyszała ich i widziała, a oni widzieli i słyszeli ją. Pytała więc, badała skrupulatnie i diagnozowała, wypisywała recepty jak gdyby nigdy nic, jak zawsze. Jakby ten dzień niczym nie różnił się od poprzednich, ona zaś wciąż była tą ciepłą, serdeczną doktor Kręciszewską co przed tygodniem czy dwoma.

Przeprosiwszy lakonicznie pacjentów, zamknęła na chwilę gabinet i zniknęła na tyłach rejestracji, żeby zrobić sobie herbaty. Każdemu jej ruchowi towarzyszył cichy brzęk pięciu dzwonek przy nadgarstku, choć dzisiaj brzmiał bardziej jak drwina niż ukojenie. Starła się myśleć o czymś nieistotnym. Na przykład o noworocznych wyprzedazach. Rzadko kupowała sobie ubrania, gdyż pod tym względem była niepoprawną minimalistką, nie dało się jednak ukryć, że potrzebowała nowej kurtki. Tak, może wybierze się w sobotę do miasta i poszuka...

– A doktora Lewczyńskiego nie ma? – usłyszała naraz zza uchylonych drzwi męski, tubalny głos.

– Jest – odparła pani Gienia – ale dzisiaj przyjmuje tylko dzieci. Sam pan widzi, co tu się dzieje. Jest doktor Kręciszewska.

– Doktorka?

Oda poczuła, że czoło przecięły jej głębokie, gniewne zmarszczki. Pani Gienia widać kiwnęła głową, bo po chwili milczenia męski głos spróbował ponownie:

– To może doktor Sroka?

– Przyjmował do południa.

– No to kto mi te nitki wyciągnie? Ja tu mam kartkę z pogotowia i tu jest napisane, na tej kartce, że mam się za tydzień zgłosić na

zdjęcie szwów. A za tydzień to jest dzisiaj!

– Więc jak pan chce się dostać dzisiaj, panie Głuszak, to tylko do doktor Kręciszewskiej. Doktor Kręciszewska ściąga szwy tak, jak pan oddycha.

– Nie, nie, ja bym z tym wolał do lekarza...

Huknął kubek, odstawiony na blat tak gwałtownie, że herbata chlapnęła nawet na ścianę. Brzęknęły mosiężne dzwoneczki, budząc moc, a ta aż buzowała w wile.

Szyba w drzwiach zadrżała spazmatycznie, kiedy Oda z zimną furią wparowała do rejestracji. Spodziewała się kogoś dużo starszego, tymczasem ujrzała za szybą mężczyznę w okularach z modnymi oprawkami, niewiele starszego od siebie.

– Pani Gieniu, dalsza rozmowa z tym panem nie ma sensu – oznajmiła, patrząc mu prosto w twarz. Kątem oka zarejestrowała jednak zaskoczenie, jakie odmalowało się na twarzy pielęgniarki. – Widać panu te nitki jeszcze aż tak nie przeszkadzają. Proszę go zarejestrować na pierwszy wolny termin u doktora Lewczyńskiego. Choć obawiam się, panie Głuszak – z kpiącym uśmieszkiem zwróciła się do mężczyzny – że nawet on nie zrobi tego jądrami, tylko sięgnie po skalpel.

Pielęgniarka aż się okręciła na krześle i z niedowierzaniem spojrzała na lekarkę.

– Pani jest nieuprzejma! – oburzył się mężczyzna w okularach, zwany Głuszakiem. – Ja się na panią poskarżę!

I jak na zamówienie zapomniana przez szefa i pacjentów księga skarg, szurając okładką o blat, wyjechała przez okienko rejestracji i zatrzymała się dokładnie na wprost niego.

– Powodzenia.

Dwóch pacjentów później do gabinetu Ody weszła pani Gienia. Położyła plik kart na biurku tym samym gestem co zawsze, lecz i tak dało się po niej poznać, że ledwo się powstrzymywała przed zruganiem lekarki, której przez dobrą minutę przyglądała się, zaciskając usta.

– Pani doktor, co się z panią dzieje? – przemówiła wreszcie.

– Co? – powtórzyła Oda, unosząc brwi. – Pani jeszcze pyta? Pani



Gieniu, ten człowiek dałby zdjąć sobie te szwy nawet pijanej małpie z brzytwą, byle tylko miała jaja. Ale nie jakiejś tam doktorce, kobiecie, której siłą rzeczy brakuje jaj, a zatem i kompetencji!

– Ale tak przecież nie można...

– Niech mi pani nie wmawia, że pani to nie wkurzyło – weszła w słowo pielęgniarce Oda. – Widziałam pani minę, pani Gieniu.

– Ja naprawdę rozumiem, czasem by się aż chciało, ale... No tak nie można. Pacjent to pacjent, pani doktor. To trzeba inaczej...

– Co, żeby się przypadkiem nie obraził?

Pielęgniarka wzięła głęboki wdech, a następnie wypuściła powoli powietrze i obrzuciła Kręciszewską przeciągłym, badawczym spojrzeniem. Nie poznawała jej. Dotychczasowa przekora, z którą zawsze udawało jej się podejść nawet najtrudniejszych pacjentów, ni stąd, ni zowąd przerodziła się w otwartą kąśliwość, a zamiast cierpliwości i serdeczności od lekarki była autentyczna, niehamowana złość. I coś jeszcze, czego pani Gienia nie potrafiła ani uchwycić, ani nazwać, mimo to czuła wyraźnie, że coś się zmieniło. Na gorsze.

Wzięła się pod boki i raz jeszcze przyjrzała lekarce z ukosa.

– Pani doktor, kiedy pani sobie ostatnio badała tarczycę? – zapytała, kierując się pierwszym logicznym wytłumaczeniem, jakie przyszło jej do głowy.

Oda wyprostowała się na krześle.

– Co proszę?

– Ostatnio dzieje się z panią coś złego. Zmieniła się pani, nie jest pani sobą. Wszyscy to już zauważyli, nawet doktor Lewczyński. Wie pani, że od paru dni nie robi sobie przerw, żeby nie wpaść na panią doktor na korytarzu?

– Doktor Lewczyński – zaczęła Oda pomału, prawie że cedząc słowa – o ile mi wiadomo, od pewnego czasu jest już dużym chłopcem. Może przyszła pora, żeby zaczął stawiać czoło brzydkim potworom spod łóżka, jak na dużego chłopca przystało, zamiast zajadać stres niczym pięciolatek w krótkich porcjach i kryć się za plecami pielęgniarki, która mu ochoczo matkuje?

Wstała przy akompaniamencie mosiężnego brzęku i wsparłszy się obiema dłońmi o biurko, spojrzała na pielęgniarkę, której zabrakło

słów. W zielonych oczach Ody roilo się od iskier.

– Otóż nie, pani Gieniu, nie mam chorej tarczycy. Nie mam też okresu, menopauzy ani innej huśtawki hormonów, jak przyjęło się zakładać, ilekroć kobieta się o coś złości, choć to przecież nieładnie. Mam po prostu dość.

\*\*\*

Minęła osiemnasta, kiedy Krzyś Lewczyński pożegnał ostatniego pacjenta, wyłączył komputer i memlając w ustach ostatniego lizaczka, jaki mu został, po dziesięciu godzinach wyteżonej pracy opuścił swój gabinet.

Nie narzekał jakoś szczególnie – w końcu nie był to dzień szczepień. Ot, zwykły wysyp wirusówek w najmniej odpowiednim momencie. Aż współczuł tym wszystkim zrezygnowanym rodzicom, których czekało odciąganie glutów i nocne inhalacje zamiast wesołej zabawy albo chociaż kilku godzin nieprzerwanego snu. On przynajmniej wiedział, że gdy już dotrze do poduszki, to nic go od niej nie oderwie.

O ile w ogóle tam dotrze, poprawił się w duchu, gdyż oto w recepcji zobaczył Odę. Stała tyłem do poczekalni i szukała czegoś w jednej z szaf kartotekowych.

Przez dobrą chwilę zmagał się z pokusą, żeby przemknąć na paluszkach do wyjścia, przepelznąć nawet, chociaż na samą myśl o niezmiernym bogactwie zanieczyszczeń i patogenów, jakie na podszwach znosili tu pacjenci, ciarki przechodziły go fala za falą. Niestety, w pomieszczeniu za rejestracją zostały jego rzeczy. I o ile bez kurtki jeszcze by sobie jakoś poradził, w końcu był zahartowany i miał na sobie wełniany sweter z golfem, miękkim i ciepłym, o tyle brak kluczyków do samochodu nastęczał już nieco więcej problemów. Piętnaście kilometrów na piechotę przez las, przy tej pogodzie, w tym obuwiu...?

Los nie dał mu jednak szczególnego wyboru, gdyż oto Oda, jak gdyby coś ją tknęło, podniosła głowę znad kartoteki i obejrzała się przelotem przez ramię.

– Ach, no proszę. Któż to wychynał z nory?

„W sumie... co to jest piętnaście kilometrów?”, westchnął w duszy, rozgryzając lizaczka jednym chrupnięciem, aż słodki odłamek skaleczył go w język. Cmoknąwszy przeciągle, żeby wyssać krew z ranki, Krzyś wyjął bezużyteczny patyczek z ust i wziął byka za rogi.

– Wiesz, Odeńko, nie chcę się wtrącać... – zaczął bardzo ostrożnie, czego zaraz sobie pogratulował, bo Oda odwróciła się, jakby ją coś ubodło, i wbiła w niego czujne spojrzenie.

– Ale?

– Co proszę...?

– Nie chcę się wtrącać, to nie moja sprawa, nie zrozum mnie źle, nie jestem rasistą, seksistą, specjalistą i tak dalej. Po tych wszystkich milusich, pluszowych formułkach, mających zamortyzować cios, zawsze następuje jakieś bolesne „ale”. No więc?

„Właściwie przydałyby mi się biegówki”, uznał Krzyś w okamgnieniu. „Tak na wypadek ewaku... na wszelki wypadek. Powinny się zmieścić w tej wnęce za szafą, przy oknie. Sprawię sobie do nich ładny pokrowiec. Albo sztywny futerał, na miarę, z jakiegoś bardzo higienicznego materiału. Może sanepid nie będzie się za bardzo czepiał, że gabinet lekarski to nie przechowalnia sprzętu sportowego...?”.

– No więc nie chcę się wtrącać – spróbował ponownie – ale... może byś z nim porozmawiała, co?

– Z kim? Z Głuszakiem?

– Z kim...? A nie, nie, chociaż fakt, byłoby całkiem miło, aczkolwiek nie naciskam, skądże znowu. Rozumiem, może nie popieram, ale rozumiem, bo to całkiem ludzkie, że...

– Krzysiu.

Odetchnął.

– No więc miałem na myśli tak raczej... Rocha – wyrzucił z siebie po krótkim zawahaniu.

– A co ma z tym wspólnego Roch? – zdziwiła się Oda.

– No... no więc nie uszło mojej uwadze, że ostatnio chodzisz podminowana. Nieco. Bardzo. Nieco bardzo. Z byle powodu tracisz cierpliwość, nawet do pacjentów... i tak dalej... i jak tak sobie myślę,

tak wewnętrznie rozważam i roztrząsam, i rozpatruję, i...

– I? – przerwała mu Oda i Krzyś dałby sobie dowolną kończyne amputować, że była to najbardziej gniewna głoska w dziejach głosek.

– ...i tak mi się wydaje, może niesłusznie, ale jednak, że to się zaczęło tamtego wieczoru w zabiegowym. Pamiętasz chyba, rany szarpane, stłuczenia, gadająca koza z torebką pełną przekąsek...? Odniosłem wtedy wrażenie, może niesłusznie – zastrzegł ponownie, uznawszy, że ostrożności nigdy za wiele – więc odniosłem wrażenie, że ci na tym człowieku zależy, no wiesz, tak... szczególnie. Najpierw bardzo się zdenerwowałaś tym telefonem, a potem zdenerwowałaś się jeszcze bardziej i... i rany boskie, dlaczego tu nie ma żadnej czekolady?!

Oda pchnęła szufladę z taką siłą, że zatrzęsło całą szafą.

– Kolejny bystry... – prychnęła. – Nie, nie wściekam się z powodu faceta. Wściekam się o to – powiedziała i trzepnęła o kontuar teczką.

Krzyś przekrzywił głowę, bo światło padało na błyszczący biały papier pod takim kątem, że nie był w stanie nic odczytać.

– Rejestr zgłoszeń do sanepidu? No fakt, ostatnio wyraźnie przybrał na wadze... Odra go tak utuczyła?

– Odra, owszem, ale też krztusiec. W ostatnim półroczu aż trzynaście przypadków tylko w naszej przychodni. No, czternaście, licząc z dzisiejszym, który trzeba będzie zgłosić pojutrze – dodała i pomachała przed nim wypełnionym drukiem. – Odmów szczepień jeszcze nie liczyłam, ale jest ich dużo, Krzysiu. Dużo za dużo.

– No ale co ja mogę? – Krzyś rozłożył bezradnie ręce. – Mnie zawsze uczyli, że do ludzi trzeba podchodzić z cierpliwością, całym mnóstwem cierpliwości. Rozmawiam, tłumaczę, pokazuję obrazki... Specjalnie kupiłem kilka takich książeczek, mam je pod ręką w gabinecie. Niby dla dzieci, ale u dorosłych w sumie też się sprawdzają. Znaczą, nie zawsze – przyznał – no ale cóż. Wtedy znów rozmawiam, tłumaczę i...

Lecz Oda już nie słuchała tego słowotoku. Zamiast tego przytknęła dłoń do chłodnego, szarego metalu szafki i przymknawszy oczy, pozwoliła swoim myślom unieść się swobodnie. Dryfować. Płynąć z sobie tylko znanym prądem.

– Coś się dzieje – rzekła po chwili cicho, niby do Krzysia, choć bardziej do siebie. – Coś... złego. Czuję to od pewnego czasu, z dnia na dzień coraz wyraźniej. I nie, nie ze mną, tylko z ludźmi. Te dziesiątki szwów, te pretensje, choroby, których już dawno nie powinno być, te niedorzeczne ulotki, czy oni naprawdę...

Urwała, bo coś właśnie zrozumiała. Nie, wcale nie z ludźmi. Dotarło to do niej z taką mocą, że na kilka sekund zamarła, wstrzymując oddech. Owszem, z ludźmi też, lecz nie tylko, bo również z Rochem. Albo z Bazylem. Coś – w powietrzu? W wodzie? Nie umiała określić – w każdym razie coś sprawiało, że ludzie i nie ludzie dawali się otumanić, tracili instynkt samozachowawczy i robili rzeczy głupie, brzemienne w skutki, często nieodwracalne. To samo coś, które przyciągnęło w te strony cmentarnego demona... oraz homen. Tylko co?

A może rzeczywiście nie chodziło ani o ludzi, ani o miejsce, lecz o czas, przed którym przestrzegał ją Roch? Magiczny czas przesilenia? O niedopełniony rytuał? Albo o jungowski Cień, jak twierdziła Marzenka? Tak czy siak, to by znaczyło, że jeszcze tylko trzy dni, trzy ostatnie wróżebne dni i kto wie – może będzie po wszystkim? Powróci życiodajne słońce, sanepidowska teczka przestanie się wypełniać, skończą się szwy do ściągania, wygaśnie ognisko odry, ludzie znów będą słuchać i myśleć, zamiast tylko mówić, Roch odzyska rozsądek i nawet homen zniknie jak zły sen?

Oby.

Wciąż zamyślona, w pewnym momencie podniosła wzrok na Krzysia i ujrzała coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Absolutne, niczym niezmaćcone urzeczenie. W jego oczach była wspaniała, jedna, jedyna, a on był cały jej. Widziała to, czytała w nim jak w otwartej księdze. Przesłaniała mu cały świat, a może nawet i wszechświat. Dla niej skoczyłby w ogień, w nurt rwącej rzeki, w paszczę lwa, bez słowa protestu i kęsa czekolady zaszczepiłby hurtem trzy przedszkola. Dla niej – wszystko, wszędzie. Gdy tak mimowolnie chłoneła ten zachwyt, pojęła, że miała nad Krzysiem władzę – bezkresną, uskrzydlającą, upajającą...

– Jakaś ty cudna... – wyszeptał.

Potworną.

– Co? – Szarpnęła się i cofnęła o krok, uderzając bokiem o metalowe szafki.

– Co...? – powtórzył Krzyś, już normalnym głosem. Zamrugał kilkakrotnie, niczym człowiek przebudzony z głębokiego snu lub transu, a potem uśmiechnął się z zakłopotaniem, gdy przez chwilę zagubione myśli nie dawały się pozbierać. – Co to ja... Ach, tak. Ja po kurtkę...

Wrócił po chwili, w kurtce i grubej czapie. Wspomnienie niedawnego urzeczenia pierzchno bezpowrotnie. Znow był tym samym Krzysiem co zawsze – złotym i niedźwiedzim, ze słońcem w duszy i sercem na dłoni. Obdarzył ją promiennym uśmiechem, którego Oda nie mogła nie odwzajemnić.

– No, to będę się zbierał. Jutro pobudka o piątej, zamierzam powitać nowy rok na stoku! A... a ty, Odeńko? Może cię gdzieś podwieźć, na jakąś szaloną imprezę?

– Och, nie, żadnych imprez, a już zwłaszcza żadnych szaleństw. Chwilowo mam dość, zamierzam się wyspać dla odmiany.

– Czyli do domu?

– Cóż, w zasadzie jestem umówiona z Michałką na podwózkę, ale... czemu nie? Nie będę go ciągać w takim razie, niech się bawi do białego rana.

– Ach, mówisz o tym młodym człowieku zwieńczonym guzem, tak? – szybko skojarzył Krzyś. – A z kim się dziś bawi?

– Z moją kozą. Umówili się na wspólnego sylwestra przy konsoli i piwie rzemieślniczym. Sami warzą, znaleźli sobie nowe hobby – dodała.

Krzyś zamrugał. Jeszcze raz. I jeszcze.

– Sylwester. Z kozą. Przy... – odchrząknął – przy piwie.

– Rzemieślniczym, tak jest. Nie inaczej.

– Tak. Tak. Oczywiście. – Odchrząknął ponownie, po czym obdarzył ją uśmiechem szerokim, acz nieco niepewnym. – W takim razie ogarnij się raz-dwa, księżniczko, a ja tymczasem idę grzać karoce!

Popędził na zaśnieżony parking, a Oda zamknęła szafy i już miała

iść po własną kurtkę, stwierdziła jednak, że najpierw zahaczy o łazienkę. Parę minut później, myjąc ręce przy wtórze cichego, kojącego pobrzękiwania mosiężnej bransoletki, odruchowo spojrzała w lustro – jak chyba każdy, kto przystaje choć na chwilę przy umywalce – i oniemiała.

Przesunęła drżącymi palcami po czole, po skroniach, po szyi, dotknęła kącików oczu, ust, załamań przy nosie, szukając w popłochu – zmarszczek, niedoskonałości, lekko opadających powiek, tych prawie czterdziestu trzech lat smutków i radości, łez i uśmiechów na zawsze zapisanych na skórze, w spojrzeniu, w postawie. Szukała samej siebie.

Lecz nie znalazła.

– Mieli rację – szepnęła.

Bazyl, Krzyś, pani Gienia. Coś się z nią stało. Coś dotknęło także i ją.

## Rozdział 17

Pierwsze w nowym roku promienie słońca dopiero przesączały się między drzewami, kiedy Oda Kręciszewska otworzyła oczy. Ostatnie, co pamiętała z poprzedniego wieczoru, gdy po nieprzespanej nocy i ciężkim dniu pracy dotarła wreszcie do domu, to chłodny dotyk pościeli na skórze. Oddech czy dwa potem osunęła się w ciemność.

Spała głęboko, obojętna na magię noworocznej nocy – i śniła. Znów opadły ją te same sny, które towarzyszyły jej ostatnio, tyle że splecione i przemieszane. Sny o lesie i stawie, o śniegu i krwi, o śpiewie tak tęsknym i pięknym, że serce pękało, niezdolne pomieścić już ani nuty więcej, a jednocześnie wciąż i wciąż spragnione kolejnych. Nawet po przebudzeniu słyszała go nadal, chociaż słowa pogubiły się gdzieś po drodze i na jawę wypłynęła już tylko melodia. Oda nuciła ją bezwiednie pod nosem, gdy wpierv ubierała się, sącząc pomału kawę, żeby rozbudzić się i rozgrzać przed wyjściem z domu, a także i potem, gdy podążała skrajem lasu w ślad za kuśtykającą Kuleczką.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała tak pogodny poranek. Ustały śnieżyce, ustał wiatr, a spomiędzy bieli wydętych chmur tu i tam wyzierał błękit nieba. Aż chciało się wystawić zarumienioną mrozem twarz do słońca i chłonąc jego blask, ładować akumulatory, produkować zapasy witaminy D i wypalać wewnętrzne smutki. I tak też zrobiła. Upewniwszy się, że pochłonięta wężeniem Kuleczka nie zagłębia się zbyt w las, Oda wróciła na polanę i krążyła, dopóki nie stanęła w najbardziej nasłonecznionym miejscu. Wtedy odchyliła głowę i przymknęła oczy. Czekwała, aż przesiąknie do szpiku kości tą wszechobecną jasnością, która spływała z nieba i iskrzyła się na śniegu, tą ciszą i samotnością, które zdawały się nieść obietnicę błogiego, rozkosznego spokoju. Niestety. Choć mijały minuty, wciąż miała wrażenie, że wewnątrz cała pulsuje. Jak gdyby to, co w środku, przestawało się mieścić w przymałej powłoce i usiłowało z niej wyrwać, jak gdyby rozpychało się, napierało coraz



mocniej w poszukiwaniu miejsca, gdzie puści pierwszy szew, a w ślad za nim kolejne. Krew boleśnie tętniła w skroniach, kawałek po kawałku zaciskając stalową obręcz.

Skok cukru? Hormony? Skutki niewyspania? Nadciągająca migrena?

Czy wiłowy szal?

Na tę myśl wciągnęła gwałtownie mroźne, zimowe powietrze przez rozchylone usta. Na krótką chwilę aż zaparło jej dech, po czym zanosła się nieopanowanym kaszlem. Gdy w końcu trochę się uspokoiła, wytarła łzy z kącików oczu i spojrzała przed siebie.

Stała na wprost okna swojej sypialni. Za plecami miała las. A w tym lesie...

W tym lesie...

Nie wiedziała nawet, jak i kiedy słowa piosenki ze snu same znalazły drogę na jej usta.

– Oj, żebym ja była u matusi dłużej, chodziłabym sobie jak kwiateczek róży... – wyszeptała, przesuwając wzrokiem od łebka do łebka. Stare żelazo czerniło się wyraźnie na tle drewnianej ściany. Miało chronić czy odstraszać? Kogo? I przed kim? Ją przed lasem czy...?

Naraz spłynęło na nią wspomnienie własnego odbicia, które ujrzała w lustrze. I nie tylko tam. Widziała je też w zamglonym spojrzeniu Krzysia i Michałki, gdy wpatrywali się w jej oczy.

Oczy uroczone.

Tyle że to nie były jej oczy, oczy Ody Kręciszewskiej. Już nie. W jej oczach nigdy nie iskrzył się niepohamowany gniew zdolny wzbudzić huragan, tylko łzy i śmiech. Jej oczy nie nosły ludziom omamienia i nieszczęścia. Także twarz, w której błyszczały, równie jasna co śnieg i jak śnieg zimna, piękna, doskonała, nie należała do niej. Ona, ta prawdziwa ona, miała kurze łapki i cienie pod oczami, miała piegi, nieco opadające powieki, znamię u nasady nosa i okrągłą bliznę po ospie wietrznej, tuż przy prawym uchu – do dziś pamiętała, jak rozdrapała ten pierwszy bąbel, myśląc, że to zwykły pryszcz. Miała też fałdki na brzuchu i rozstępy na pośladkach, ciemną smugę na łydce w miejscu, gdzie kiedyś uządlił ją szerszeń, a na kostce

zygzakowatą szramę po tym, jak poślizgnęła się, brodząc w morzu, i skaleczyła się o ostrą skałę. Miała to wszystko i była tym wszystkim, taką zawsze widział ją świat, zwykłą i niedoskonałą, a przy tym jedyną w swoim rodzaju, z charakterem i przeszłością wypisanymi w rysach, w spojrzeniu i geście. Aż do teraz. Bo teraz... teraz...

– Teraz jak lilija, co wiatr na nią wieje, ja blada i marna od wiatru się chwieję...

Dopiero po chwili dotarło do niej, że naprawdę zachwiała się pod nagłym powiewem, aż zadźwięczały mosiężne dzwoneczki, które skrywał rękaw kurtki. Stała z dłońmi przyciśniętymi z całych sił do policzków i skroni. Całą sobą czuła, że to nie były już jej policzki, jej oczy, jej myśli, a nade wszystko jej gniew – gniew i nieprzemierzona tęsknota za niepojętym, nienazwanym. O wiewajże, wiewaj, wietrze wieczorowy, wywiewaj, wywiewaj smutne myśli z głowy... Ach, jakaż była syta, jakaż była spragniona, gdy tak rozkoszowała się ich uwielbieniem! Lecz nawet ono, choć szumiało jej w głowie, buzowało w żyłach, nie mogło się równać z bezsilnością, tak wyborną i słodką, że...

Przebłysk. Tylko tyle i aż tyle. Pojedynczy przebłysk człowieczeństwa, krótszy niż okamgnienie, wystarczył jednak, by wyrwać Odeę z sideł. Rzuciła się naprzód. Stopy zapadły jej się w głębokim śniegu, który zalegał pod ścianą, aż poleciała na twarz. W ostatniej chwili podparła się ręką. Brzęknęły dzwoneczki, a przeciążony nadgarstek zaprotestował chrupnięciem. Szybko, zanim melodia i otumanienie znów ją opadły, zdarła rękawiczkę i jak najmocniej przycisnęła rozpostartą dłoń do gwoździ.

Tak jak wtedy, za pierwszym razem, ból był straszny.

Zwabiona rozdzierającym krzykiem, który nagle poniósł się po polanie, Kuleczka przybiegła w te pędy i piszcząc z niepokojem, dopadła swej pani, która klęczała w zaspie, zgięta w pół.

– To nie ja. To nie ja. To nie ja – mamrotała Oda raz po raz, jakby to było zaklęcie, aż ucichła melodia ze snu, słowa pierzchły w niepamięć, myśli wróciły na dawny tor. Ze zmarszczonym czołem obejrzała się na las.

Tam, teraz była tego pewna. Tam właśnie kryły się odpowiedzi na

dreńcające ją pytania – w zamarzniętym stawie ze snów. Wystarczyło po nie pójść, wbrew ostrzeżeniom Ossy, wbrew staraniom Rocha... prosto w objęcia wodnic. Na myśl o złowrogich istotach, które czały się pod lodem, Oda odruchowo zacisnęła pięść i syknęła, gdy oparzeliny przypomniały o sobie kolejną falą bólu. Potrzebowała kogoś, kto ochroniłby ją przed ich tęsknym śpiewem. Kogoś... albo czegoś.

Nie zwracając uwagi na śnieg, który sypał się z jej ubrania i podeszew, wpadła do domu i ze skrzynki pod zlewem wyciągnęła obcęgi. Po namyśle złapała jeszcze płaski śrubokręt. Minutę później gmerała nim w zlodowaciałym drewnie, żeby odsłonić główkę żelaznego gwóźdź. W końcu zdołała uchwycić ją pewnie obcęgami. Ignorując ból, zacisnęła obie dłonie na rączce narzędzia i pociągnęła.

Gwóźdź ani drgnął.

Oda zakłęła i pociągnęła ponownie. Szarpała i szarpała, coraz bardziej zdyszana i spocona z bólu, lecz nawet gdy jedną nogą zaparła się o ścianę i uwiesiła się na obcęgach całym ciężarem ciała, gwóźdź nie wysunął się choćby o milimetr.

Naraz znieruchomiła, czując za plecami czyjąś wyraźną, ciemną obecność.

– Daruj sobie. Do ich wbicia użył czegoś więcej niż tylko siły – spośród cieni popłynął głos.

Nie wypuszczając narzędzia z ręki, Oda odwróciła głowę.

Cmentarny demon powoli wyłonił się z cienia i stanął w połowie drogi między skrajem lasu a domem. Oda spostrzegła, że rany na udzie stworzenia zasklepiły się dopiero niedawno, a szramy, które po nich zostały, były szerokie i brzydkie. Musiało boleć. I dobrze. Uśmiechnęła się, nawet nie próbując ukryć dzikiej satysfakcji, jaka ją ogarnęła.

Widząc to, Ossa przechyliła głowę i przez chwilę sondowała Ode wzrokiem.

– Ach... – rzekła w zamyśleniu, po czym zaśmiała się nisko. – Witaj, wiło.

– Więc to dlatego? – zapytała Oda, nie zwracając uwagi na wymowny nacisk, z jakim demon wymówił ostatnie słowo. – Dlatego

go zaatakowałaś?

– A cóż mi po twoim drogocennym planetniku? Przecież przynosiłaś mi pierniczki. – Ossa oblizwała się kpiąco. – Nie byłam już głodna.

W wile aż zawrzało.

– Roch próbował mnie przed wami chronić. Dlatego postanowiłaś go zabić. Tyle że Roch okazał się twardszym orzechem, niż zdołałaś ugryźć, co? – Wskazała obcęgami na pokancerowane udo demona.

– Ach. Przed nami, tak?

– Tak, przed wami – powtórzyła twardo Oda. – Jesteś jedną z nich, jedną z pochodu mar. Teraz to wiem – dodała ciszej i zmarszczyła brwi.

Drzewami zatargał wiatr.

Demon niespiesznie zerknął najpierw w prawo, a potem w lewo na tumany zmrożonego, siekącego skórę śniegu, które wzbijały się w powietrze.

– Nie bądź głupia, wiło – wymruczał ostrzegawczo i pochylił rogaty łeb. – Weź przykład ze swojego planetnika i...

Brzękneły dzwoneczki i wiła uderzyła, zanim zdążył dokończyć. Wiatr, śnieg i lód zawirowały wściekle, zmiatając wszystko z powierzchni ziemi. Rosnące na skraju lasu drzewa aż jęknęły pod naporem potężnego uderzenia. Gałęzie sypały się w drzazgi, pękały wiekowe pnie, a niebo nad koronami poczerniało od pierzchających w popłochu ptaków.

Aż naraz wszystko ucichło. Znieruchomiało. Zastygło w przerażeniu.

Czarne szpony zaciskały się na gardle wiły, na tyle mocno, by przygwoździć ją do ściany dobry metr nad ziemią i znacząco utrudnić oddychanie, ale nie zmiażdżyć krtani. Jeszcze nie.

– Weź przykład ze swojego planetnika – powtórzyła Ossa, cedząc słowa tak, by wile nic nie umknęło – i zacznij myśleć, zamiast działać na oślep. Nie boję się ani twojego wiatru, ani twoich dzwoneczków. Gdybym należała do homenu, już dawno tańczyłabyś do jego muzyki.

Oda nawet nie próbowała walczyć. Zamiast tego za wszelką cenę starała się nie dotknąć ściany plecami. Mimo kurtki i grubego swetra

pod spodem czuła żar, jaki bił od żelaznych gwoździ. Jej uszu dobiegło rozpaczliwe skamlenie Kuleczki, ukrytej pod werandą, i rzuciła demonowi rozjuszony spójrzanie. Ten w odpowiedzi zaśmiał się gardłowo.

– Czujesz, prawda? Widzę to po tobie, wiło. Po tych twoich oczyskach. W końcu czujesz, co naprawdę w tobie buzuje, tam, na samym dnie. Szał. Ale wciąż nie masz bladego pojęcia, co z nim począć.

Szpony puściły bez ostrzeżenia i Oda runęła w zaspę, tuż obok obcęgów, które siłą uderzenia wytrąciła jej z ręki.

– Lepiej się naucz, wiło – usłyszała nad głową. – I to szybko. Bo trzeba będzie czegoś więcej niż ten twój wiatr, żebyś przetrwała w tym świecie.

Prychając i kaszłąc, Oda otrzepała ze śniegu twarz i kołnierz kurtki. Dygotała z zimna i złości. Tymczasem demon przyklęknął przed nią i ciągnął:

– Bo tym światem rządzą ludzie, nie my. Już nie. Wiesz dlaczego? Bo się uczą. Wpadają co chwila na nowe pytania i ruszają na poszukiwanie odpowiedzi. My też musimy, jeżeli nie chcemy wymrzeć do szczytu.

– Wy... wymrzeć...? – wycharczała Oda. – Jak to wymrzeć? Dlaczego?

– Tak to, wiło. Niektóre z istot takich jak my odeszły z własnej woli, inne wpełzły do najgłębszych nor, by tam pomału umierać ze strachu przed nowym porządkiem. Większość zginęła, przekonana, że nikt się nie odważy wejść do ich leża, że wystarczy narobić hałasu albo urwać parę kończyn czy głów, by ludzie jak zawsze uciekli w popłochu. By wszystko zostało po staremu. Cóż. – Ossa uśmiechnęła się drwiąco. – Nie wystarczyło. Nieliczne żyją do dziś gdzieś na krawędzi pola widzenia, tak jak ja, wciąż obecne, lecz już niewyczuwalne. Bo przecież potwory nie istnieją, prawda? Ale są i takie – podjęła po chwili ciszy – które znalazły sposób, jak wkraść się między ludzi i wciąż robić to, co leży w ich naturze, szkodzić lub pomagać. Jak homeni. Albo jak ty, wiło.

– Ja się nigdzie nie wkradałam! – zaprotestowała Oda, do głębi

oburzona tym porównaniem. – Jeszcze niedawno nie miałam nawet pojęcia, że w ogóle nie jestem człowiekiem! A teraz... teraz to już nie jestem ja...

– To wciąż ty.

– Nie! JA nie wybijam szyb, JA nie miotam czortami, JA nie robię ludziom awantur, nie skaczę z byle powodu do gardła tym, którzy są mi najbliżsi! To nie jestem JA, tylko coś... coś!

– To wciąż ty – powtórzyła Ossa, niewzruszona. – Ten szal, ten gniew to jesteś właśnie ty. Ale jesteś nie tylko tym. Ty i twój planetnik macie jeszcze coś, czego brakuje innym istotom naszego rodzaju.

Oda parsknęła kpiąco.

– Prawo jazdy i dostęp do internetu?

– Wiedzę, wiło. Wiedzę, jak być człowiekiem w obcym nam świecie, jak myśleć i czuć po człowieczemu. Ktoś mi kiedyś powiedział, że wiedza ratuje życie. Miał rację. Przetrwa tylko ten, kto wie, jak się dostosować do zmieniającego się porządku, porzucić stare ścieżki i znajdować nowe, zamiast miotać się w zaślepieniu. – Demon umilkł na chwilę, taksując Odę matowym spojrzeniem. – Tak, z natury jesteś wiłą, jesteś szalawilą, ale z wychowania człowiekiem. Nie zapominaj o tym. Nie zapominaj, gdzie kryje się twoje człowieczeństwo.

– Nie chcę! Nie chcę tego szalu, nie chcę szukać żadnych ścieżek! Chcę... – Ukryła twarz w zmarzniętych, poparzonych dłoniach. Dzwoneczki z mosiądzu zadźwięczały cicho, cichuteńko. – Chcę, żeby wszystko było jak przedtem, bo w końcu było dobrze... Nie rozumiem, dlaczego...

Ossa prychnęła wzgardliwie.

– Ach. Jedno z odwiecznych pytań, które zadają sobie ludzie. Dlaczego właśnie ja. Właśnie teraz. Właśnie tu. Och, jej.

– Jesteś demonem ze starego cmentarza – warknęła Oda, podnosząc głowę. – Co ty możesz wiedzieć o ludziach!

– Słyszę, co szepcą, gdy są najbardziej bezbronni – odparła Ossa głosem tak miękkim i łagodnym, że wiła obrzuciła ją zaskoczonym spojrzeniem. – Słyszę i słucham. Żywych, gdy modlą się za zmarłych.

Zmarłych, gdy modlą się za żywych. I jedni, i drudzy najbardziej ze wszystkiego pragną swym bliskim oszczędzić cierpienia. Przyświeca im najbardziej ludzkie z uczuć.

– Strach?

– Miłosierdzie. Sęk w tym, wiło, że ludzkie miłosierdzie, gdy nie ma żadnego przewodnika, może zaślepić równie łatwo co gniew. I wtedy pragnienie czystego, nieskalanego dobra przeistacza się w paniczną ucieczkę przed cierpieniem. Nawet matka, gdy próbuje uchronić młode przed wszelkim cierpieniem tego świata, bez względu na cenę, potrafi wyrządzić mu większą krzywdę, niż byłby zdolny wyrządzić świat. Nie z głupoty, podłości czy strachu, choć tak chciałoby się myśleć, choć tak byłoby łatwiej. Czyni tak z miłosierdzia. Nie pozwala mu biec. Nie pozwala mu walczyć. Nie pozwala mu płakać. Nie pozwala mu... – Ossa urwała, zapatrzona w nieokreślony punkt gdzieś nad głową wiły, jak gdyby ujrzała tam rozwiązanie, które od tak dawna jej umykało.

– Co takiego? – ośmieliła się zapytać Oda, gdy milczenie demona przeciągało się coraz bardziej i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miało się to zmienić.

– Życ. – To rzekłszy, Ossa schyliła się po obcegi, na wpół zagrzebane w śniegu. Jednym ruchem wyrwała żelazny gwóźdź ze ściany i razem z narzędziem podała zdumionej wile. – Idź, skoro musisz. Idź nad staw i znajdź to, czego szukasz.

– Przecież mówiłaś, żebym się do niego nie zbliżała. Że to niebezpieczne. Mało mi ręki wtedy nie...

– Nadal tak twierdzę, wiło – przerwał jej cmentarny demon. – Ale nawet ja nie odkryję za ciebie twoich tajemnic. Dlatego zapamiętaj sobie dobrze, co ci dziś powiedziałam... i jeszcze coś. My, stwory i dziwadła, może i wymieramy, lecz prawdziwe zło zawsze trwa. I pozostaje niezmiennie. Co najwyżej zmienia się broń, którą można z nim walczyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Demon uśmiechnął się przelotnie.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może te twoje cuda w ampułkach i pigułkach są jedynie doskonalszą formą dawnych

babczyńskich sposobów?

– Brednie – ucięła Oda. – Leki są zdobyczą nauki, cywilizacji...

– Niegdyś to przesąd zakazywał ludziom picia wody z kałuż i przydrożnych rowów, by nie dopadły ich demony niosące chorobę i śmierć. I robił to na długo przed tym, jak wasza nauka odkryła, dlaczego właściwie ta woda tak bardzo szkodzi ich wątłym ciałom. Samo sedno, samo zło pozostawało i pozostaje niezmiennie.

Czarna dłoń Ossy rozwarła zgrabiące palce Ody, druga zaś wsunęła w nie obcęgi z gwoździem i zamknęła z powrotem. Wiła zadygotała, tak wyraźnie jak nigdy dotąd czując obnażoną moc, jaka biła od tego niepozornego kawałka żelaza.

– Nic na świecie nie bierze się znikąd, wiło – rzekł demon o matowych oczach. – Ani wiedza ludzkich medyków, ani moc starego żelaza. I wiedza, i moc przyrastają stulecie po stuleciu, warstwa po warstwie, kropla po kropli. Odmierzane potem, łzami i krwią. Posiądzie je tylko ten, kto nie zawaha się sięgnąć aż do samego dna.



## Rozdział 18

Wczesnym popołudniem, kiedy Michałko odwiózł Bazyla po sylwestrowej imprezie, Oda czekała przy oknie. Gestem dała chłopakowi znać, żeby nie odjeżdżał.

– Mogłabym zabrać się z tobą do miasteczka? – zapytała, gdy obaj weszli do środka. Udawała, że nie słyszy pobrzękiwania, które wraz ze stukotem kopytek towarzyszyło truchtającemu przez kuchnię czortowi. – Mam sprawę do załatwienia. Wyrzuciłbyś mnie gdzieś po drodze, dalej pójdę sama.

Michałko wzruszył ramionami i odchrząknął. W sumie... czemu nie? Z początku to był dla niego czysty interes, choć z siłą nieczystą w tle. Na samą fuchę nie narzekał – kasa się zgadzała, nie musiał szczególnie się wyteżać, no i mógł sobie teraz wpisać do portfolio, że robił w transporcie! Fakt, przy okazji zdrowo mu się oberwało, najpierw od tego czegoś w lesie, a potem od babci, i sam nie wiedział, co było gorsze, ale... no, polubił tę zbzikowaną kobitkę z szurniętą fryzurą i szajbniętym czortem. Nawet te atrakcje, które szły razem z nimi w pakiecie, w sumie też. Jak tak sobie pomyślał, że za dwa dni będzie po wszystkim, że już koniec driftowania, czipsów, *Djabo...* znaczy, *Diablo* i survivalowego craftu, to mu się wewnątrz człowieka robiło jakoś tak nie za fajnie. O, na przykład tak jak teraz.

Pociągnął nosem.

– No... ale to tak bez sensu, nie? Z tym wyrzucaniem. Jakby co, to ja zaczekam.

– Chce ci się jeździć w tę i z powrotem?

– A co to mi tam. – Znów pociągnął. – Wolne mam, to mogę jeździć.

Oda zmarszczyła brwi i bacznie przyjrzała się Michałce. Wyglądał... zwyczajnie. Trochę może wymięty, trochę niewyspany i chyba coś mu siadło na zatokach, bo co rusz pociągał nosem, lecz poza tym wszystko w normie. Żadnego otumanienia, uwielbienia ani innych oznak uroku. Odetchnęła. Czyli działało. Bolało, owszem, i to

tak, że momentami ledwo zbierała myśli – ale działało. Skinęła więc głową z wdzięcznością i poszła załatwić sprawę z małym czortem, który właśnie próbował upchnąć w szafce kilka pękatych butelek z ciemnego szkła. Aż kwiknął i przysiadł na zadku, gdy tuż przy uchu usłyszał głos wiły:

– Bazylku...

– To ne to, czo myszlisz!!!

– Myślę, że nasza piwnica lepiej się nada do leżakowania piwa niż szafka.

– O. Fakt – przyznał czort, zaraz jednak zatroskał się niezmiernie. – Tylko żeby mi tatusz fszyszkego ne wyduldał...

– A co, tatuś jest fanem craftu?

– Tatusz jeszt... czósz, tatuszem. Wyduldałby fszyszko i naszuszał do szrotka.

– Naszu... Dobrze, może darujmy sobie na ten moment zagłębianie się w bagno waszych stosunków rodzinnych. Słuchaj, Bazylku, muszę pojechać do miasteczka. Już... – Obejrzawszy się na Michałkę, ciągnęła nieco ciszej: – Już prawie po wszystkim. Myślę, że nic się nie stanie, jeśli ten jeden raz zostaniesz sam. Wrócę za godzinę, góra półtorej, obiecuję. Chyba że wolisz jechać ze mną...?

– Szpoko loko poko – odparł Bazyl z luzem estradowca. – Ten czort ma dziś f planach pjekjelny goronc i bombelki.

– Ziemniaczki z żaru i szampan dla dzieci? – strzeliła Oda.

– Ooo, żemnaczk! Tak, to tesz. Żemnaczk! i kompjel. Musze odmoczyć żadek, mjeliszmy mały fypadek że szłodem. I czekoladom. I drażami... – dodał, szczerząc się przepraszająco.

Wyprowadziwszy jeszcze Kuleczkę, Oda nakazała czortowi na wszelki wypadek zamknąć się od środka, zanim zacznie się namaczać w kąpieli z ziemniaczkami, sama zaś pojechała z Michałką do miasteczka. Tak po prawdzie wolałaby nie zostawiać ich samych nawet na tę godzinę, góra półtorej, ale musiała sprowadzić odsiecz. A jedyna osoba, która była w stanie jej pomóc, uparcie nie odbierała telefonu.

Dopiero dzisiaj, kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, uprzytomniła sobie, jak słabo znała Rocha z tej najbardziej

prozaicznej strony. Nie wiedziałyby nawet, gdzie mieszkał, gdyby tamtej nocy nie musieli razem z Krzysiem odstawić go pod same drzwi – zakrwawionego, pozszywanego naprędce, trzymającego pion raczej dzięki sile dumy niż mięśni. I pod tym właśnie adresem zamierzała teraz szukać mrukliwego płanetnika.

W świetle dnia szarobura peerelowska kostka z niepozornym ogrodem nie różniła się zbytnio od pozostałych przedstawicieli tego gatunku, ciągnących się przy cichej, osiedlowej uliczce. Umówiwszy się z Michałką, że puści mu sygnał, gdy tylko tu skończy, Oda pchnęła niedomkniętą furtkę i popękany chodnikiem dotarła do drzwi.

Otworzyła jej starsza kobieta o łagodnym spojrzeniu. Jedną dłoń trzymała na klamce, drugą zaś przytrzymała razem poły grubego, czerwonego swetra, który sięgał jej prawie do kolan. Gdzieś w głębi domu grało radio.

– Tak?

– Dzień dobry – przywitała się wiła. – Zastałam może Rocha?

– Och, nie. – Kobieta pokręciła głową. Choć była drobna, trzymała się prosto i wydawała wyższa niż w rzeczywistości. Białe włosy, miękkie tą miękkością, jaka przychodzi z wiekiem, zaczesana w niski kok tuż nad karkiem. Biła od niej siła i chyba z tego powodu skojarzyła się Odzie z Marylą Cuthbert, chociaż nie miała w sobie ani krztyny surowości. – Roch tu nie mieszka.

– Och. Och... Przepraszam, myślałam... – Skonsternowana Oda zawiesiła głos. Potem pokręciła głową. – Nieważne. Przepraszam za najście. Do widzenia.

Nie odeszła na więcej niż parę kroków, gdy za plecami usłyszała:

– Oda, prawda?

Obejrzała się za siebie. Starsza pani uśmiechnęła się do niej serdecznie.

– Od razu poznałam. Proszę, wejdz. Wejdz.

Zaprowadziła Odę do stołowego, sama zaś na moment zniknęła w niewielkiej kuchni.

– Jak już mówiłam, Roch tu nie mieszka – podjęła kobieta, zjawiając się z tacą – ale spodziewam się go za kwadrans. Obiecał starej matce, że przyjdzie w Nowy Rok, i nie ośmieli się złamać słowa.

Na tacy, oprócz dwóch filiżanek, czajniczka z zaparzoną esencją i imbryka, stał także talerzyk z kilkoma kawałkami babki. Pachniała upojnie lukrem i skórką cytrynową. Na ten widok Oda z miejsca o czymś sobie przypomniała.

– Bardzo dziękuję za świąteczną paczkę. Objed... objadłam się jak bąk. A piernik... – Czym prędzej odepchnęła od siebie wspomnienie pachnącego korzenną przyprawą zawiniątka w czarnych szponach. – Cóż. Pani piernik wręcz ocalił mi skórę.

– Akurat piernik – odparła pani Kusa, siadając na wprost Ody przy okrągłym stole z lakierowanego drewna – to sprawka Rocha.

– Naprawdę? – Fakt, planetnik nie był jednym z tych mężczyzn, którzy na widok plamy na koszuli wpadają w panikę i gubią się w drodze do pralki niczym Odyseusz na kursie do Itaki. Placki ziemniaczane smażyć umiał po mistrzowsku, widziała to przecież na własne oczy, ale prędzej wyobraziłaby go sobie z siekierą w zębach ratującego świat niż krzątającego się po kuchni i szykującego świąteczne wypieki.

– Och, tak, piecze go rok w rok. Widzisz, wiele lat temu, ze dwadzieścia, jak nie lepiej, rozłożyło mnie tuż przed świętami. Mój mąż, niech spoczywa w pokoju, jak zwykle miał ważniejsze rzeczy do roboty, więc Roch, niewiele myśląc, zajął się wszystkim sam. I tak mu już zostało. Zresztą co ja ci będę tłumaczyć, skarbeńku – dodała, gładko przechodząc na mniej formalną formę, i podsunęła Odzie filiżankę z herbatą. – Wiesz, jaki on jest. Zawsze taki był. Gęby mógłby całymi dniami nie otwierać, ale swoje zawsze robi. I jeszcze drugie tyle. Zakupy przyniesie, okna umyje, ciasto upiecze, trawnik skosi, gwoździe przybije...

– O, tak, gwoździe przybija z wyjątkowym zapalem... – mruknęła Oda. W ostatniej chwili powstrzymała samowolną dłoń, która już miała dotknąć dekoltu. Zamiast tego sięgnęła po filiżankę.

Nie marnując czasu na retoryczne pytanie, pani Kusa od razu nałożyła jej na talerzyk szczodry kawałek babki.

– Dobry z niego syn, ale ciężki, ciężki człowiek. Ciężki do życia. Wszystko dusi w sobie, kisi, kotłuje. Wypisz wymaluj chmurzysko. Żebyś ty wiedziała, skarbeńku, ile ja się musiałam nabiedzić, żeby mi

cokolwiek powiedział! Gdyby nie ten piernik... ech! – Machnęła dłonią i zaśmiała się cichutko. – Wyobraź sobie. Widzę, że się bierze do roboty – a to trzeba tak z półtora miesiąca wcześniej ciasto nastawić, bo to jest prawdziwy piernik, staropolski, musi dojrzewać. Więc ja widzę, że on się bierze do roboty i że coś mu w tym roku tego piernika wychodzi więcej niż zwykle. Ledwo łyżką w misce mieszał, chociaż siłę w rękach ma nie ludzką. Pytam, co ty tak dużo tego piernika robisz? Nic nie powiedział, tylko mieszał i mieszał, aż miał całe dłonie w bąblach od tego mieszania.

„Nie, wcale nie od mieszania”, sprostowała Oda w myślach. Nie odezwała się jednak słowem, tylko wzięła do ust następny kęs intensywnie cytrynowej babki.

– ...potem to ciasto sobie dojrzewało i dojrzewało – ciągnęła pani Kusa – aż któregoś dnia Roch przyjechał i wziął się do pieczenia. I znów pytam, co ty tak dużo tego piernika robisz? Zawsze piekł trzy placki, a tu widzę, że pięć. A ten nic, milczy jak zaklęty. Dopiero jak już te upieczone placki poleżały i zmiękły i zaczął je przekładać i kroić, i czekoladą polewać, i tak dalej, i znów go zapytałam, to wtedy – dopiero wtedy! – burknął, że ten dodatkowy to dla Ody. Ale tak burknął, że ja od razu wiedziałam, co się święci. – Westchnęła ni to ze smutkiem, ni to z radością. – Ciężki, oj, ciężki jest ten mój syn do życia. Ile to ja z nim miałam zgryzoty, zanim zrozumiałam, co się w tej jego głowie kłębi... – Upiła łyk herbaty i skrzywiła się, poczuwszy nieoczekiwaną gorycz. – Ach, cukier!

Oda znowu została sama. Przeżuwaszając ostatni kęs babki, odruchowo zaczęła się rozglądać po stołowym. Na wprost niej, na meblościance z politurowanego drewna, identycznego jak stół, przy którym siedziały, cisnęły się rzędy książek. Przekrzywiła głowę, żeby odczytać napisy na grzbietach. Ach, klasyka. Mickiewicz, Leśmian, Bre... nie, Berwiński, Lenartowicz... i Siemieński. Czyżby ten Siemieński? Aż się pochyliła nad blatem, mrużąc powieki, bo wypisany kursywą tytuł dwoił jej się w oczach i troił. Tak, to była ta książka, której fragment czytała w Bazyłowym tomiszczu, *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie*. Nad płócienną, pociemniałą od brudu i starości okładką wystawała całkiem nowa zakładka.

– Widzę, że lubi pani Siemieńskiego – zwróciła się Oda do pani Kusej, gdy ta powróciła z cukiernicą i wzięła się do przesypywania jej zawartości do swojej filiżanki.

– Że lubię, to za dużo powiedziane. Czytam go od lat, choć nie dla przyjemności – zaznaczyła wyraźnie starsza pani. – Dla wiedzy.

– Dla wiedzy? Podania i legendy z... którego wieku, dziewiętnastego?

– Uhm – mruknęła pani Kusa potakująco, przełykając kolejny łyk herbaty, tym razem należycie słodkiej. Westchnęła z zadowoleniem. – Cóż poradzić, skoro w encyklopediach o was nie piszą, skarbeńku? A jak się ma w domu taki egzemplarz jak Roch, to trzeba dokładnie wiedzieć, co z nim począć, żeby nie zwariować. Od razu mi się w głowie rozjaśniło, jak wyczytałam, czemu on wiecznie chodzi taki pochmurny... Zresztą wiesz, jak to z nimi jest.

– Z mężczyznami?

– Och, skarbeńku, skarbeńku... – Starsza pani wyciągnęła rękę i poklepała włęk czule po dłoni. – Przecież obie wiemy, że nie. Jak to szło... Ach, tak. „Za lasem, za górą zszedł się wichur z chmurą...”.

– To też Siemieński?

– Lenartowicz. Tak dla odmiany.

Oda roześmiała się, udając, że nie czuła ani łez nabiegających do oczu, ani palącego bólu, który coraz śmieiej mościł się w jej piersi.

– Coś nie umiemy się ostatnio dogadać. Po części dlatego, że Roch mnie unika... ale nie tylko – dodała uczciwie. – Więc przyszedłem tutaj. Może tym razem nie ucieknie.

Pani Kusa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Taki czas. Trudny, trudny czas. Za parę dni mu przejdzie i znowu będzie sobą, zobaczysz.

– Czyli... ciężkim do życia mrukiem?

– Cały Roch... Ale sama przyznasz, że piernik za to piecze najlepszy!

– Czyli jednak – mruknęła Oda do siebie. – Dlatego właśnie teraz...

– Co proszę, skarbeńku?

– Widzi pani, dręczą mnie ostatnio trzy pytania. Dlaczego ja? Dlaczego tu? Dlaczego teraz? Pierwszą odpowiedź słyszałam już

z różnych ust, ale wciąż nie dawałam jej wiary. Chyba nawet... – nabrała głęboko powietrza – ...nawet wile trudno uwierzyć w moc przesilenia, gdy przez czterdzieści lat z okładem mocno stąpała po ziemi. – Odgarnęła z czoła natrętne włosy. – Mówiąc o trudnym czasie, ma pani na myśli czas zimowego przesilenia, prawda? Dlatego właśnie teraz dzieje się, co się dzieje. Z ludźmi. Z nami.

– Och, tak, tak. To nie przesąd, ten czas naprawdę nie oszczędza nikogo. Roch zawsze kiepsko go znosił, nawet w dzieciństwie. Wyobrażasz to sobie, bunt dwulatka podczas przesilenia? Boże drogi! Ileż razy ja patrzyłam na to moje dziecko i myślałam, że zaraz oszaleję, że zaduszę go gołymi rękami, trudno, pójdę za to siedzieć, ale zaduszę, chociaż tyle mojego! – Mrugnęła porozumiewawczo do Ody, zaraz jednak skinęła potakująco. – Choć rzeczywiście, odnoszę wrażenie, że w tym roku znosi to o wiele gorzej niż zwykle. Tak. Przesilenie to trudny, trudny czas.

– A miejsce? Pani mąż przez lata doglądał domu, który stał wcześniej na mojej polanie. Może opowiadał pani, dlaczego to miejsce jest takie szczególne? Pani albo Rochowi?

– Och, nie, Rochowi na pewno nie. Widzisz, skarbenku, Roch nawet nie chciałby o tym słuchać. Przez całe życie nienawidził Lichotki.

– Nienawidził... domu? – zdziwiła się Oda, a pani Kusa przytaknęła.

– Roch był zazdrosny, bo ten dom kradł mu ojca. Po kawałeczku, trochę dziś, trochę jutro... Mój mąż bardzo nas kochał, bardzo, ale jak przychodziło co do czego, to nawet się nie zastanawiał. Mówił, że tam bez niego sobie nie poradzą. Musiał jechać, musiał pomóc, musiał... – Machnęła ręką. – Zawsze coś. A my zawsze jakoś sobie radziliśmy sami, we dwoje. Mąż nawet nie zauważył, jak wyjątkowy urodził mu się syn, równie wyjątkowy co tamten dom. A może... kto wie, może zauważył, tylko ja wolałam myśleć, że nie? Cóż. – Uśmiechnęła się ciepło do Ody. – Trzeba było dopiero oczu urocznych, żeby Roch w ogóle zechciał tam wrócić... no i zostać.

– Oczy uroczone podobno niosą nieszczęście – zauważyła ze smutkiem wiła.

– Nieszczęście, powiadasz? Kto wie, kto to wie... Masz dzieci,

skarbeńku?

Oda pokręciła głową.

– Wybacz, że tak wprost – pospiesznie dodała pani Kusa. – Wiem, że dzisiaj to różnie z tym bywa... Ale pytam, bo kiedyś mi się wydawało, że bez dzieci nie ma rodziny. Nie ma sensu! A teraz... teraz to sobie myślę, że najważniejsze, żeby człowiek miał w życiu kogoś takiego, przy kim nie musi otwierać ust, jeżeli nie chce. Kogoś takiego, komu nawet nie musi niczego tłumaczyć, bo ten ktoś po prostu wie. Rozumie. I niczemu się nie dziwi. – Pomarszczona dłoń pani Kusej raz jeszcze zacisnęła się czule na dłoni Ody. – Nie ma takiego nieszczęścia, z którego nie dałoby się wygrzebać we dwoje, skarbeńku. Tylko musi trafić swój na swego. Swój na swego.

Sięgnęła do meblościanki i położyła przed Odą poszarzałego Siemieńskiego.

– Proszę, skarbeńku, to dla ciebie. Poczytaj o nim, o sobie. Żebyście nie musieli tracić zbyt wiele czasu na tłumaczenia. O, widzisz – dodała zaraz. – Wspomniałaś, że uroczone oczy wiły mogą spowodować nieszczęście. A czy wiesz, skarbeńku, jaką moc ma jej śpiew? Kto raz go usłyszy, ten będzie za nim tęsknił aż do śmierci.

Oda przesunęła palcami po płóciennej okładce.

– Na szczęście z natury jestem litościwa. Nie śpiewam publicznie.

– A czy się kąpiesz?

– Publicznie?

– Niekoniecznie, chociaż... – Pani Kusa pokręciła głową z rozbawieniem i puściła do Ody oko. – W każdym razie zalecałabym ostrożność. Bo widzisz, kiedy wiła się kąpie, wtedy można ją pochwycić i pojąć za żonę.

Oda nie zdołała zdusić parsknięcia. Cóż, to by tłumaczyło jej odwieczną niechęć do baraszkowania pod prysznicem czy w wannie, bez względu na towarzystwo – ilekroć próbowała, zawsze zaczynała kichać niczym opętana, gdy tylko się trochę zmoczyła. Reakcja obronna organizmu przed zamążpójściem, jak nic.

Wtedy o czymś sobie przypomniała. Podniosła głowę.

– A staw? – zapytała. – Co ze stawem?

– Staw? Nie, nie, staw jest całkiem zwy... – Pani Kusa urwała, a jej



zastygła w powietrzu dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym skojarzyła się Odzie z ikonicznym gestem błogosławieństwa. – Ach, czekaj no, skarbenku, ale który staw masz na myśli? Ten przed domem czy ten głębiej w lesie?

Lodowaty dreszcz przebiegł wile po plecach.

– Bo ten przed domem – mówiła dalej starsza kobieta – to wykopali dopiero przed pierwszą wojną. Natomiast ten w lesie był tam dużo wcześniej, chyba od zawsze. Smutne miejsce, bardzo, bardzo smutne.

– Dlaczego?

– Och, kiedy to było... Ze trzydzieści lat temu? Nie, więcej, Rocha jeszcze nie było na świecie. Mąż już wtedy opiekował się domem, Boże... Do dziś to pamiętam. Wrócił dopiero późnym wieczorem, naprawdę późnym, bo spałam. Ale się obudziłam, coś mnie tknęło. Siedział na łóżku, cały taki... taki poszarzały, i tylko kręcił głową. Długo się zbierał po tym, co tam... albo wiesz co, skarbenku? Nastawię wodę, ta historia wymaga więcej herbaty. I dużo więcej ciasta.

Tym razem Oda poszła za nią do kuchni, żeby pomóc. Gdy znów usiadły przy stole, pani Kusa podjęła swoją opowieść. Jednak dotychczasową serdeczność w jej głosie zastąpiło ołowiane znużenie.

– To było jakoś tak późną jesienią – zaczęła ciężko. – Wczesnym rankiem, jeszcze mgła nie zdążyła się podnieść do końca. Mąż zaszedł do lasu tam dalej, za domem... na grzyby? Tak, chyba tak. W każdym razie szedł tak i szedł, aż doszedł do tego stawu, i... – Na moment zacisnęła powieki, jak gdyby zbierała siły na ciąg dalszy. – Chyba do dziś nie wiadomo, czy to był nieszczęśliwy wypadek, czy jednak nie. W każdym razie utonęła, to pewne. Długo jej szukali, jakoś ze dwa dni, bo wtedy szybko robiło się ciemno, a ten staw jest bardzo głęboki. Bardzo. Ale znaleźli. Nikt jej nie rozpoznał, nawet jak wydrukowali jej zdjęcie w gazecie. Widać nie była stąd. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, na brzegu też nic nie zostało. To znaczy nic oprócz dziecka.

Mówiła, niby zapatrzona w niewielką serwetę, która zdobiła środek stołu, choć tak naprawdę nie widziała nic poza wspomnieniami sprzed lat. Ani strużki pary wymykającej się wąskim dzióbkiem

z imbryka, ani cytrynowych okruszków na politurowanym blacie, ani łez w oczach urocznych, ani dłoni, którą z każdym jej słowem Oda coraz mocniej i mocniej przyciskała do piersi.

– Miała, ja wiem? Ze dwa latka? Nie, nawet nie, raczej tak z półtora roku, bo jak ją pytali, to nie umiała powiedzieć, jak ma na imię, tylko mama, mama, mama... Boże drogi, sama całą noc w tym lesie, a jej matka... – Otarła szybko oczy. – Miała na sobie cieniutki płaszczyk i takie trzewiczki, czerwone trzewiczki, z bardzo zdartymi czubkami, jak gdyby przyszła w nich z daleka...

Wtem trzasnął zamek u drzwi wejściowych, wyrywając obie kobiety z pułapki łez i odrętwienia.

– Ach, mówiłam! – zawołała pani Kusa, w okamgnieniu znów ciepła i radosna, i poderwawszy się zza stołu, wyrzała na korytarz. – Gdzieś ty się podziewał? Chodź, chodź, pochmurniku, ktoś tu na ciebie czeka.

Roch stanął w drzwiach, milczący i blady, bo mróz nie zdążył wyszczypać mu policzków. W prawej dłoni wciąż ścisnął kluczyki od samochodu, w lewej dźwigał siatkę z zakupami. Spojrzał Odzie prosto w oczy, zielone i szkliste od łez, i czytał w nich jak w otwartej książce.

Za lasem, za górą zszedł się wicher z chmurą... Nikt inny tego nie rozumiał, nie wiedział, nawet nie pytając, o tym wszystkim, co się w jej duszy kłębiło, dusiło, kisiło. Tylko on, planetnik. Przyjaciel. Ból, i ten fizyczny, i ten psychiczny, rozrywał jej pierś aż do samego serca, do samej duszy. Zadrżała tak mocno, że brzęknęły dzwoneczki przy jej bransoletce. Proszę, zdawały się mówić. Błagam, wtórowały im oczy. Nie musisz nic mówić, nic a nic. Tylko nie uciekaj. Tylko rzuć tę siatkę, podejdź i przytul, bo odkryłam prawdę, której nie umiem sama udźwignąć...

Coś w niej zatrzepotało, kiedy jak na zawołanie uszy plastikowej reklamówki wysunęły się z palców planetnika i mandarynki jedna za drugą potoczyły się po podłodze. Zatrzepotało – i umarło, bo Roch obrócił się na pięcie i po prostu wyszedł.

## Rozdział 19

Roch zaciskał dłonie na kierownicy tak mocno, że strupy na świeżych oparzelinach zaczęły mu pękać. Poczuł krople wilgoci wewnątrz rękawiczek.

Mimo to nie puszczał.

Znowu.

Nie miał pojęcia, jak znalazł się w samochodzie ani jak przejechał ulicami miasteczka, otumaniony do szczytu, nie powodując przy tym żadnego wypadku. Chyba tylko szczęśliwemu zrządzeniu losu zawdzięczał przebłysk świadomości, w którym zdołał jakoś zjechać na stację benzynową i zatrzymać się na uboczu, choć i tak przeszorował prawym bokiem o zamarznąłą zaspę, wysoką aż po pas. Zlany zimnym potem, oddychał teraz z nadludzkim wysiłkiem, jak gdyby coś ścisnęło mu pierś i nie pozwalało zaczerpnąć więcej powietrza. Czuł gorzki smak żółci i wymiocin, raz po raz podchodzących do gardła. Przed oczami tańczyły mu mroczki na przemian z błyskawicami, a w głowie, w sercu, w mięśniach tętniła czysta panika. Strach nie do opanowania nakazywał uciekać ile sił, na oślep, za wszelką cenę – choćby i było nią życie przypadkowego przechodnia.

Właśnie dlatego Roch nie puszczał, chociaż jego poranione barki zapłonęły świeżym bólem.

Znowu.

Ostatnie wspomnienie z tego popołudnia, które potrafił przywołać, zanim znów opadł go ten niepojęty amok, to wpatrzone w niego zielone oczy. Rozpaczliwie odepchnął od siebie ten obraz, chociaż dałby wiele, żeby się go uchwycić, w nadziei, że może tym razem da mu ukojenie. Wiedział jednak, że nic z tego. Przecież to nie był pierwszy raz.

Dlaczego? Dlaczego jej widok, a nawet sama myśl o niej, o tych zielonych, roziskrzonych oczach, sprawiały ostatnio, że momentalnie tracił władzę nad ciałem, rozumem i chmurami i zmieniał się

w przerażone zwierzę, zdolne wyłącznie do ucieczki? Dlaczego nie był w stanie z nią rozmawiać, przebywać albo chociaż sięgnąć po telefon, ilekroć na wyświetlaczu widział te trzy litery układające się w imię – jej imię?

Naraz tuż przy uchu płanetnika jakby eksplodowała kanonada. Aż nim szarpnęło, lecz ostatkiem woli utrzymał dłonie na kierownicy. Wciąż zamroczony, pomału obrócił głowę w lewo.

Po drugiej stronie samochodowych drzwiczek stał Krzysztof Lewczyński w wielkiej czapie i stukał w szybę.

– Halo, kolego! – wołał. – Halo! Roch, prawda? Dobrze pamiętam?

Jeszcze jego tu brakowało... Rozeźlony płanetnik wymamrotał coś pod nosem.

– Ha! Ja całkiem nieźle czytam z ruchu warg i... i jestem zasadniczo pewien, że to było coś bardzo obraźliwego – dodał lekarz, stropiony w ten irytująco rozczulający sposób. Tyle dobrego, że przynajmniej przestał stukać.

Płanetnik niechętnie opuścił szybę.

– Czego chcesz – warknął, nie zwracając sobie głowy pytającą intonacją.

– Słuchaj, to w zasadzie nie moja sprawa, ale widzę po Odzie, że...

Rochem aż zatrzęsło. Z trudem zapanował nad stopą, która próbowała wbić się w pedał gazu.

– Przestań – wycedził. Ale może za mocno zaciskał zęby, a może ta absurdalna czapa dobrze tłumiała co cichsze dźwięki, w każdym razie Lewczyński najwyraźniej go nie usłyszał, bo gdy ciągnął niezrażony, biło od niego szczere zatroskanie.

– ...widzę po niej, że cała ta sytuacja bardzo ją dręczy i...

– Masz rację – nie pozwolił mu dokończyć Roch. – To nie twoja sprawa. Coś jeszcze?

Sądząc po wyrazie oczu Lewczyńskiego, gdzieś pod czapą zmarszczyły się jego bujne, złociste brwi.

– Może wejdziemy do środka i pogadamy na spokojnie, co? – Pokazał kciukiem za siebie, na budynek stacji benzynowej, który kusił obietnicą wielkich hot dogów i kawy prosto z automatu. – Szczerze mówiąc, nie wyglądasz najlepiej, a dzisiaj jest...

Odwał się. Te dwa krótkie, żołnierskie słowa cisnęły się Rochowi na usta, ledwo zdążył je przełknąć z powrotem. Lecz zaraz za nimi wzbierały następne. Ty i ta twoja jasność, wspaniałość, normalność, której nie psuje żadna rysa, odwalcie się ode mnie w komplecie. Skoro ona... Skoro ona tak chce... skoro może wybrać ciebie... Trudno. Trudno. Może tak będzie lepiej, przynajmniej wam. Ja sobie poradzę, jak zawsze. Jak ze wszystkim.

Lewczyński chyba czytał mu w myślach, bo odchrząknął i z powagą w niebieskich oczach rzekł:

– Posłuchaj, Rochu, nie wiem, o co wam poszło, nie wnिकam, ale zapewniam, że między Odą a mną nigdy...

– Przestań! – odwarknął płućnik.

– Nie, nie, posłuchaj, my naprawdę nigdy... – Lewczyński przechylił głowę, żeby lepiej widzieć. – Rany boskie, wszystko w porządku? Czy ty... czy ty coś brałeś? Nie, nie powinieneś prowadzić w tym stanie, daj mi kluczyki. Daj. Słyszysz? Roch! Roch, do jasnej cholery!!!

Próbował jeszcze wsunąć rękę przez uchylone okno, żeby dosięgnąć stacyjki, lecz nie zdążył. Z ledwością utrzymał się na nogach, kiedy zawył silnik i półciężarówka wystrzeliła ze stacji z powrotem na szosę, mijając po drodze granatowego SUV-a z nartami na dachu.

Roch pędził przed siebie i modlił się, modlił zażarcie do wszelkich sił rządzących wszechświatem, by z którymś kolejnym metrem w końcu spłynęło na niego opamiętanie.

Naraz coś błysnęło – tym razem jednak nie w jego głowie, a we wstecznym lusterku.

– Co do...?

Jechał za nim. Ten cholerny Lewczyński jechał za nim, pruł przez zimowy las, mrugając i trąbiąc, żeby się zatrzymał. Jechał, kilometr za kilometrem, bo był upierdliwym, skończonym durniem, durniem i... porządnym człowiekiem. Lekarzem z powołania, nie tylko z pieczętki. Musiał i już, tak jak przed miesiącem ona, z dokładnie tych samych powodów, musiała szukać człowieka pośród nocnej śnieżycy, chociaż sama ledwie trzymała się na nogach. Tak bardzo do siebie pasowali... Roch jęknął w duszy i ponownie zerknął we

wsteczne lusterko.

Śnieg nagle wystrzelił ze wszystkich stron. Dzikimi, zajadłymi kłębami spowił SUV-a tak gęsto, że widać było jedynie granatowe smugi wirujące w gęstej, dusznej bieli, gdy samochodem lekarza rzucało na lewo i prawo.

Roch ryknął. Przewyciężając amok, który mącił mu zmysły, wdepnął hamulec i sprzęgło.

Zablokowane koła wpadły w poślizg i półciązarówka zatoczyła zamaszysty łuk, by zatrzymać się w poprzek drogi. Białe samochód na białym tle tuż przed ostrym zakrętem to gotowa recepta na katastrofę w ruchu lądowym, z ofiarami w ludziach – ta ostatnia trzeźwa myśl zdołała jeszcze pchnąć Rocha do działania. Zjechał na pobocze i zgasił silnik. Na nic więcej nie starczyło mu sił. Teraz mógł jedynie zaciskać dłonie na kierownicy i patrzeć bezradnie, jak śnieg opadł i SUV zakończył swój chaotyczny taniec w rowie. A potem...

Potem na dach wypełzły one.

Homen.

Pierwszy stwór, na podobieństwo kamiennego gargulca, przysiadł na nartach i wydał z siebie przeciągły, zgrzytliwy syk, podczas gdy drugi zeskoczył na maskę. Granatowa karoseria równie łatwo co papier zmięta się pod ciężarem monstrualnego cielska o długim, łuskowatym ogonie. Był jeszcze trzeci, lecz ten krył się gdzieś za samochodem. Aż w końcu postanowił się zaprezentować w pełnej krasie.

My się już znamy, mówiły do Rocha żółte ślepia o pionowych źrenicach, żarzące się nad beznosym pyskiem. Zgarbione cielsko o skórze barwy popiołu i zapadniętym brzuchu zdawało się wołać o żer. Trzy pierzaste czuby, które zdobiły poza tym nagą czaszkę, szeleściły na wietrze. Szerokie szczęki rozwarły się pomału, przypominając, z jaką łatwością zatopiły się w miękkim ciele planetnika. Długie, krzywe pazury, które tamtego wieczoru już wyciągały się przez ciemność po małego czorta, by przetrącić mu kark, teraz sięgnęły po zupełnie inną ofiarę. Równie bezradną.

Sparaliżowany strachem i bólem Roch patrzył, jak bestia kroczyła bez pośpiechu, ciągnąc za sobą złotowłosego lekarza. Bez trudu

wywlokła go z samochodu, a teraz pchnęła na zaśnieżoną drogę. Patrz, planetniku, drwiły żółte ślepia. Oto człowiek. Patrz na jego krew, na jego strach. Patrz, z jakim wysiłkiem dźwiga się na łokcie i próbuje odpełznąć. Nic nie pojmuje.

A ty?

Pozostałe stwory zeskoczyły z SUV-a i zebrawszy się wokół lekarza, szarpały nim i targały, jak gdyby ciekawe, ile jeszcze wytrzyma, ile jeszcze znieśie, zanim coś mu pęknie, trzaśnie, odpadnie. Mruczały przy tym i przekrzywiały groteskowe łby, napawając się jękami, które udało im się wydusić z coraz bardziej bezwładnego ciała.

– Durny, durny... – wyszeptał Roch, niezdolny odwrócić głowy. Po co za mną jechałeś? One nie przyszły tu po ciebie, nie widzisz tego? Bawią się, jak syty kot myszą, ale nie chcą cię zabić. Jeszcze nie. Po prostu się bawią – i czekają. Czekają na moją reakcję.

Niech to szlag.

Ani na chwilę nie odwracając głowy, sięgnął za siedzenie pasażera. Planetnik w nim krzyczał, żeby uciekał, że to pułapka, z której tym razem nie ujdzie cało, że musi uciekać za wszelką cenę. Choćby i za tak wysoką. Lecz on nie słuchał, tylko zacisnął obolałe palce na stylisku siekiery. Stare żelazo wibrowało. Śpiewało.

Niech to ciężki, ciężki szlag.

Pomału, nie spuszczać wzroku z zakrwawionej twarzy lekarza, Roch wysiadł z samochodu.

\*\*\*

Światła pojazdu Michałki dawno zniknęły gdzieś w lesie, a Oda wciąż stała na polanie, zatopiona w myślach. W lewej ręce nadal ścisnęła książkę w płóciennym oprawie. Próbowwała znaleźć odpowiedź. Zaczęła jej poszukiwać zaraz po tym, jak Roch rzucił siatkę z zakupami i bez słowa wyjaśnienia wypadł z rodzinnego domu.

Jego matka potrzebowała chwili, żeby otrząsnąć się z szoku. Również ona nie potrafiła zrozumieć, co powodowało jej synem. Przesilenie? Czy jednak coś więcej? W zamyśleniu odwróciła się w stronę Ody. Aż nagle wydała z siebie cichy okrzyk olśnienia.

Podeszła do wiły, złapała ją za nadgarstek i jednym ruchem podciągnęła rękaw swetra.

– Skąd to masz? – zapytała ostrym tonem, zupełnie jak nie ona. – Skąd wzięłaś tę bransoletkę?

Oda w pierwszej chwili zaniemówiła, zaraz jednak odparła:

– Dostałam w prezencie, ale...

– Od kogo?

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy – z pewną rezerwą uchyliła się od odpowiedzi. Nie teraz. Jeszcze nie. – Czemu pani pyta?

Pani Kusa zacisnęła usta. Ignorując oburzenie, które odmalowało się na twarzy wiły, rozpięła łańcuszek i z bransoletką w dłoni podeszła do lampy stojącej w kącie. Przez chwilę przyglądała się uważnie mosiężnej błyskotce, zanim skinęła na Ode, żeby się zbliżyła i też rzuciła okiem.

Silne, białe światło padało na pięć dzwonek, ukazując pięć sylab, po jednej na każdym z nich. Aż dotąd wiła nie miała nawet pojęcia, że tu były.

– FUL-GU-RA-FRAN-GO – odczytała, mrużąc oczy, bo litery były już zatarte, a mosiądz pociemniały. – Co to znaczy?

– *Fulgura frango*. To po łacinie „przełamuję pioruny” – przetłumaczyła starsza kobieta. – Och, dziecko, dziecko drogie... – Westchnęła z bólem. – I ty się dziwisz, że Roch cię unika? Że ucieka przed tobą w panice? Przecież to nie są zwykłe dzwonki, tylko dzwonki loretańskie. Kto ci je dał?

– Nie... nie rozumiem, o czym pani do mnie mówi – odparła Oda, coraz bardziej zmieszana. Zaniepokojona. Gdzieś z tyłu głowy coraz wyraźniej majaczyła jej myśl, której za nic nie chciała do siebie dopuścić. – Co to są te... te dzwonki loretańskie?

– To dzwonki, które odstraszą demony burzy i gradu. Płanetek. – Gdy pani Kusa podniosła wzrok na wiłę, z jej oczu biła trwoga. – Odo, kto ci je dał?

*Dobre pytanie, Odo.*

Wiła wciągnęła ze świstem powietrze, gdy nieoczekiwanie usłyszała diabelski głos i poczuła pod stopami jego dudniące echo.

*Kto ci je dał, pamiętasz może? – drążył tatuś. Z nieskrywanym*



upodobaniem trącał tę czułą strunę w jej duszy, by drżała, drżała nieustannie. – *I po co? A przede wszystkim – dlaczego? Dlaczego, ach, dlaczego ktoś miałby wbijać klin między ciebie a twego dzielnego planetnika?*

*Milcz.*

*Pamiętaj, wiło. Nim skończy się czas przesilenia, weźmiesz w objęcia śmierć.*

*Prychnęła.*

*Z fusów też wróżysz, rogaczu?* – odparowała, po czym odcięła się od jego smolistych myśli i powolnym, ociążalym krokiem wspięła się schodkami na ośnieżoną werandę. Chociaż ciałem znajdowała się z powrotem na leśnej polanie, myślami nadal krążyła tam, kilkanaście kilometrów dalej. Nadal widziała trwogę w spojrzeniu pani Kusej, słyszała zwątpienie i współczucie w jej głosie. Zapewne dlatego z początku nic nie zauważyła – ani uchylonych drzwi, ani ciszy, ani ciemności, ani martwego zimna, którym tchnął jej dom. Dopiero gdy przeszył ją kolejny dreszcz, na dobre otrząsnęła się z zadumy i zapaliła lampę ledową, zawieszoną nieopodal wejścia.

– Bazyłu? – zawołała.

Ogień pod kuchnią wygasł do cna. Z garnka, który stał na fajerkach, wciąż sterczała drewniana łyżka. Oda dotknęła go palcem – był zimny, a jego zawartość, drobna fasolka w sosie pomidorowym, zdążyła zastygnąć w zwartą czerwonawą breję. W zlewie dostrzegła puszkę. Czyjaś ręka przezornie zalała ją wodą.

– Bazyłu? – Rozglądając się po pomieszczeniu, Oda położyła książkę na stole i ściągnęła plecak. – Bazyłu? Halo? Wróciłam. Kuleczko?

Sprawdziła w łazience i sypialni, wspięła się nawet na stryszek nad kuchnią, nigdzie jednak nie znalazła ani małego czorta, ani jeszcze mniejszego psa. Gdy schodziła po drabinie z powrotem na parter, jej wzrok padł na podłogę nieopodal wiklinowego kosza, w którym sypiali Kuleczka z Bazylem. Zmarszczyła czoło, a lodowaty dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Zeskoczyła z przedostatniego szczebla i przykucnęła, przyświecając sobie lampą. To, co początkowo wzięła za osobliwy refleks światła na drewnianej powierzchni,

w rzeczywistości było trzema głębokimi brzdami. W żadnym razie nie mogła ich zostawić żadna z trzech drobnych psych łap.

*Jak tam, wilo? Czy już? Czy już grzejesz swe czułe objęcia?*

\*\*\*

Ossa spała głęboko, otulona ciemnością i całunem, i śniła cudze sny. Sny o potędze i upadku, miłości i radości, samotności i cierpieniu, o wielkich czynach i ulotnych drobiazgach dnia codziennego. O świecie hen, daleko, poza starym, zapomnianym cmentarzem pośrodku lasu, o nadziejach i rozczarowaniach, które rodził bez ustanku niczym najpłodniejsza z matek. Pożyczone, z roku na rok coraz bledsze, lecz wciąż żywe sny już z dawna martwych ludzi.

Instynkt nie dawał się jednak zwieść cudzym marzeniom. Przebudzenie było gwałtowne, odcięło ją od sennych majaków jak nożem.

Oprzytomniała Ossa momentalnie zastygła w głębi krypty. Pośrodku jej szerokiej piersi tętniło echo cudzego bólu, który nawet z tej odległości palił na wskroś, nieomal odbierając zmysły. Przyzywał. Potężne ciało demona aż rwało się do czynu, instynkt wył, by gnała, gnała, zanim będzie za późno, lecz rozum i wola, karmione wiekami doświadczeń, były silniejsze. Ossa uniosła rogaty łeb i zaczęła węszyć uważnie. Dopiero potem wyłoniła się z krypty leniwym krokiem drapieżnika, przepatrując szarówkę śnieżnego poranka.

Och, tak. Były tam. Majaczyły tuż za ogrodzeniem starego cmentarza. Stworzenia równie pokraczne, co niebezpieczne, uniżone sługi homenu. Jego niewolnicy. Nie ważyły się zbrukać ziemi, której strzegła. Tocząc gęstą, lepka ślinę z wygłodniałych paszczy, terkotały, zgrzytały, warczały. Czekały cierpliwie, aż sama do nich wyjdzie.

Wiedziały wszak, że wyjść będzie musiała.

Specjalnie o to zadbały.

\*\*\*

Oda nie spała. Nie tym razem. Bo tym razem jej sen rozgrywał się na jawie.

Tak jak we śnie nie czuła zimna, chociaż znowu padał gęsty śnieg, a ona, zamiast porządnego swetra i kurtki, miała na sobie zaledwie flanelową koszulę wypuszczoną na dżinsy. Zapomniała też o czapce i rękawiczkach. Tylko zamiast wyśnionych czerwonych trzewików o czubkach zdartych do cna założyła zwykłe śniegowce.

Wędrowała przez milczący las, podążając za śladami ze snu – śladami z krwi. W lewej dłoni trzymała lampę naftową, prawą zaś ścisnęła kurczowo na piersi, przytrzymując razem połę koszuli, bo palce za bardzo jej zgrabiały, by zdołała zapiąć te trzy ostatnie guziki. Z każdą chwilą jej włosy stawały się coraz bardziej mokre od białych płatków, które osiadały na nich grubym woalem.

Noc spędziła samotnie przy kuchennym stole, pod wonnym wiechciem trzech ziół o mocy cudownej, która niosła nieuchronną wróżbę w przebraniu snów. Spętany czerwoną nicią dydych zaglądał Odzie przez ramię, gdy garbiła się w odrętwieniu nad dwiema książkami, wypatrując odpowiedzi na ich kartach. Głowę miała ciężką od zbyt wielu zbyt mrocznych myśli, mglistych rojeń i zasłyszanych słów, których nie umiała, nie mogła wyprzeć. Aż nadszedł poranek zwiastujący ostatni dzień zimowego przesilenia. Wówczas wstała, zabrała lampę z żywym ogniem i poszła.

I szła. Dygotała i szła, prowadzona jak po nitce przez sny, krew i śpiew, coraz żywsze pośród martwej bieli, która spowijała las.

Tyle pytań dręczyło ją ostatnimi czasy, lecz tego jednego, jedyne nigdy sobie nie zadała. A teraz, gdy to zrobiła i drgnienie serca potem poznała odpowiedź, było już za późno.

## Rozdział 20

Czyje przybycie zwiastował homen?

Tak właśnie brzmiało to pytanie. Odpowiedź miała przed oczami.

Homen, pochód mar straszliwych, wyroił się na polanę – bestie i dziwotwory, maskary, upiory i widziadła, monstra i poczwary. To kąsały się nawzajem i szamotały, to przewalały po śniegu, skłębione, wygłodniałe, żądne krwi, choćby i własnej, to znów wznosiły ku niebu swe upiorne, tęskne zaśpiewy. Żadne z nich nie śmiało jednak zejść na lód, który grubą warstwą skuwał leśny staw, bo tam stać mogła tylko ona – tak jasna, tak radosna, jakby przybyła tu z zupełnie innej bajki. Odziana w miękką szarość, na tle wszechobecnej bieli bardziej niż istotę z krwi i kości przypominała zjawę. Na widok Ody zaśmiała się jak zawsze perliście i zsunawszy z szyi czerwoną apaszkę, zatrzepotała nią zapraszająco w powietrzu.

– Ach, jesteś nareszcie! – zawołała. – Chodź, Odo, chodź do nas, siostrzyco tanecznico. Daj mi rękę. Zatańczmy.

I jak gdyby na znak homen zapiszczał, zabrzączał, zajazgotał i puścił się w płas na granicy szału, amoku nad amokami. Ruch i dźwięk, dźwięk i ruch, wszystko to zaś na tle zimowej martwoty.

Lecz Oda stała niewzruszenie i czekała, aż rozpląsana, szarojasna Marzenka zatoczy kolejny krąg i zbliży się do niej, zdyszana i roześmiana. Taka jak zawsze – bledziutka, bledziuteńka i krucha, niczym baletnica z porcelany – a przecież zupełnie inna.

– No? No, nie stój tak, tańcz, Odo, tańcz ze mną! – zakrzyknęła ze śmiechem. – Jak wtedy. Tańcz z nami. Niech zabrzączą dzwoneczki, niech zawrze krew. Tańcz, tak jak tylko ty potrafisz, moja ty siostrzyco tanecznico, roztańczona wiło-szaławiło!

I jak gdyby poruszona jej czystym, dźwięcznym głosem, który rozchodził się po całej polanie, zadrżała mosiężna bransoletka o cudownej mocy, a wraz z nią zadrżała wiła. Z głębokiego, niezaspokojonego pragnienia – i trwogi, że jeśli czegoś nie zrobi, to zaraz mu ulegnie i puści się w szalony płas. Nie zastanawiając się

nawet, jeszcze mocniej przycisnęła prawą dłoń do piersi.

Ból.

Ból.

Otrzeźwienie.

Zebrała się w sobie i uspokoiła oddech.

– Wiesz... przez cały ten czas sądziłam, że to w tobie znalazłam przyjaciółkę – przemówiła cicho, zbyt cicho, by przebić się przez ogłuszający raban, który je otaczał. Lecz jej słowa i tak dotarły do Marzenki, bo ta okręciła sobie czerwoną apaszkę z powrotem na szyi i znieruchomiawszy, słuchała. – Ty mnie przygarniałaś do serca. Ossa tylko odpychała. Ty rozumiałaś, ona wykpiwała.

– Och, te cmentarne demony są takie nieczułe... – Marzenka machnęła lekceważąco ręką. – To przez ten ich samotniczy tryb życia. Straszliwie dziczeją.

– Nie, nie. Miała rację. Zapomniałam, kim jestem... nie. Kim się stałam – poprawiła się, gdy to do niej dotarło. – Stałam. Z własnej nieprzymuszonej woli, własną ciężką pracą. Pozwoliłam, by zaślepił mnie szal, gniew, który leży w mojej naturze. A nie mogę przecież walczyć gniewem, bo gniew, tak jak miłosierdzie, zaślepia. Musiałam znaleźć mu przewodnika. Otworzyć oczy.

– Te uroczone? – Marzenka mrugnęła do niej żartobliwie. – Ach. Chyba ktoś mi niedawno mówił, że to tylko taki przesąd. Jeden z wielu, którym hołdują ci głupi, głupi ludzie...

– Och, teraz znam ich znacznie więcej, opowiedzieć ci jakiś? Na przykład taki, bardzo mi się spodobał: „We wsi jednej na Litwie zjawiała się morowa dziewczica” – wyrecytowała jeden z fragmentów, nad którymi ślęczała całą noc, mierząc się z pytaniem i odpowiedzią, których tak długo unikała – „i według zwyczaju przeze drzwi lub okno wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozwiewała śmierć po domach...”. Wiesz, o kim mowa? Kim jest ta morowa dziewczica? Morowa panna? To mór. Epidemia. Zaraza. – Odetchnęła ciężko. – To ty. My się już znamy.

Słyszając to, Marzenka roześmiała się perliście. Lecz tym razem, nim radosny, czysty głos kobiety przebrzmiał wraz z echem, szarości, którymi się spowijała, opadły w strzępach, ciężkich od kurzu

z niezliczonych dróg, niezliczonych lat. Jasnoniebieskie oczy zasnuło matowe bielmo. Ujmująca twarz o delikatnych rysach, dotąd spowita siateczką zmarszczek, przeistoczyła się w spękane płótno z dawna zapomnianego mistrza.

Homen zawył.

– Imponująca pamięć – rzekła morowa panna do Ody, jeszcze bledsza, jeszcze jaśniejsza, już nie porcelana, lecz lód. Czerwona apaszka na jej szyi znów przypominała krew spływającą z poderżniętego gardła. – Szybko się uczysz.

– Może jestem wiłą z natury, człowiekiem z wychowania, ale z woli, z własnej woli stałam się lekarzem – odparła twardo, choć wewnątrz drżała jak osika. – A w moim fachu dobra pamięć i wiedza to najlepsza broń przeciwko czemuś takiemu jak ty.

– Jak ja? Chyba raczej jak my, prawda? – zapytała i roześmiała się, widząc jej mimowolny grymas. – Och, no już, już, nie dąsaj się tak na mnie, Odo urocza. Nie jestem taka zła, jak twierdzą te głupiutkie przesady. Sama pomyśl. Oto przynoszę ci upragniony spokój, moja słodka wiło. Prawdę. Odpowiedź na pytanie, które dręczy cię na jawie i we śnie, odkąd sięgasz pamięcią. Bo chcę, żebyś w końcu była naprawdę szczęśliwa. – Marzenka przechyliła jasną głowę i uśmiechnęła się do wiły zarazem tak serdecznie i tak lodowato. – Ale ty już wiesz, prawda? Tak. Wiesz już, że jesteś właśnie stąd, choć nie z urodzenia, a śmierci. Tu umarłaś jako dziecko, przeszło czterdzieści lat temu... A czy wiesz, że twoja matka, ta prawdziwa matka, krew z krwi, która kochała cię tak bardzo, że nie umiała ani żyć, ani umrzeć bez ciebie, wciąż spoczywa tam, na dnie?

Biała, smukła dłoń z tanecznym wdziękiem wskazała zamarznąłą tafłę stawu, który rozciągał się za plecami panny.

– Tak, Odo, tak – mówiła, odpowiadając na niewypowiedziane pytanie, które raz po raz szarpało wiłę za serce. – Ona wciąż tam jest. Była tam przez cały ten czas, długi, długi czas. Czekala. Przyzywała cię, lecz ty nie słyszałaś, tak daleko poniósł cię okrutny los... okrutni ludzie. Aż wróciłaś, och, Odo, nareszcie wróciłaś! Zamieszkałaś w miejscu, skąd mogłaś usłyszeć zew matki i siostrzyc. Och, jak ty musisz za nimi tęsknić, biedactwo... Taka samotna pośród całkowicie

obcych ci istot...

Oda zacisnęła zęby i spuściła głowę. Czuła, jak wraz ze wspomnieniami wzbierał w niej gniew. Ileż nosiła w sobie rozczarowań, ile tęsknot, ile żalu, zakopanych głęboko niczym czarna, zmarznięta ziemia pod białym śniegiem, tak bardzo spragniona ciepłej pieśczoły słońca...

Nie.

Wiergnęła, raz, drugi, trzeci.

– Samotna? – powtórzyła. Szeroki czubek śniegowca z zajadłą furją wbijał się w twardą, zmarzniętą biel pod jej stopami. Głębiej. – Tak... Samotna, okrutna, szalona. Szałała. Za twoją sprawą. Od samego początku niby mnie słuchałaś, pocieszałaś, a jednocześnie powolutku pchałaś dokładnie w to miejsce, w którym stoję teraz. – Głębiej. – Byle jak najdalej od ludzi, żebym nie zdołała cię już powstrzymać, gdy będziesz ich krzywdzić.

Głębiej.

– Krzywdzić? Och, Odo, Odo... – Morowa panna pokręciła głową. – Śmierć nie jest ani krzywdą, ani końcem. Jest zaczątkiem życia i bardzo nie lubi być oszukiwana. Domaga się tego, co jej należy. Czekałam, wierz mi, czekałam długo i cierpliwie. Aż w końcu ludzie w swym zadufaniu uznali, że są bezpieczni, że już nic im nie grozi w ich nowoczesnym, higienicznym, starannie uporządkowanym świecie. Na pewno nie ze strony z dawien dawna zapomnianej już zarazy... I wiesz co? Nie tylko uchylili mi drzwi – wręcz zaprosili mnie do środka! Nie musiałam nawet pukać. Nowy przesąd, który sami wyhodowali na pożywek ze złudzeń, niewiedzy i strachu, przesłonił im prawdę, która chroniła ich przede mną tak długo i tak skutecznie. – Rozpostarła ręce i dygnęła z wdziękiem, niczym primabalerina przy owacjach zachwyconego tłumu. – I oto jestem. Zatańcz ze mną.

Wiła stanęła pewniej i zadarła buńczucznie podbródek. W jej zielonych oczach lśnił bunt.

– Nie.

– Nie?

– Tobie wcale nie chodzi o mnie, o mój spokój, szczęście czy

matkę. Tylko o to, żebym zeszła ci z drogi.

– Nie chcę ranić twoich uczuć, Odo, ale czy ty przypadkiem nie przeceniasz swojego znaczenia? Jesteś tylko małą wiłą...

Oda pokręciła głową i po raz pierwszy od dawna, ach, jak dawna, uśmiechnęła się z tą swoją przekorą.

– Nie, nie tylko. Szybko się o tym przekonałaś, co? Z początku próbowałaś mnie dopaść, ale wtedy szyki pokrzyżowała ci Ossa. Drażyłaś więc dalej, cierpliwie. Miałaś czas, przesilenie dopiero nadciągało, po nim wróżebna dwunastnica. Szukałaś sposobu, żeby mnie podejść. Aż tamtego wieczoru Bazyl i Michałko natknęli się w lesie na twój homen. Roch ich uratował. Wtedy się zorientowałaś, kim jest, prawda? Co go ze mną łączy i jak wiele dla mnie znaczy. Rzuciłam wszystko, żeby mu pomóc. Dlatego dałaś mi te dzwonki – uniosła nieco lewą rękę, na której nosiła bransoletkę. – Chciałaś nas rozdzielić, żeby jedno nie zdołało pomóc drugiemu. Żebyśmy byli łatwiejszym celem. Żeby mnie ostatecznie złamać.

– Ach... Skoro już o naszym planetniku mowa... – Morowa panna zawiesiła głos. Trzepnęła czerwoną apaszką wysoko ponad głowę i homen momentalnie się rozstał, odsłaniając staw.

A tam, na samym skraju cyplu, wtulony w Kuleczkę, równie przerażoną co on, siedział Bazyl. Z nadszarpniętego ucha ciekła mu krew, mimo to dzielnie trzymał w łapce jedyną drewnianą pałeczkę, jaka mu została, i wygrywał na cymbałkach swą czortowską melodię, która nie pozwalała marom podejść bliżej. Coraz cichszą. Coraz słabszą.

Po drugiej stronie stawu zaś Oda z przerażeniem ujrzała Rocha – siedział po pas w zaspie, w rękach wciąż ściskając żelazną siekiere, teraz całkowicie bezużyteczną. Poczwarą, która za nim stała, trzymała go mocno za włosy i odchyłała głowę, odsłaniając gardło. Zamglone czarem oczy planetnika wpatrywały się tępo w zachmurzone niebo, całkowicie niepomne płatków śniegu, które zbierały mu się w oczodołach.

Morowa panna uśmiechnęła się łagodnie do wiły.

– Słodki, słodki Bazyl zaraz opadnie z sił, a wtedy dołączy na wieczność do mego homenu. Będzie nam pięknie przygrywał na



swych cymbałkach, nie sądzisz, Odo? Lecz który żywioł zwycięży w Rochu, planetnik czy człowiek? Trwanie... czy śmierć? – dodała, po czym zaśpiewała, a wodnice zawtórowały jej spod lodu tęsknym chórem:

*Za lasem, za górą  
Zszedł się wichur z chmurą —  
W pasy się porwali,  
Kto kogo przewali.*

*Wichur się obrócił,  
Chmurę w bagno rzucił,  
Aż woda pluskała,  
Jak chmura spadała.*

*Gwizdnął sobie potem,  
I leciał z łoskotem,  
Aż na tyse góry,  
Bić też drugie chmury.*

– A zatem, Odo, kto kogo przewali? – zapytała, kiedy głosy na polanie umilkły na powrót. – Wiła planetnika czy planetnik wiłę? Wybieraj, zanim czar homenu się dopełni i wybierze za ciebie.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk, krzyczały rozpaczliwie cymbałki. Coraz ciszej, coraz słabiej.

– Wróć, Odo – ciągnęła łagodnie morowa panna. – Nie walcz już ze światem, nie jest tego wart. Wróć do domu, do matki, zostaw ziemskie sprawy ich naturalnemu biegowi, a obiecuję, że jednemu z nich daruję życie. Przez wzgląd na naszą przyjaźń.

Lampa z brzękiem wpadła w śnieg. Płomień, choć zatrzepotał, zamigotał, to nie zgasł, wciąż trzymał się dzielnie. Co innego Oda. Osunęła się na kolana. Przyciskała teraz obie dłonie do piersi, dusząc w sobie jęk bólesci. Na łzy już nie starczyło jej sił.

– Nie... nie mogę, nie mogę...! – powtarzała, zapatrzona w dołek,

który wyryła mimowolnie czubkiem śniegowca. Spomiędzy bieli wyzierała czerń. Twarda, zimna, niewzruszona czerń.

Marzenka Drzemota, morowa panna z czerwoną apaszką, przykucnęła przy Odzie i pogłaskała ją czule po głowie.

– Och, biedna ty moja, biedna... – westchnęła rzewnie. – Tak trudno wybrać, prawda? Przyjaciel czy kochanek...

Zanosząc się bezgłośnym szlochem, wiła chwyciła ją za nadgarstek i przyciągnęła do siebie.

– Ja... wiem... ja wiem... wiem... – zdołała w końcu wydusić.

– A cóż takiego, moje ty biedactwo?

– Coś, czego nie wiesz ty – wymamrotała Oda gorączkowo, przez łyzy. Jeszcze mocniej zacisnęła palce na kruchym nadgarstku panny. – Powiedziała mi o tym pewna staruszka... staruszka z bardzo ciekawym księgozbiorem. Wiesz, te dzwonki... dzwonki loretańskie... one tracą swoją moc z chwilą, gdy obwieszczą czyją śmierć.

Swobodna dłoń morowej panny czule pogładziła wiłę po włosach.

– Czyją zatem obwieszczą dzisiaj? Czorta? Czy planetnika?

Zmarznięta, drżąca Oda nabrała głęboko powietrza i nie puszczając nadgarstka panny, uniosła lewą rękę tak wysoko, jak tylko zdołała, i potrząsnęła. Brzęknęły mosiężne dzwoneczki.

– Twoją.

Jednym ruchem Oda sięgnęła za rozpiętą koszulę – i chwyciła gwóźdź, zawieszony na cieniutkim łańcuszku gwóźdź ze starego żelaza, który od kilku dni wypalał żywą dziurę w jej piersi, a teraz wszedł tak łatwo, och, jak łatwo, jak gładko, w jasne, zimne ciało morowej panny i dosięgnął serca.

Rozchyliły się blade usta, matowe oczy spojrzały prosto w oczy uroczone. Nie rozumiały.

– Chorobo, wyjdź z oka, a idź do głowy – szeptała wiła, prędko, prędko, jak najprędzej – z głowy do ręki, z ręki do nogi, z nogi do ziemi. – Z ostatnimi słowami wyczytanego w księgach zaklęcia wyrwała gwóźdź z ciała i wbiła go w odsłoniętą czarną ziemię.

RYK.

Ryknął wiatr, przyzwany szałem rozwścieczonej wiły, w końcu wolnej od pętającego ją czaru starego żelaza. Ryknęły chmury, gdy

wyzwolony spod mocy homenu i loretańskich dzwonek planetnik odzyskał zmysły. Ryknęły mary i poczwary, którymi potężne podmuchy cisnęły o pnie drzew, ryknęły wodnice, uwięzione pod pękającym lodem. A wrzask morowej panny przebijał się przez wszystko.

Stare żelazo zaśpiewało triumfalnie, gdy Roch wyrwał się i wziął pierwszy zamach, by zakosztować krwi. Walczył, walczył jak oszalały, by przedrzeć się do Ody, która szarpała się z morową panną, i dalej, na cypel, czym prędzej na cypel, gdzie mary z najokrutniejszych koszmarów już wyciągały pazury w kierunku małego, bezbronniego Bazyla i drżącej Kuleczki.

Aż naraz mały czort kwiknął tak, że jego głos poniósł się po całe polanie. Lecz nie był to dźwięk przerażenia, a bezbrzeżnej, szczerej radości.

Ossa potężna i czarna, Ossa potężna i bezlitosna wystrzeliła spomiędzy drzew, prosto na krwiożercze stworzenia, które osaczyły czorta. Jeden z przednich rogów miała ułamany, pióra poszarpane, a bruzdy na jej udzie znowu lśniły świeżą posoką. Lecz czarne szpony zaciskała na dwóch pokraccznych łbach oderwanych od cielsk, jak gdyby to były kukielki z papieru.

I pragnęła więcej. Pragnęła pomsty.

– Ossa! – Oda już chciała krzyknąć na całe gardło i wtedy straszliwa jasna mara chwyciła ją za włosy i wrzasnęła prosto w twarz:

– NIE!

To już nie była Marzenka, roztańczona, roześmiana, lecz morowa panna – blada jak śmierć, zalana krwią, z obłędem w matowych oczach i dziurą po starym żelazie w sercu. Szarpnęła, Oda straciła równowagę i obie runęły w lodowatą toń stawu.

Wszystko ucichło.

Wrzaski.

Ryki.

Huk.

Cisza – ciemność – zimno.

Opadając pomału w stronę dna, Oda wzięła w objęcia śmierć.

Jak pięknie.

Jak błogo.

Niezliczone dłonie o długich palcach wyłaniały się z mroku i delikatnie muskały jej skórę. Gibkie ciała przemykały, wprawiały wodę w ruch i kołysały, kołysały do snu, tak bardzo upragnionego. Wtulona w lodowate ciało morowej panny, Oda przestała walczyć.

Już dobrze.

Już dobrze.

I wtedy ją zobaczyła. Jaśniejącą, szczupłą dłoń, wyłaniającą się z dalekiej głębin. Jak wtedy, we śnie.

*Mamo.*

W ślad za dłonią ukazała się ręka, a za ręką twarz – sinoblada, wytęskniona, zapomniana tak dalece, że Oda nie umiała jej już nawet wyśnić w najśmielszych snach. Pełne usta, które przez dziesięciolecia nie miały komu szeptać czułych słów, teraz rozciągały się w pieszczotliwym uśmiechu, a w wielkich, migdałowych oczach Oda niczym w lustrze ujrzała całą tęsknotę świata.

Za objęciami, których nigdy nie ma się dość. Zapachem. Głosem niestrudzenie nucącym kołysanki, póki ostatnie myśli nie odpłyną i opadną powieki. Czułym dotykiem, który przegania potwory i koszmary nocy. Za śmiechem, za łzami dumy i smutku, za dziesiątkami tych najdrobniejszych momentów, niepozornych okruchów, które na zawsze spajają matkę z dzieckiem. I to właśnie ta tęsknota wypalała teraz w duszy Ody ranę większą niż stare żelazo.

*Mamo.*

*Mamusiu.*

Ściągała ją w dół, w mrok i ziąb, w bezruch i martwość, gdzie nie sięgało ani słońce, ani wiatr, ani dźwięk czortowskich cymbałków, ani nawet pochmurne spojrzenia planetnika, który kochał bardziej, niż to umiał powiedzieć.

*Mamo, ratuj.*

*Ratuj mnie przed losem gorszym niż śmierć.*

Powieki opadały jej coraz ciężej. Jak dobrze... jak dobrze...

*Mamo, czy to ty? Czy to twoja dłoń zaciska się tak czule, tak pewnie na moim ramieniu? Czy to ty mnie tak mocno przytulasz?*

Raz jeszcze, ostatni raz, Oda Kręciszewska otworzyła oczy i spojrzała w dół, prosto w nieprzeniknioną, lodowatą ciemność – i tylko gdzieś w oddali mignęła jej jasna twarz morowej panny, krzyczącej bezgłośnie, bez życia, niezdolnej uwolnić się z uścisku matczynej ręki, która ciągnęła ją na samo dno.

\*\*\*

Blask.

Oślepiający blask śniegu i słońca wyparł ciemność, wydusił do cna spod powiek. Oda upadła na brzeg, rżąc i wymiotując wodą. Silna dłoń klepała ją rytmicznie między łopatkami, póki nie wykrztusiła wszystkiego.

– Wyłowilem cię, słyszysz? – powtarzał głos, za którym tak bardzo tęskniła, że na jego dźwięk w pierwszej chwili aż znowu zaparło jej dech. – Słyszysz? Słyszysz, Oduś?

– Słyszę... słyszę, Rochu... – odparła wreszcie i z bezbrzeżną ulgą zapadła się w spragnione objęcia planetnika. Czowała jego wysiłony oddech i serce, dziwnie roztrzępotane od wielkiego wysiłku, jeszcze większej ulgi i niewyobrażalnego szczęścia.

– Wyłowilem cię, wiło. – Przycisnął usta do czoła Ody, a potem roześmiał się, tak głośno i radośnie, że zdumiona zadarła głowę i spojrzała mu w oczy. – Czy to znaczy, że teraz jesteś moja?

Żartobliwa nuta w niskim, ciepłym głosie Rocha nie uszła uwadze wiły. I może to za sprawą przekory, która leżała w jej naturze jeszcze bardziej niż gniew, a może czegoś zupełnie innego, Oda zmrużyła oczy zielone, oczy uroczone i odparła:

– Przecież zawsze byłam. Zawsze.

## Rozdział 21

Musiał pomóc jej wstać, bo tak bardzo opadła z sił, że nie panowała nad własnymi nogami. Dopiero wsparta na ramieniu planetnika, Oda rozejrzała się po polanie.

Zniknęła morowa panna, a wraz z nią pierzchnął homen. Powierzchnię stawu pomału skuwał świeży lód. Gdyby nie przedziwna płatanina smug posoki i wszelakich śladów, która jak okiem sięgnąć znaczyła śnieg, pewnie nikomu by nawet nie przyszło do głowy, że cokolwiek śmiałoby zburzyć spokój tego smutnego, samotnego miejsca. Aczkolwiek cmentarny demon, wciąż z zakrwawionym łbem w garści, stanowił pewną sugestię.

Popiskując ze szczęścia i zamiatając ogonem śnieg, Kuleczka tańczyła u stóp Ossy, a ta wolną łapą przyciskała do piersi Bazyla. Mały czort tulił się do niej jak szalony, wciąż nie wypuszczając cymbałków. Pomachał do zaskoczonych wiły.

– Pacz, Odzinko, pacz! – zawołał, merdając ogonkiem tak zawzięcie, że mało nie spadł na ziemię. – To moja mamusza!

– Kawał mamusi... – mruknął Roch, na co Oda dodała:

– Już chyba wiemy, kto w tym związku nosił rogi.

Niedbałym gestem odrzuciwszy bezużyteczny już łeb, cmentarny demon podszedł do nich majestatycznym krokiem. Czarnym pazurem delikatnie odsunął połę kraciastej koszuli i odsłonił jątrzącą się ranę na dekolcie Ody.

– Cóż poradzić. Stare żelazo dobrze mi robi na nerwy, ale ciut gorzej na skórę – skwitowała Oda w odpowiedzi na milczące pytanie, które zawisło w powietrzu.

Demon nie odrywał matowych oczu od podłużnego śladu po gwoździu. Nawet teraz odczuwał palący ból, który powodowała magia starego żelaza. Jak długo wiła musiała nosić go tuż przy ciele, by okiełznać wzbierający w niej szał i nie skończyć na dnie stawu?

– Wiele ryzykowałam – rzekł wreszcie.

Oda wzruszyła ramionami, co nie było łatwe, zważywszy, jak

bardzo drżała teraz z zimna. Dałaby głowę, że mokre pukle zaczynały jej zamarzać.

– Za twoją sugestią, demonie. Całe życie ufałam książkom, z których czerpałam fachową wiedzę, więc postanowiłam dodać jeszcze jedną dziedzinę do listy lektur. Trochę nietypową, ale cóż... Miałam szczerą nadzieję, że i tym razem to, co wyczytałam, okaże się prawdą. Że mnie nie zostawisz, kiedy przyjdzie co do czego.

– Ach, tak? – mruknął demon.

– Ach, tak – odparła przekornie. – Już wiem. Wszystko wiem. Chroniłaś mnie przed homenem i wodnicami, bo... – Oda zamilkła, żeby przełknąć łzy, które już próbowały ścisnąć ją za gardło, i dopiero potem wyrzuciła z siebie to, co dotąd nie chciało jej przejść przez usta: – Bo jesteś cholernym cmentarnym demonem, a ja, żeby zostać wiłą, najpierw musiałam umrzeć. Ten staw... ten staw to moja mogiła. Moja i mojej matki. Utonęłyśmy w nim obie, tyle że ja... nie wiem, może nic z tego całego umierania nie zrozumiałam i wyszłam na brzeg, może wiatr przyciągał mnie mocniej niż woda, a może nie zdążyłam się potem skryć na dnie, zanim znaleźli mnie ludzie. Tak czy inaczej, zostałam po tej stronie, wśród żywych. Dlatego właśnie to miejsce przyciągnęło mnie po tylu latach, dlatego dopiero tu odkryłam swoją moc. Dziękuję.

Ossa przyglądała jej się przez chwilę, po czym prychnęła.

– Wzruszające. A teraz dość tych pogawędek. Musicie się osuszyć i rozgrzać, zanim dostaniecie zapalenia płuc.

– Och, demonie – westchnęła Oda z udawanym wzruszeniem. – Wiesz, na swój uroczy sposób to ty mi teraz matkujesz. Jak wszystkim zmarłym.

– Na swój sposób... tak – przyznała Ossa, acz z ociąganiem. – Tylko nie oczekuj, że będę cię tulić do snu i klepać po główce, kiedy się skaleczysz.

– Chyba że książką.

– Och, książką tak. Zdecydowanie tak. Masz przerażające braki w wykształceniu.

Schyliła się po lampę i ruszyła przodem, z wniebowziętym Bazylem w objęciach i Kuleczką u nogi, sadzącą wielkie susy przez zaspy. Mały

czort nie przestawał trąkotać:

– ...och, mamuszu, czy to znaczy, że Odzinka i ja jeszteszmy tak jakby rodzensztfem? Bo fjesz, ja to żafsze chciałem mjecz szoszszyczke. To jeszt szalenje roźfijajoncze, fjesz, jak ja pszy nej poszerzam horyżonty. Na pszykłat osztatnjo...

– Cicho, Bazylku. Cicho.

Już dawno zniknęli w głębi zimowego lasu, kiedy Oda i Roch w końcu podążyli za nimi, prowadzeni przez łagodny wiatr, który wciąż niósł słowa małego czorta:

– ...a na fjoszne poszadże szobje ul!

\*\*\*

Słońce wspięło się już na sam zenit, kiedy w domu na leśnej polanie w końcu zapanowała cisza. Jedynie w kaflowej kuchni trząsał ogień, by rozwieszona pod powałą ubrania obeschły dość pobieżnie. Kuleczka spała w wiklinowym koszu, zagrzebana pod dwoma kocami. Trzeci, ten najgrubszy, zabrał ze sobą Bazyl, który uparł się, że spędzi trochę czasu z mamusią w przytulnej krypcie. Ossa nie protestowała, zwłaszcza że czort zabrał ze sobą paczkę pierniczków, termos z herbatą i dużo, bardzo dużo kolorowych plasterków.

Tymczasem w sypialni Roch, jedynie w pożyczonym szlafroku, przysiadł na skraju łóżka i pomału, z rozmysłem przesunął dłonią po nagich plecach Ody. Aż westchnęła pod dotykiem jego szorstkich palców.

– Czy to naprawdę konieczne? – wymruczała z twarzą w pościeli. – Zwłoki naprawdę rzadko umierają na zapalenie płuc.

– Może i jesteś martwym człowiekiem – przyznał Roch – za to jak najbardziej żywą wiłą. I niech tak już pozostanie, co?

Odkręcił słoiczek i po całej sypialni rozszedł się intensywny zapach maści rozgrzewającej. Płanetnik w skupieniu wziął się do nacierania.

– Musisz bardziej uważać. Nie jesteś już nastolatką.

– Taaak... Właśnie to chce usłyszeć półnaga kobieta po czterdziestce, leżąc w łóżku z młodszym facetem...

– Zobaczysz, co ci powiem, kiedy dojdziemy do baniek.



Wystarczyło kilka jego ruchów, żeby zaczęła się wić w pościeli jak chyba nigdy dotąd.

– Rany boskie, nadaję się do wykazu zabytków... – stęknęła, kiedy Roch dotarł do kolejnego obitego mięśnia tuż pod łopatką.

– Wpisałbym.

– Stan do renowacji czy wyburzenia?

– No wiesz? Klasa zero.

Zostawił ją, żeby się ubrała, a sam poszedł do łazienki umyć ręce z lepkiej, aromatycznej mazi. Kiedy wrócił, Oda pomału odpływała. Spodnad kołdry, którą się opatulila, wystawał jej tylko wilgotna czupryna i oczy zasnutę senną mgłą.

– Za lasem, za górą zszedł się wichur z chmurą... – zamruczała.

– Ano zszedł. Coś mi mówi, że będziemy się strasznie źreć.

– Oj tam, tylko przez dwanaście dni w roku. – Westchnęła, walcząc z sennością. – Jeśli chcesz, możemy robić sobie wtedy przerwę. Takie małe wakacje.

– I spędzać wszystkie święta osobno?

– Mnie bez różnicy, i tak ich nie obchodzę. Aleee... – ziewnęła – ale jeśli to dla ciebie ważne...

Przykleknął przy łóżku i zanurzył palce w jej gęstych, zwariowanych włosach.

– Z drugiej strony Bazyl miałby zawsze dużo śniegu na święta...

– Och, czyli przesądzone. Nie możemy zawieść Bazyla. Jego mamusia pourywałaby nam łby.

Roześmiali się oboje. Roch raz jeszcze pogłaskał Odę po głowie, a potem odchylił brzeg kołdry i położył się przy niej. Wiła nie zaprotestowała, tylko przywarła do jego ciepłego boku.

– Śpij, Oduś – szepnął, wtulając twarz w zagłębienie za jej uchem. – Jestem tutaj. I wciąż będę, kiedy się obudzisz.

Zasnęła więc. I tym razem nic jej się nie śniło.

\*\*\*

– Myślisz, że wróci? – zapytała Ossa, przystając obok.

Zbliżał się koniec stycznia. Już dawno minęło przesilenie zimowe,

a wraz z nim dwanaście dni wróżebnych i kolejne, całkiem zwyczajne. Umilkł tęskny śpiew wodnic, a złowrogie mary rozpierzchły się niczym zły sen. Powierzchnię stawu w głębi lasu znowu skuwał gruby lód. Słońce zwyciężyło ciemność i dni pomału stawały się coraz dłuższe, chociaż jeszcze mało kto zwracał na to uwagę.

Oda stała na skraju lasu i patrzyła na staw po raz pierwszy bez żadnych obaw. Nie potrzebowała już mocy starego żelaza, by uciszyć szalawinę. Rana na jej piersi zdążyła się zbliżnić. Rany w sercu wciąż się goiły, ale wszystko pomału zmierzało ku lepszemu.

Z całego zajścia na szosie poturbowany Krzyś Lewczyński zapamiętał jedynie, że wracał z nart, kiedy coś nagle uderzyło w bok SUV-a i zepchnęło go do rowu. Zanim z naprzeciwka nadjechali jacyś ludzie i udzielili mu pomocy, śnieg zdążył zasypać większość śladów. Pewnie dzik albo sarna, stwierdziła policja z braku innych dowodów niż wgniecione drzwiczki i mętne zeznania kierowcy z obrażeniami, które w pełni tłumaczyły luki w jego pamięci (kod T90.8, następstwa innych określonych urazów głowy). Śledztwo umorzono, a Krzyś po dwóch tygodniach zwolnienia wrócił do przychodni, prosto w objęcia pani Gieni, która z tej okazji wykupiła chyba wszystkie kasztanki w powiecie.

Również Michałko Rudnicki nie miał powodu do narzekań. Znajomość z Bazylem, zawarta tak nieoczekiwanie, przyniosła mu coś więcej niż guza i babcine połajanki. Skromne doświadczenie w piwowarstwie na domową skalę wystarczyło, by odważył się skomponować krótkie CV i wysłać do lokalnego browaru. O mało nie spietrał, gdy zaproszono go na rozmowę kwalifikacyjną, ale potem przypomniał sobie, że bądź co bądź warzył piwo z najprawdziwszym czortem, zatem powinien dać sobie radę nawet z całym działem HR – i tym sposobem dostał pracę, pierwszą stałą posadę w swym trzydziestoletnim życiu! A babcia pękała z dumy, że jej wnuk został prawdziwym fachowcem.

Z kolei sam Bazyl chwilowo zakończył poszukiwania i ustatkował się jako klasyczny diabeł domowy. Zapowiedział jednakże, że wraz z nadejściem wiosny zamierza założyć własną pasiekę. Trochę stropiła

go informacja, że choć do twarzy mu w paseczkach, to na królową nieszczerze się nadaje, nawet trzmieli, nie mówiąc już o pszczołach, po namyśle doszedł jednak do wniosku, że rola demiurga także mu odpowiada. Krzątał się zatem po domu, w weekendy jeździł do Michałki na *Djabolo*, a w wolnych chwilach zgłębiał historię i teorię pszczelarstwa.

Pani Kusa nie posiadała się ze szczęścia, że jej pochmurny syn poszedł wreszcie po rozum do głowy i wydusił z siebie tych kilka kluczowych słów. Podobnie Agnieszka, którą na wieść o zejściu się wiły z planetnikiem ogarnęła ekstaza. Bombardowała kuzynkę dziesiątkami najeżonych wykrzyknikami wiadomości dziennie i już planowała wesele. Oda na próżno tłumaczyła, że byli dopiero na etapie zastanawiania się, czy Roch mógłby zostawić u niej szczoteczkę do zębów, nie gorsząc małego czorta, a nie wyboru sukni ślubnej i wzoru zaproszeń.

Gorąca linia z sanepidem ostygła. Od początku roku w powiecie nie zgłoszono już żadnego przypadku odry, choć przytrafił się jeszcze jeden zbłąkany krztusiec. Także w zabiegowym wróciła normalność – ot, jakieś EKG od czasu do czasu, pomiar cukru czy małe szczepienie. Czasem stawiał się ktoś na zdjęcie szwów, ale już bez mrozących krew w żyłach opowieści o potworach grasujących po okolicznych lasach. Raczej o kacu stulecia.

Również niewielki pawilon handlowy w głębi jednej z bocznych uliczek miasteczka znów stał opuszczony. Zniknął szyld, zniknęły witrażowe lampy, żywiołowa muzyka i ożywcza czerwień ścian – bez śladu, jak gdyby nigdy ich tam nie było. Jak gdyby nigdy nie było jej.

– Wróci – odrzekła wreszcie Oda. – Zawsze wraca, prędzej czy później, a my nie mamy na to zbyt wielkiego wpływu. Zaczeka, aż ludzie zapomną, a prędzej czy później zapomną na pewno. Ale tym razem będę na nią gotowa.

Stały w milczeniu, ramię w ramię, chłonąc smutek i spokój, którymi tchnął ten zakątek lasu.

– Jak myślisz? – podjęła po chwili wiła. – Moja matka... Utonęła przypadkiem czy...

– A czy to ważne?

– Tak – odparła po zastanowieniu. – Chcę wiedzieć. Cała ta historia z przesileniem utwierdziła mnie w przekonaniu, że to dla mnie bardzo ważne. Żeby wiedzieć. Rozumieć.

Obrzuciwszy wiłę przeciągłym spojrzeniem, demon ruszył nad staw. Oda szła kilka kroków za nim. Gdy znalazły się na brzegu, Ossa przykłękała na jedno kolano i przytknęła szponiastą dłoń do lodu. Świeże blizny na jej udzie opalizowały w świetle słońca.

– Czasami na ludzkie barki spada brzemień nie do udźwignięcia – odezwała się wreszcie ze smutkiem w głosie. Pogładziła lód, jak gdyby z matczyną czułością żegnała się ze spoczywającymi pod spodem duszami, i dźwignęła się z ziemi. – Nawet miłość do dziecka nie utrzyma ich wtedy na powierzchni otchłani.

– Zapewne depresja, może nawet poporodowa. Na pewno nieleczona. – Oda w zamyśleniu pokiwała głową. – Może za rok, przy następnym przesileniu...?

– Nie.

Nieoczekiwana stanowczość w głosie demona zaskoczyła wiłę.

– Dlaczego?

– Ten, który z demonami walczy, winien uważać, by samemu nie stać się jednym z nich. Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie. Nietzsche – dodała, widząc niedowierzanie w oczach wiły.

– Rany boskie, jego też... czytałaś!?

Cmentarny demon wzruszył ramionami.

– Mam naprawdę szerokie horyzonty, wiło.

Tak. Wszystko pomału zmierzało ku lepszemu. Została jej tylko jedna sprawa do załatwienia.

Długo się do tego zbierała. Aż wreszcie któregoś popołudnia, zaraz po pracy, zaszła do piekarni-cukierni. Przecisnęła się między ludźmi z kolejki do pustego stolika w kącie. Zdjęła kurtkę, naląła sobie kawy i usiadła. Przed sobą, na blacie, położyła niewielki notes w pogiętej tekturowej oprawie.

Czekała.

Widok ulotek wciąż stojących na witrynie owszem, ukłuł ją boleśnie, lecz nic poza tym. Teraz, gdy dla zabicia czasu rozglądała

się po piekarni, czuła w sobie zaledwie echo tamtego gniewu sprzed wielu dni. Dość, by nie zapomnieć, bo tego nie chciała. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w szybie. Wraz z wewnętrzną równowagą odzyskała siebie, co do piega, co do zmarszczki. Znów się rozpoznawała i czuła dobrze we własnej, zwyczajnej skórze. Tak. Tak było lepiej, chociaż śmiała się, że powieki mogły jednak zostać ciut wyżej.

Kawa zdążyła jej całkiem wystygnać, zanim piekarnia opustoszała i kobieta za ladą nie mogła już dłużej udawać, że nie dostrzegала lekarki. Z zaciętą miną zgarnęła z lady niewidzialne okruszki, zrobiła porządek na półkach, w witrynach i na zapleczu, zamiotła podłogę. Wkrótce jednak skończyły jej się wymówki.

Z rękami splecionymi na piersi stanęła przed stolikiem.

– Czego pani tu chce?

Oda wzięła głęboki wdech i odparła:

– Nazywam się Oda Kręciszewska i chcę pani o kimś opowiedzieć.

Zamilkła na moment, czując na sobie nieufne spojrzenie wytatuowanej kobiety. Tyle razy układała sobie w myślach, co jej powie, kiedy się spotkają, a teraz... nie mogła znaleźć żadnego z najpiękniejszych słów, jakie знаła. Cóż. W takim razie musiała zaufać tym całkiem zwyczajnym.

– Zanim sprowadziłam się tutaj, długo pracowałam jako lekarz na zagranicznych misjach. UNICEF i tak dalej. W tym notesie zapisałam łącznie dwadzieścia siedem imion, żeby nigdy ich nie zapomnieć. Dwadzieścia siedem imion, dwadzieścia siedem historii... i tyleż porażek medycyny, ale też moich, osobiście – przyznała nie bez bólu.

– Obiecuję, że będę się streszczać. Potem odpowiem na każde pytanie, jakie mi pani zada. Rozwieję każdą wątpliwość. A jeśli nie będę umiała tego zrobić, to pójdę się doksztalić i wrócę z odpowiedzią. I tak do skutku, aż panią przekonam. Albo pani mnie – dorzuciła na koniec.

– Aż tak pani wierzy w swoją moc przekonywania?

– Nawet ta moc jest niczym bez przewodnika – odpowiedziała Oda, uśmiechając się w duchu. – Wierzę w wiedzę.

Kobieta obejrzała się na drzwi. Z daleka dało się poznać, które

szyby wstawiono niedawno, a które lata temu. Myślała.

– Tym razem bez awantur?

O mały włos, a wiła podskoczyłaby razem z krzesłem. Czym prędzej zdusiła w sobie pączkującą nadzieję. Jeszcze nie, jeszcze za wcześnie. Krok po kroku.

– Bez awantur – obiecała. – Na spokojnie. Napije się pani kawy, pani...? – Pamiętała, że poprzednim razem sprzedawczyni wołała szefową po imieniu, ale teraz całkiem wyleciało jej z głowy.

– Sylwia – odparła kobieta i sama podeszła do ekspresu. Po chwili usiadła na wprost Ody z kubkiem czarnej, gorzkiej kawy. Patrzyła na notes. – Nie wiem, czy nie porywa się pani z motyką na słońce... pani doktor. Ja tych pytań mam naprawdę sporo.

– Och, bez obaw, pani Sylwio. Na szczęście jestem bardzo, bardzo uparta... i mam dużo czasu. – Oda przechyliła głowę i uśmiechnęła się do kobiety, mrużąc zielone oczy, w których iskrzyła się przekora i radość. – Choćby i całą wieczność.

**KONIEC**

## Podziękowania

Wyobrażnia lubi czasem wywieść pisarza w miejsca tak mu nieznane i tak odległe, że bez przewodnika się nie obędzie. A dobry przewodnik na bezdrożach to skarb zasługujący na to, by ku jego czci pisać peany i wznosić pomniki trwalsze niż ze spiżu. Dlatego chciałabym z całego serca podziękować ratownikowi medycznemu Zbigniewowi Włóce oraz lekarzom: Katarzynie Berenice Miszczuk i Grzegorzowi Berezie, którzy zgodzili się wesprzeć mnie swą wiedzą i doświadczeniem w tym nierównym boju, jaki przyszło mi stoczyć z medyczną materią. Wszelkie błędy merytoryczne, jakie mimo to mogły się wkraść do niniejszej powieści, należy złożyć wyłącznie na karb mej rozbuchanej fantazji bądź zwykłego niechlujstwa, za które wszystkich czytelników z góry przepraszam, obiecując, że to był przedostatni raz.

Wyrazy współczucia i szczerego uznania należą się również dzielnym korektorom za stawienie czoła Bazyłowej wadzie zgryzu. Szfetna robota!

*Autorka*

- 
- <sup>1</sup> L. Siemieński, *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie*, Poznań 1845.
- <sup>2</sup> Gry i zabawy dla młodzieży i starszych, w pokoju i na świeżem powietrzu, Toledo (Ohio) 1913.
- <sup>3</sup> T. Lenartowicz, *Piosnki wiejskie dla ochronek z przygrywką*, Poznań 1862.



Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Redaktor prowadzący: Anna Salwa  
Redakcja: Piotr Chojnacki  
Korekta: Joanna Dąbrowska-Resiak, Adrian Kyć  
Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6758-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**